ROMANSE HISTORYCZNE

WALTER-SKOTT'A.

CZARNY KARZEŁ.

Nakładem Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści.

WARSZAWA.

W DRUKARNI EMILA SKIWSKIEGO

ulica Elektoralna Nr 758 (28 nowy).

1875.

Дозволено Цензурою.
Варшава 6 Октября 1875 года

WSTĘP
DO POWIEŚCI
MOJEGO GOSPODARZA.

Jeżeli bez zarozumiałości przypuścić mi się godzi, że imię i zamiar wydawcy niniejszego pisma, zajmą pilną i myślącą część powszechności, do któréj jedynie odwołać się chcę, — jak to starannemu nauczycielowi młodzieży i gorliwemu wykonawcy obrzędów sobotowych przystoi— sądzę zatém, że zbyteczną jest rzeczą rozniecać we dnie pochodnię, to jest nie potrzebuję pisma tego poprzedzać *poleceniem*, które dla rozsądnego czytelnika już w samym tytule jest objęte. Wszelako wiem dobrze iż są tacy—albowiem zawiść prześladuje zasługę — którzy sobie podszeptywać będą, że wprawdzie przeciw mojéj uczoności i moim dobrym zasadom nic Bogu dzięki zarzucić nie można, jednak położenie moje w Gandereklengh bardziéj sprzyja mojemu wydoskonaleniu, w obrębie naukowości, niż zbogaceniu moich spostrzeżeń nad pożyciem teraźniejszych pokoleń. Na przypadek gdyby takowy zarzut miał być uczynionym, odeprę go trzema dowodami.

Najprzód. — Gandereklengh było i jest punktem środkowym naszego ojczystego królestwa, Szkocyi, tak, że mieszkańcy jego, ze wszystkich stron wybierając się za interesami swemi do naszéj stolicy praw, Edymburga, lub do naszéj stolicy handlu, Glasgowa, — w Gandereklengh przenocować zwykli; najuporczywszy zatém niedowiarek przyznać powinien, że ja, który od czterdziestu lat, letnią i zimową porą, co wieczór, w zajezdnym domu pod Walasem, w gościnnym pokoju siedzę sobie w skórzaném krześle z poręczami, po lewéj stronie od komina, więcéj poznałem obyczajów i zwyczajów najrozmaitszych stanów i ludzi, aniżeli gdybym je gdzie indziéj z wielkim mozołem i trudem był zbierał. — Tak to celnik siedzący spokojnie w swojéj budzie celnéj, przy kobylicy gościńca bardzo odwiedzanego, więcéj zbiera doświadczenia niż sam po nim podróżujący; na którym, gdyby każdy prosił go o jałmużnę, zebrana massa próśb, zapewne by przewyższyła możność ich zaspokojenia.

Powtóre. Jeżeli zaś mi zarzucą, że Itakus, największy mędrzec grecki, wedle zapewnienia rzymskiego rymotwórcy, winien swoją sławę oglądaniu wielu ludzi i miast, odpowiadam w tedy zoilowi, który przy tym zarzucie obstawa, że ja de facto widziałem i miasta i ludzi; byłem bowiem w dwóch sławnych miastach: Edymburgu i Glasgowie, a zwłaszcza w pierwszém mieście dwa, w ostatniém trzy razy w ciągu mojéj ziemskiéj pielgrzymki, miałem nawet zaszczyt znajdowania się na ogólném zgromadzeniu — ma się rozumieć, jako słuchacz, na galeryi — na którém przysłuchiwałem się wybornym rozprawom de Jure Patronatus, z których takie korzystne owoce odniosłem, iż od czasu jak szczęśliwie i w dobrém zdrowiu wróciłem do Gandereklengh, za wyrocznię w tych rzeczach uchodzę.

Potrzecie. Jeżeli wszakże mimo to, ktoby chciał utrzymywać, że moja znajomość świata, jakkolwiek rozciągła i mozolnie nabyta, częścią w domowém otoczeniu, częścią dalekiemi podróżami, nie wydoła jednak podjętemu zamiarowi, ułożenia rozkosznych powieści mojego gospodarza, niechaj wtedy panowie krytycy niniéjszém uwiadomieni będą, na swoje wieczne zawstydzenie i hańbę, a zarazem i ci wszyscy, którzy nieostrożnie przeciw mnie powstaną, że wcale nie jestem autorem, wydawcą, ani zbieraczem powieści mojego gospodarza, i że tém samém ani za jedną w nich literę odpowiedzialnym być nie mogę. Teraz więc wy recenzenci, co się do góry pniecie nakształt jadowitych wężów, językiem sykacie i ranicie żądłem, wracajcie do prochu z któregoście stworzeni! Poznajcie, żeście myśleli jak prostacy, mówili jak głupcy! — Samym sobie zastawiliście sidła i we własne wpadliście dołki! Wyrzeczcie się przeto czynności, która dla was aż nadto jest trudną; niepsujcie sobie zębów chcąc rozgryźć postronek, nie marnujcie sił waszych chcąc obalić mur; ochraniajcie oddech i nie bieżcie w zawody z szybkim rumakiem, lecz zostawcie ocenienie powieści mojego gospodarza tym, którzy przynoszą z sobą miarę prawdy, i tym którzy ręce rozsądnéj skromności oczyścili ze rdzy uprzedzenia.

Dla tych to one są zebrane, co wykażę z krótkiéj powieści, którą moja gorliwość dla prawdy, skłania do załączenia obok niniejszego wstępu.

Wiadomo, że mój gospodarz był to człowiek wesoły i towarzyski, cała parafia Gandereklengh chętnie go widziała, wyjąwszy poborcę cła i tych którym już wina na kredyt dawać nie chciał. Przyczyny tych poróżnień z kolei opowiem i nie omieszkam nad niemi poczynić moich postrzeżeń przychylnemu czytelnikowi.

Poborca obwiniał naszego ś. p. gospodarza o to, że częstokroć i po wielu miejscach był sprawcą śmierci zajęcy,

kuropatw, kokoszek, cietrzewi i innych ptaków lub czworonożnych zwierząt, a to nie w czasie do polowania wyznaczonym, i wbrew prawom krajowym, które mordowanie tych zwierząt zachowały możnym panom téj ziemi, co szczególne, lubo nie pojęte dla mnie, upodobanie w tém znajdują. Na obronę więc nieboszczyka mego przyjaciela, wypada mi na ten zarzut odpowiedzieć, że lubo powierzchowny kształt zwierząt, któremi gości swoich częstował, zupełnie był podobny do kształtu owych przez prawa protegowanych, to jednak było to tylko deceptio-visus, albowiem mniemane zające były to młode dzikie kozy, ptaki zaś mające podobieństwo do dzikiego ptastwa, były prawdziwe grzywacze, pod którém to imieniem były zastawiane i spożywane.

Nadto, poborca twierdził, że były mój gospodarz trudnił się procederem, który zowiemy dystylowaniem, nie uzyskawszy na to od rządu zezwolenia, albo używając techniczego wyrażenia; nie będąc patentowanym; ja zaś z mego miejsca podnoszę się na zbicie tego zmyślonego zarzutu, i na przekorę jego miernika, kałamarza i pióra, utrzymuję, że przez całe życie w domu mego gospodarza, anim jednego nieprawego kieliszka aquae vitae, nie zoczył i nie pił. Słodki bowiem i ponętny trunek, który w zajezdnym domu pod Walasem sprzedawano i używano, wcale nie używał tego nazwiska i pod imieniem rosy górnéj był przedawanym. Jeżeli istnieje jakie prawo przeciw paleniu takowéj wódki, niech mi je okaże, a w razie nawet okazania, oświadczam bez ogródki, że nie mogę się do niego stosować.

Co się nareszcie ściąga do tych, którzy do mojego gospodarza na wódkę przychodzili, a dla braku pieniędzy lub kredytu znowu pragnący odeszli, muszę powiedzieć, że to mnie zawsze wskróś przenikało, jakbym sam tego do-

świadczał: mój zaś gospodarz znał też dobrze potrzeby pragnącéj duszy, i gdy biednym ludziom gardło za nadto wyschło, pozwolił im pić za całą wartość ich zegarków i sukien, koszul tylko wcale nie przyjmował, z obawy utraty wziętości swego domu.

Co do mnie samego, mogę wyznać, że mi nigdy nie odmówił pokrzepiającego napoju, którym moje siły po utrudzeniach szkoły wzmacniać zwykłem. Prawda, żem uczył jego pięciu synów angielszczyzny, łaciny, niekiedy też matematyki, i jego córek grać i śpiewać, ale mimo tego nie przypominam sobie, abym kiedyś za tę moją pracę choć szeląg od niego dostał. Ów zatem pokrzepiający trunek wyżéj wspomniony, stanowił jedyną nagrodę która mi się od niego za moje trudy nauczycielskie dostawała. Rodzaj przecie tak dziwnéj zapłaty spodobał mi się niewymownie: mieć bowiem suche gardło, jestto dla mnie być w najprzykrzejszém położeniu jakiego człowiek prawdziwie porządny obawiać się może.

Jeżeli zaś mam bez wszelkiéj osłony mówić prawdę, wyznać mi należy, że gospodarz mój w tym względzie szczególniéj podciągał pod rachubę rozkosz, jaką mu rozmowy moje sprawiały. Te wprawdzie były w rzeczy saméj poważne i budujące, i nakształt architonicznego pałacu dowcipnemi napisami ozdobionego, zabawnemi powieściami przeplatane, a zatém nader interesujące; mój zaś gospodarz tak sobie smakował w tych rozmowach, że nie ma ani jednéj okolicy w Szkocyi, ani jednego zwyczaju lub obyczaju, nad którym byśmy długo nie rozprawiali z sobą. Obecni często mawiali, że samo przysłuchiwanie się nam tak rozumującym, warte butelki piwa i dla tego nie jeden podróżny z sąsiedztwa lub z najodleglejszych okolic królestwa, wmieszawszy się do naszych rozmów, opowiadał

nam nowiny z obcych krajów albo przypominał to, co przed laty zaszło na naszéj ojczystéj ziemi..·

Podówczas to miałem nauczyciela do klas niższych, młodego Patrika Patisson, który był w szkołach dobrze wychowany, a nawet kilka razy miał kazanie. Upodobawszy sobie szczególniéj zbieranie starych historyjek i podań, ubarwiał je kwiatami poezyi, któréj się próżnym i światowym sposobem poświęcał; nie szedł bowiem za przykładem poważnych rymotworców, których mu za wzór wystawiałem, lecz klecił bezmyślne nowomodne wierszyki, mało pracy i rozwagi potrzebujące. Miewałem też często z nim sprzeczki o zasady niewiązanéj mowy, która zawsze była aż nadto przesadną i rozwlekłą, nigdy zaś, podług mojéj rady, szczytną i zwięzłą. Mimo ten smak nieokrzesany i nałóg sprzeciwiania się swojemu przełożonemu i spierania się z tymże o kilka miejsc łacińskich autorów których składnia szyku jest wątpliwą, żałowałem jednak serdecznie, że Patrika Patissona śmierć mi wyrwała, jakby własnym moim był synem. Gdy zaś jego papiery składano do rąk moich, jako wynagrodzenie wydatków w czasie jego choroby i pogrzebu, sądziłem się być upoważnionym do sprzedania temu który się handlem książek trudni, części tych papierów, mających napis: *Powieści mojego gospodarza.* Pan Patrik był rzeźwy człowiek, małego wzrostu, niepospolitéj zdatności w przedrzeźnianiu innych głosów, pełen żartobliwych mów i historyjek i którego dla jego bezinteresowności — szczególniéj szanowałem.

Ztąd się przekonają ci, którzy sądzą mnie niezdolnym do napisania tych powieści, że wprawdzie potrafiłbym je napisać, lecz tego nie uczyniłem; wszelka przeto nagana na jaką one zasłużą, dotknie ś. p. Patrika Patisson, przeciwnie zaś pochwały sobie przypisać mogę, bo jak uczony autor dowcipnie i logicznie powiada:

Causa sine qua non:

To dzieło więc zostanie względem mnie w tym samym stosunku, w jakim dziecię względem ojca; jeżeli dziecię przyzwoicie się sprawuje, ojciec odnosi chwałę i zaszczyt, jeżeli nie, wszelka nagana na dziecię spada.

Dodać mi jeszcze pozostaje, że Patrik Patisson autor tych powieści, więcéj słuchał głosu swojéj wyobraźni, niż surowéj prawdy, że często nawet dwa i trzy opowiadania w jedno połączył jedynie w tym zamiarze, aby się lepiéj przydały do jego planów. Nie wziąłem też na siebie obowiązku przerobienia onych, lubo to zboczenie z prawdy szczerze ganię, lecz taka była wola zmarłego, aby pisma jego nie zmienionemi z pod prassy wyszły. Byłto dziwaczny upór nieboszczyka przyjaciela mojego, który gdyby był mędrszym, powinien był raczéj zaklinać mnie na wszystkie drogie węzły przyjaźni i wspólnych nauk naszych, o przejrzenie troskliwe tych pism, odmienienie i pomnożenie onych wedle mego sądu i widoku. Lecz wola umarłych powinna być sumiennie dochowaną, nawet jeżeli ich upór i omamienie opłakujemy.

Jedediach Cleisbotam.

CZARNY KARZEŁ.

ROZDZIAŁ I.

Było to w pogodny dzień kwietniowy, (tylko że zeszłéj nocy wielki upadł śnieg, i gruba, miękа warstwa śniegu zakryła ziemię), gdy się dwóch jeźdźców zatrzymało przed zajezdnym domem pod Walasem. Jeden z nich był wysoki, barczysty, nosił suknię szarą, kapelusz powleczony ceratą, miał witkę w srebro oprawną, buty i duże kalosze: siedział na wysokim, dzielnym, gniadym koniu, wprawdzie nie starannie chędożonym, ale zresztą dobrze utrzymanym, na siodle żołnierskiém: wędzidło zaś podobnież żołnierskie, zdawało się trochę zardzewiałém. Towarzyszący mu, bez wątpienia jego służący, jechał na małym pstrokatym kłusaku, miał na głowie granatową czapkę, dużą różnokolorową chustkę na szyi zawiązaną i ubrany był w długie granatowe spodnie, które razem miejsce butów zastępowały; jego ręce obnażone, zwalane były smołą, w ułożeniu przebijało uszanowanie i poważanie dla spółtowarzysza, ale ani śladu owéj wyższości i surowéj uległości, jaką zwykle pomiędzy wyższemi a ich podwładnymi napotykamy: przeciwnie, wjechali

obok siebie w dziedziniec karczmy i razem zakończyli głosem donośnym rozmowę temi słowy: „Bóg wie, co się w tym czasie z jagniętami stanie."

Gospodarz spostrzegłszy podróżnych przyskoczył, zatrzymał konia pańskiego za cugle; uśmiechnął się uprzejmie, a tymczasem parobek tęż samą uczynił usługę towarzyszowi. — Gospodarz powitał pana, i niedawszy mu nawet odpocząć zapytał, jakie mają nowiny?

— Nowiny? — odpowiedział dzierżawca, — śliczne nowiny! jeżeli owce ocalimy, będziemy mogli sobie powinszować, z poddaniem się woli boskiéj, musimy jagnięta zostawić Czarnemu Karłowi.

— Tak, tak — przydał stary pastuch którym był drugi z przyjezdnych kiwając głową: — on w tym roku strasznie wojuje.

— Czarnemu Karłowi? — odezwał się mój *uczony protektor i przyjaciel* *). P. Jededjach Clejsbotham, a cóż to za jeden?

— O! nie udawaj przyjacielu! —odpowiedział dzierżawca,—przecie musiałeś słyszeć o Czarnym Karle, o tym mądrym Elzenderze, wszakże cały świat opowiada sobie różne o nim anegdoty, ale to wszystko brednia, ja ani słowa temu nie wierzę od początku aż do końca.

— Wasz ojciec jednak mocno w to wierzył, — rzekł stary pastuch, z widocznym gniewem o niedowiarstwo swego pana.

*) Tu i owdzie wydrukowaliśmy odmiennemi głoskami kilka słów, które, jak się zdaje, godny wydawca Jededjach Clejsbotham w rękopisma swego zmarłego przyjaciela P. Patrika Patisson wsunął. Wypada nam raz na zawsze uczynić uwagę. że uczony Clejsbotham wtenczas tylko co podobnego sobie dozwalał, gdy zachodzi jakie zastosowanie do jego osoby. Należy przyznać, że on najlepiéj wiedzieć powinien, w jaki sposób jego postępowanie i myśli sądzić należy.

— To prawda Bartłomieju, ale to było w czasie szarych djabełków i podobnéj zgrai. Bóg wie jakie niedorzeczności wówczas sobie rojono; wszystkie te bajki zupełnie teraz poszły w niepamięć i nikt już o nich nie wspomina, od czasu jak długie owce hodujemy.

— Tém gorzéj, tém gorzéj, — odpowiedział staruszek: — często wam powiadałem, że ojciec jego nie małoby się zadziwił, gdyby teraz zmartwychwstał, i wszystko ujrzał przewrócone do góry nogami. Jakżeby się zmartwił, zobaczywszy ten śliczny kawałek gruntu, na którym teraz pług zapuszczono, gdzie zawsze siadywał i pocieszał się widokiem krów z gór schodzących.

— Milcz Bartłomieju, — przerwał mu pan: — pij twoją wódkę i nie wtykaj nosa do rzeczy, które do ciebie nie należą.

— Za wasze zdrowie mości panowie! rzekł pastuch: wypróżnił swój kieliszek i wychwaliwszy przecudowność trunku, tak daléj mówił: — prawda, tacy jak my, nigdy nie powinni o niczém stanowić, ale żal wszelako ślicznego kawałka gruntu słońcem oświetlonego, byłoby to dobre schronienie dla jagniąt, w tak przeraźliwie ostre powietrze.

— Ej wszak ci wiadomo Bartłomieju, że teraz pasza tam się rodzi: dobrzeby nam było, gdybyśmy jeszcze nie jedną godzinę czasu na owém miejscu strawili, na opowiadaniu sobie śmiechu godnych historyjek o Czarnym Karle, i podobnych temu bredni, jak się zwykle robiło gdy jeszcze krótkie owce chowano.

— Tak, to nie inaczéj, — odrzekł parobek: — krótkie owce mało są intratne panie.

Tu wdał się raz jeszcze w rozmowę *mój uczony i godny protektor*, robiąc uwagę, że względem długości jednéj i drugiéj owcy istotnéj nie znajduje różnicy.

Na te słowa dzierżawca zaczął śmiać się do rozpuku i pokazał twarz pełną zadumienia. — Wełna to przyjacielu, wełna, dla któréj zowiemy je długiemi lub krótkiemi: sądzę, że gdybyśmy mierzyli ich grzbiety, krótkie owce byłyby najdłuższe: ale od wełny wszystko zależy, i ona to teraz popłaca.

— Na moje życie, Bartłomiéj mówi prawdę! Krótkie owce mało czynią intraty; ale ja nie mam czasu tu siedzieć i gadać: daj śniadanie gospodarzu, i zobacz czy nasze konie mają obrok; jam tu przybył w zamiarze ułożenia się z Chrystyanem Wilson o dawny dług: bogdajby nie przyszło do procesu!... Słuchaj panie sąsiedzie — mówił daléj obracając się do mego *godnego i uczonego protektora* — jeżeli jeszcze chcesz więcéj dowiedzieć się o krótkich i długich owcach, o saméj pierwszéj będę z powrotem; jeżeli zaś ciekawym jesteś posłuchać kilkunastu anegdot o Czarnym Karle i podobnéj hołocie, oto Bartłomiéj, ten się dokładnie na tém zna. — Gdy z Chrystyanem Wilson zgodnie się ułożę, kochanku! sprawię ci suty poczęstunek, a ja sam wszystko zapłacę.

Dzierżawca powrócił o godzinie oznaczonéj z Chrystyanem Wilson, interes bowiem został pomyślnie załatwionym bez potrzeby udawania się do sądów. Mój *uczony i godny protektor* nie omieszkał stawić się dla użycia obiecanych pokrzepień ciała i duszy (lubo jak wiadomo był w pierwszych bardzo umiarkowanym). — Towarzystwo do którego także gospodarza wezwano, bawiło się do późna w noc, i zaprawiało ucztę swoją rozmaitemi powieściami i piosneczkami; ostatnie zdarzenie które sobie przypominam, było, *że uczony i godny protektor* spadł z krzesła, właśnie gdy był przy ostatnich słowach swojéj prelekcyi o wstrzemięźliwości. — W ciągu zabaw nie przepomniano i o Czarnym Karle, a stary pastuch Bartłomiéj umiał

o nim opowiedzieć wiele historyjek, które całemu gronu słuchaczy niezmiernie się podobały.

Po wypróżnionéj trzeciéj wazie ponczu pokazało się, że dzierżawca słuchał podań swoich przodków z takiém zbudowaniem, z jakiém je stary Bartłomiéj opowiadał: przy czwartéj zaś oświadczył że treść ich odpowiednia jest godności męża, który płaci 300 funtów szterlingów rocznéj dzierżawy.

Podług mojego zwyczaju, zasięgnąłem bliższych wiadomości od znających dobrze surową pasterską krainę, w któréj się ta powieść utworzyła i byłem tak szczęśliwy, żem odkrył niektóre nie powszechnie znane rysy onéj, które przynajmniéj za nowy dowód służą, ile ją podanie ludu zabobonem i gusłami przeistoczyło.

ROZDZIAŁ II.

W jednym z najoddaleńszych okręgów południowéj Szkocyi, gdzie wysokie, ciemne góry tworzą linię pograniczną, oddzielającą kraj od pobratymskiego królestwa, młody majętny dzierżawca Halbert Eliot, wywodzący swój ród od podaniem i pieśniami sławnego Marcina Preakinthurme, powracał pewnego razu po odbytém polowaniu na sarny. Zwierzyna, niegdyś tak liczna w tych odludnych puszczach, uszczupliła się do kilku małych stad, które w odległych i nieprzystępnych zakątkach się chowając, ściganie uczyniły przykrém i bezkorzystném. Mimo to, wiele młodzieży téj okolicy, lubiło z zapałem polowanie, z wszystkiemi jego niebezpieczeństwy i trudami. Połączenie koron na głowie Jakóba I króla Wielkiéj Brytanii,

miało ten zbawienny skutek, że więcéj jak sto lat szpada w pochwie spoczywała. W kraju pozostały jeszcze ślady tego co było dawniéj. Mieszkańcy których spokojne zatrudnienia wojnami domowemi poprzedzającego wieku tylokrotnie przerywane były, nawykli zwolna do porządnéj skrzętności swoich sąsiadów. Owiec mało hodowano; chów bydła rogatego, stanowił najcelniejsze zatrudnienie. Po górach i dolinach włościanin zazwyczaj w pobliskości swego mieszkania tyle zasiewał owsa i jęczmienia, ile go na mąkę w gospodarstwie potrzebował, od téj zatém szczupłéj i niedoskonałéj uprawy ziemi, jego parobkom wiele jeszcze zbywało czasu, który zwykle młodzież spędzała na polowaniu i rybołówstwie: ubieganie się zaś za przygodami, dawniéj przyczyna niesnask i wypraw na łupiestwo, odbywały się z całym zapałem z jakim te wiejskie zabawy prowadzono.

W chwili, w któréj się nasza powieść zaczyna, najodważniejsi bardziéj z nadzieją niż bojaźnią wyglądali sposobnéj pory naśladowania swoich ojców w czynach wojennych, których opowiadanie składało najszczególniejszą część ich domowych zabaw. Zawarcie Szkockiego aktu bezpieczeństwa, zrodziło w Anglii zaburzenie, ponieważ ten akt zdawał się zmierzać do rozłączenia dwóch Brytańskich królestw po śmierci królowéj Anny, panującéj monarchini. Godolfin zostający podówczas na czele angielskiego zarządu, przewidział, że nie ma innego środka zaradzenia klęskom domowéj wojny, nad połączenie obu koron w jedno państwo. Jak ten układ zawarto, jak on w początkach zdawał się mało zbawiennych zwiastować owoców, które potém wzrosły, nauczają dzieje owoczesne. Do naszego opowiadania dosyć będzie to wspomnieć, że cała Szkocya rozjątrzona była na wszystkich, co ją wyzuli z niepodległości. Niechęć powszechna stała się powo-

dem zawiązywania najdziwaczniejszych stowarzyszeń. Kameronianie byli gotowi wziąść się do broni dla przywrócenia na tron Stuartów, których dawniéj za swoich uciemiężycieli uważali. Zaburzenie było powszechne, gdy Szkoci już podczas zawarcia aktu bezpieczeństwa do wybuchu się przygotowali i tak do wojny uzbroili, że potrzeba było tylko odezwania się niektórych z wyższéj szlachty, aby lud zerwał się do broni. Takim był czas politycznego odmętu w którym się nasza powieść zaczyna.

Dziki parów, w którym Halbert Eliot ścigał zwierzynę, już daleko leżał za nim, i już był odszedł znaczny kawał drogi do domu, gdy noc go zaskoczyła. Okoliczność ta zresztą obojętną była dla doświadczonego młodzieńca, od dzieciństwa z temi stepami oswojonego; lecz się znalazł w bliskości miejsca nader źle uważanego pomiędzy pospólstwem, które wierzyło, że w niém nadprzyrodzone zjawiska przebywają. Powieściom tego rodzaju Halbert od dzieciństwa z wielką przysłuchiwał się uwagą, i żadna inna część kraju nie dostarczała takiéj obfitości podań: nikt przeto nie był świadomszym ich od Halberta z Hanghoot, bo tak zwano naszego rycerza dla odróżnienia go od kilkunastu Eliotów to samo imię chrzestne noszących. Z łatwością mu zatém przyszło przypomnieć sobie wszystkie straszliwe wypadki, zostające w styczności z pustą dziczą, w którą teraz wstąpił i to z takiem życiem i prawdą, że go dreszcz przejął całego.

Dzicz ta powszechnie zwana była *kamienną puszczą*, od ogromnego nie okrzesanego granitu, który na środku jéj na wzgórku sterczał w kształcie kolumny, i wedle wszelkiego podobieństwa, był albo pomnikiem mężnego spoczywającego pod nią śmiertelnika, lub pamiątką krwawego boju. Nie można było oznaczyć z pewnością czém był w istocie: podanie zaś które równie zmyśla, jak do wy-

krycia prawdy dopomaga, wynagrodziło go wieścią, którą sobie Halbert na pamięć przywiódł.

Ziemia w około słupa była zasłana dużemi także granitowemi kamieniami, lub raczéj niemi otoczona: kamienie te dla ich nieforemnego kształtu i położenia, pospólstwo zwykło nazywać *siwemi gęsiami* na kamiennéj puszczy. Podanie chciało nazwisko i kształt wyprowadzać od zgonu zawołanéj i straszliwéj czarownicy, która niegdyś w tych górach przesiadywała i spełniała wszystkie obrzydliwości, jakie pospolicie tym istotom przypisują. Ona to w téj puszczy zwykła była odbywać swe schadzki z siostrami czarownicami; pokazywano nawet okrągłe place, na których ani trawa ani modrzew nie rośnie, torf zaś zdawał się uschłym od kopyt jéj piekielnych towarzyszek.

Wieść niesie, że ta czarownica jednego razu przeszła przez bagnisko gnając gromadę gęsi, które umyśliła na bliskim jarmarku korzystnie sprzedać: dobrze bowiem wiadomo, że zły duch jakkolwiek jest skorym w udzielaniu drugim swéj mocy i spełnianiu obrzydliwych czynów, często jednak swoich sprzymierzonych stawia w konieczności poddania się dla swego wyżywienia najlichszym pracom wiejskim. Dzień już był upłynął, a jeżeli chciała mieć zyskowną sprzedaż, powinna była pierwsza na targu stanąć; gęsi zaś, które dotąd porządnie szły przed nią, wychodząc na tę obszerną, bujnemi zaroślami okrytą równinę, nagle się rozbiegły, dla pobujania w tym miłym żywiole. Oburzona na upór, który wszystkie jéj prace zgromadzenia ich znowu w niwecz obrócił; nie pomna umowy, na mocy któréj zły duch na pewien czas słuchać jéj rozkazów był obowiązany, zawołała czarownica: — Do djabła, radabym abyście i wy i ja nie mogły ruszyć się z miejsca.... Ledwo co wyrzekła te słowa, aliści jak gdyby metamorfozą tak gwałtowną jak Owidyusza, czarownica wraz ze swoją

uporczywą gromadą przemieniła się w kamienie. Duch któremu służyła, korzystając chciwie ze sposobności, ścisłém dopełnieniem życzeń zniszczył jéj ciało i duszę.

Gdy spostrzegła — przydaje wieść — swoje przemienienie, zawołała na zdradliwego nieprzyjaciela: — O ty fałszywy oszuście! dawno już mi szarą suknię przyobiecałeś, teraz mam jedną którą na sobie wiecznie zatrzymać muszę.

Niezmierna wielkość kolumny i kamieni często bywała wspominaną, jako dowód silnéj postaci i kształtu kobiet i gęsi dawnych czasów, od wszystkich wielbicieli przeszłości, którzy obstawali za tém zdaniem, że plemię ludzkie coraz się rozdrabnia i upadla.

Przypomniał sobie wszystkie te okoliczności Halbert, gdy przez tę puszczę przechodził: wspomniał także iż od czasu jak się ten wypadek zdarzył, wszelka istota ludzka tego miejsca unika, w którém jak powszechnie słychać schadzają, jak dawniéj, straszydła, szare djabełki i czarownice, które teraz, jako przyszłe uczestniki piekielnych uciech, przychodzą odwiedzać swoją przemienioną mistrzynię, Halberta jednak wrodzona odwaga, walczyła mężnie ze wzruszeniami bojaźni, jakie się do jego serca wkradały. Przywołał do siebie swoich dwóch chartów, wiernych towarzyszów polowania, które, jak mówił, ani psa ani djabła się nie lękają, opatrzył zamek swéj fuzyi, i zanucił wesołą piosneczkę wojenną, jak dowódzca, który każe bić w bęben dla odżywienia trwogi swoich żołnierzy.

Tak w myślach zatopionemu, nader miło było usłyszéć za sobą znajomy głos, który mu zwiastował towarzysza w nocnéj drodze; Halbert zatrzymał się i wnet został doścignionym od dobrze mu znanego młodzieńca, dziedzica w téj samotnéj krainie mieszkającego, szlacheckiego rodu, który, podobnie jak on, na polowaniu się zabałamucił.

Młody Ernseliff świeżo wyszedłszy z małoletności, został właścicielem miernego majątku, gdyż ten przez uczestnictwo jego krewnych w zaburzeniach tego czasu, bardzo się uszczuplił. Jego przodkowie używali w kraju wielkiego szacunku, a młodzieniec dobrego wychowania i najlepszych zasad, starał się sławę domu swego utrzymać.

— Miło mi zawsze Panie Ernseliff—zawołał Halbert—cię spotykać, a na téj odludnéj puszczy, dobre towarzystwo jeszcze szacowniejsze — gdzieżeś polował?

— W parowie Carla, Halbercie,—odpowiedział Ernseliff, pozdrawiając znajomego. — Ale czyliż nasze psy zgadzać się będą?

— O co moje to zapewne; one tak są zmęczone że ledwie na nogach stać mogą.

— Na poczciwość, zda mi się, że zwierzyna zupełnie się po kraju rozpierzchła, Bóg wie jak dalekom się zapuścił, a nic nie spotkałem, oprócz trzech sarniątek, które mi się nigdy nie dały do siebie zbliżyć na odległość strzału: szedłem przecież o pół mili manowcem dla wyszlakowania ich. Mało dbam o to, ale radbym był przynieść do domu jaką zwierzynę dla swojéj dobréj staruszki. Ona siedzi w kąciku i żartuje sobie z chełpiących się strzelców i myśliwych tego czasu: prawdziwie, zdaje mi się, że jakby na złość wszystką zwierzynę w kraju wybito.

— Ubiłem P. Halbercie tłustego rogacza którego dziś rano posłałem do Ernseliff, masz z niego połowę dla twojéj babki.

— Dziękuję ci serdecznie p. Patrik, cały świat zna twoje dobre serce: staruszka nie będzie się posiadać z radości, zwłaszcza gdy się dowie, że to od ciebie pochodzi, a bardziéj jeszcze, jeżeli do nas przybędziesz i z nami zwierzynę spożyjesz: myślę jednak, że ci tęskno być musi

w twoim starym zamku, również i twojéj rodzinie w nudnym Edymburgu. Nie pojmuję jak tam wytrzymać mogą, w tych budach kamiennych, pod dachami łupkowemi, gdy przecież mogą mieszkać w swoich własnych tak miłych górach.

— Wychowanie moje i siostr moich,—odpowiedział Ernseliff:—było przyczyną, że matka moja długo w Edymburgu mieszkała, ale daję słowo, że postaram się stracony czas nagrodzić.

— A! każesz podobno stary zamek znowu trochę upiększyć, będziesz żył poufale i po sąsiedzku z dawnym przyjacielem twego domu, jak to przystoi Ernseliffowi: winienem ci powiedzieć, że moja matka — nie, moja babka — gdyż od śmierci własnéj matki naszéj, ją raz matką, drugi raz babką nazywamy: — ale cóż chciałem mówić?... tak, jest pewną, że niezbyt daleko z tobą jest spokrewnioną.

— Prawda Halbercie, jutro przyjdę do Hanghoot na obiad, i to z całego serca.

— To wyśmienity pomysł!... jesteśmy dawni sąsiedzi: a to już dość, choćby krew nas wcale nie łączyła. Moja staruszka rada ci będzie bo zawsze opowiada o twoim ojcu, który przed wielu laty został zabitym.

— Milcz, milcz, Halbercie! ani słowa o tém! niech raczéj wypadek ten pójdzie w niepamięć.

— O ja inaczéj myślę: gdyby się podobny wypadek w naszéj rodzinie wydarzył chyba dopiero pomściwszy się go, zapomniałbym o wszystkiem. — Tak mi uczucie własnéj godności nakazuje. Ale sam wiesz co masz czynić, był to (jak mi powiadano) przyjaciel P. Elisława, który przebił twojego ojca, wyrwawszy mu pierwéj żelazo.

— Przestań Halbercie! był to nierozsądny rozterk, skutek wina i zdań politycznych, wielu szpad dobyło,

a nikt z pewnością powiedzieć nie może, kto dał powód do tego najazdu.

— Cóżkolwiek bądź, stary Elisław miał w tém swe uczestnictwo, ręczę ci, że jeżeli masz chęć pomszczenia się na nim, nikt tego za niesłuszność nie uzna, bo nie ma wątpliwości, że on zbroczył swe ręce w krwi twojego ojca. Wszak oprócz ciebie nie ma nikogo, któryby w tém miał interes i mógł się mu wywzajemnić. Winienem ci powiedzieć, że wszyscy w téj okolicy sądzą, że musi między wami przyjść do rozprawy.

— Wstydź się Halbercie, jestże to po chrześcijańsku podżegać do przekroczenia prawa, zakazującego osobiste wymierzanie zemsty, a zwłaszcza na tém strasznem miejscu, gdzie nie wiemy jakie istoty nas podsłuchiwać mogą.

— Cicho, cicho, — odrzekł Halbert, bliżéj się cisnąc do swego przyjaciela: — nie pomyślałem wcale o tém. Ale mogę się domyślać panie Patrik przyczyny, która twe ramię wstrzymuje. Wszyscy wiemy, że nie brak odwagi, lecz te dwoje niebieskich oczął ładnéj dziewczyny są hamulcem dla słusznéj twéj zemsty.

— Zapewniam cię, — odrzekł mu towarzysz, ledwie nie w złości... — zapewniam cię, że się mylisz. Jestto bardzo niesłusznie z twéj strony tak myśleć, a bardziéj jeszcze o tém mówić. Nie chcę bynajmniéj dawać nikomu powodu do wspominania o mnie, obok imienia tak młodéj damy.

— Ej patrzno, patrzno, — odpowie Eliot, — nie mówiłżem, że nie brak odwagi tak cię ułagodził: wszak nie myślałem nic złego. Jestto sprawa, o któréj wolno przyjacielowi z tobą pomówić otwarcie. W żyłach starego Elisława więcéj płynie zaiste dawnéj krwi rycerskiéj niż w twoich; on nie zna nowomodnych zasad spokojności i po-

koju: jest to człowiek staréj daty, stworzony do walk i łupiestwa. Ma on z kilka tuzinów chłopaków w gotowości, którym pozwala żyć wesoło, a którzy są tak zuchwali jak młodzi... Nikt nie wie zkąd on to wszystko bierze, hojnie żyje, i więcéj wydaje niż ma dochodu. Gdyby tu w kraju wybuchnąć co miało, niezawodnie pierwszy powstanie i wtenczas nie przepomni zapewne dawnych waśni z twoim ojcem. Mam go nawet w podejrzeniu, że go chętka weźmie do starego zamku Ernseliff.

— Wtedy Halbercie, gdyby mu podobna myśl do głowy przyszła, postaram się, aby stary zamek tak się dobrze przeciw niemu bronił, jak się za moich przodków, przeciw wszelkiéj napaści opierał.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie! To mi po rycersku powiedziano!... gdyby do tego przyszło, Panie Ernseliff, każ tylko ludziom w wielki dzwon na gwałt uderzyć, wtedy bracia moi i mały Dawid z kamiennego domu, w mgnieniu oka staniemy przy was, z tylu ile bydź może ludźmi.

— Serdecznie ci dziękuję Halbercie, ale się spodziewam, że nie dożyjemy w naszych czasach tak nienaturalnéj i niechrześcijańskiéj wojny.

— A cóżby w tém było wielkiego... byłaby to nagła sąsiedzka napaść: niebo i ziemia odpuszczą nam taką mowę w téj samotnéj puszczy. — Potulność właściwa dla ludu wiejskiego, my nie możemy żyć tak spokojnie jak w Londynie, bo nie mamy obowiązku pracy jakiéj lud podlega.

— Ej Halbercie, kto jak ty wierzy w nadnaturalne zjawiska, niepowinien tak śmiało wzywać nieba, zważając gdzie jesteśmy.

— Czegóż się więcéj mam troszczyć o tę kamienną puszczę, niż ty Ernseliffie? Prawda, mówią, że tu rozmaite upiory i ogniste istoty straszą, ale cóż to mnie obchodzi.

Dobre mam sumienie, choć się trochę między dziewczęty chełpię i czasami w szynku w czuby chodzę; nie warto o tém mówić. Nie chcę się chlubić, ale jestem najspokojniejszy na świecie chłopak.

— A Ryszard Turnbull, któremu głowę roztrzaskałeś? a Wilhelm Winton, do któregoś nawet strzelił.

— Ej Ernseliffie, aż nadto mnie bierzesz na spowiedź. Ryszarda głowa już wyleczona, a w Boże Narodzenie spór dokończyliśmy, co tyle znaczy, jakbyśmy się pogodzili. I z Wilhelmem także pojednałem się; nieborak... ale to było tylko kilka ziarnek śrutu za półkwaterek wódki, sam bym na to przystał. Ale Wilhelm jest z wioski tam w dolinie położonéj dla tego zaraz tak się rozgniewał. — Wracając do czarownic — gdyby też która nas spotkała.

— To się zgadza z podobieństwem do prawdy, — mówi młody Ernselif, — patrz Halbercie oto stoi twoja stara czarownica.

— Powiadam, — rzecze daléj Halbert, z pogardliwem skinieniem, — gdyby nawet stara wróżka sama z pod ziemi wystąpiła, jeszczebym w to nieuwierzył. Ale Boże nam dopomóż, Ernseliffie co to tam być może!

ROZDZIAŁ III.

Przedmiot, który młodego ziomka śród jego odważnych oświadczeń zastraszył, na chwilę nawet zatrwożył jego mniéj bojaźliwego towarzysza. Księżyc, który podczas ich rozmowy wschodził, walcząc z obłokami, albo używając wiejskiego wyrażenia, zapadając w obłokach zlewał na ziemię chwilami mdłe światło. Jeden z jego promieni, który oświetlił wielki słup granitowy, do którego się teraz zbli-

żyli, pokazał im postać człowieka, ale daleko niższego od zwyczajnego wzrostu, który powoli tu i owdzie pomiędzy masami kamieni ruszał się, nie jak ten, który się daléj posuwać usiłuje, lecz ten, który powolnym chwiejącym się i słabym krokiem istoty przykutéj do massy kamieni, nie wyrusza z miejsca wspomnień smutnych. Czasami ta istota wydawała podziemne mruczące tony, co tak bardzo podobném było do wyobrażenia jakie sobie Halbert Eliot zrobił o zjawisku, że go ogarnął okropny przestrach i włosy mu się najeżyły. Nareszcie szepnął swemu przyjacielowi do ucha: — Jest to stara Luiza; ona sama, czyż mam do niéj wystrzelić, w imię boskie?..

— Broń Boże, — odrzekł towarzysz odsuwając fuzyą, którą tamten już chciał wymierzyć: — jest to biedne szalone stworzenie.

— Tyś sam oszalał, że się tak zbliżasz,—odpowiedział Eliot, zatrzymując młodego Ernseliffa, który chciał bliżéj przystąpić: — jeszcze dość mamy czasu pomodlić się nim do nas nadejdzie: mnie zaś nic na pamięć nie przychodzi. Ale wielki Boże! mówił daléj nieco ośmielony, spostrzegłszy spokojną twarz swego towarzysza i że zjawisko bynajmniéj się nie rusza,—ta istota jak widać wcale się ku nam nie zbliża: słuchajno Ernseliffie, — przydał cichym głosem,—idźmy manowcem, jakbyśmy się chcieli puścić za tropem kozła: bagno aż po kolana, ale wolę mokrą drogę, jak złe towarzystwo.

Ernseliff, mimo oporu i przełożeń swego towarzysza daléj postąpił wprost tą drogą, jaką się z początku puścili, i w kilka chwil stanęli naprzeciw przedmiotu swéj ciekawości.

Postać, która tém mniejszą bydź się zdawała, im bardziéj się do niéj przybliżali, nie była nawet na cztery stopy wysoka, ile przy słabém świetle księżyca dojrzeć mogli,

prawie tak szeroka, jak długa, albo prawie w kształcie kulistym uformowana, słowém, zupełna poczwara. Młody myśliwiec po dwakroć zawołał na to osobliwsze zjawisko: nie odbierając odpowiedzi, bez względu na to, że go towarzysz trącał, aby mu dać poznać, że najlepiéj daléj pójść, nie przeszkadzając cudownéj, nadnaturalnéj istocie. Na trzeci raz ponowione zapytanie, kto jesteś, co tu robisz, o téj nocnéj porze? odezwał się nakoniec głos, od którego przeraźliwych i krzykliwych tonów Eliot przestrachem zdjęty, dwa kroki wstecz skoczył, a nawet towarzysz jego przeląkł się: — idź swoją drogą, nie pytaj się nikogo, kto ciebie nie pyta...

— Co tu robisz tak oddalony od twojego pomieszkania? Czy cię noc w twéj podróży zaskoczyła? Nie chcesz mi towarzyszyć do domu? Boże zachowaj, zawołał Halbert Eliot, dam ci nocleg....

— Raczéj chciałbym sam przepędzić noc na dnie przepaści, — szepnął mu Halbert.

— Idź swoją drogą, — odpowiedziało zjawisko: a zajadłość zdawała się szarpiące tony jego głosu jeszcze przenikliwszemi czynić.—Nie potrzeba mi twego towarzystwa, ani twego noclegu; od pięciu lat głowa moja nie spoczywała pod ludzkim dachem i spodziewam się że to było po raz ostatni.

— Ma pomieszanie zmysłów,—odpowiedział Ernseliff.

— Wygląda jak stary Humphry Ettereas kotlarz, — odpowiedział zabobonny wieśniak: — co zginął przed pięcią laty w tych bagniskach, lecz Humphry nie był tak strasznie grubą bryłą.

— Idźcie swoją drogą, — ozwał się znowu obcy. — Duch waszych ludzkich ciał, zaraża powietrze w około mnie; dźwięk waszego ludzkiego głosu, jak ostre żelazo przedziera moje uszy.

— Boże nas zachowaj,—mówił Halbert,—aby umarli tak źle byli z żyjącymi: źle musi być koło duszy jego — lękam się.

— Pójdź mój przyjacielu, — powiedział znowu Ernseliff: — zdaje się, że ciężki smutek cię przywala, ludzkość nie dopuszcza nam zostawić cię tu samego.

— Ludzkość!—zawołała postać z przeraźliwym śmiechem szyderskim: — zkąd macie to aż do znudzenia powtarzane słowo, to sidło na niedołęgów, tę ponętę, pod którą oszukany nędznik co ją połknął zaraz wędę odkrywa i haki czuje dziesięć razy ostrzejsze od owych, jakie rzucają na zwierzęta, które zabijacie dla podsycenia waszego zbytku.

— Ja ci powiadam mój przyjacielu, — odrzekł na to Ernseliff, — jesteś niezdolnym do sądzenia o twoim własnym losie, zginiesz w téj puszczy, a przez litość wypada nam cię zmusić, abyś poszedł z nami.

— Nie chcę do téj sprawy wchodzić,—rzekł Halbert..— Dla Boga daj pokój duchowi....

— Moja wina niech na mnie samego spadnie, — odpowiedział duch, a gdy dostrzegł, że Ernseliff prawdziwie bierze się do porwania go z sobą, przydał: — twoja wina niech spadnie na ciebie, jeżeli się tylko dotkniesz obrąbka mojéj sukni i powietrzem śmiertelnika mnie zarazisz.

Gdy wymówił te słowa, księżyc tylko co wydobył się z obłoków, a Ernseliff ujrzał, że prawą ręką trzymał do góry miecz na obronę, który w promieniu ciemnego światła nocnego, jak głownia błyszczał.—Upierać się przy napaści na uzbrojonego, rozpaczającemi mówiącego wyrazami, byłoby szaleństwem, témbardziéj, że nie mógł bynajmniéj polegać na wsparciu swego towarzysza, który go samemu sobie zostawił dla ułatwienia się z upiorem, i wyprzedził o kilka kroków na drodze do domu. Ernseliff przeto zwró-

cił się i poszedł za Halbertem, obejrzawszy się raz jeszcze na mniemanego waryata, który, jak gdyby go ta rozmowa większą jeszcze napełniła zajadłością, dziko biegał w około wielkiego głazu, wysilając swój głos na przekleństwa, któremi się groza pustéj dziczy przeraziła.

Dwaj myśliwi w milczeniu czas niejaki postępowali naprzód, aż póki nie uszli znacznéj przestrzeni od słupa, który okolicy nadał nazwisko, i już przekleństw Karła usłyszeć nie mogli. Każdy z nich usiłował spotkanie tak niezwykłe własnym tłomaczyć sposobem, aż Halbert Eliot raptownie się odezwał: — Tak, tak utrzymuję, że to upiór: jeżeli takowym jest, gdy jeszcze był w swojém ciele, wiele złego wyrządził i doświadczył, i dla tego teraz po śmierci spokojności nie doznaje.

— Zda mi się być prawdziwém szaleństwem mizantropji, — odpowiedzał Ernseliff, idąc za popędem swoich myśli.

— Ty więc nie sądzisz, że to strach był jaki? — zapysał Halbert....

— Ja? zapewne że nie... Poniekąd wierzę, iż to była żyjąca istota, alem dali Bóg jeszcze nie widział ludzkiego stworzenia do upiora tak podobnego, i bodajbym żadnego więcéj nie zobaczył.

— W każdym przypadku, jutro tam pojadę, aby zobaczyć, co się z biedną istotą stało.

— Jeżeli dzień, — zapytał Halbert, to dobrze, Boże mi dopomóż, to i ja przytém będę. Ale Hanghoot ztąd bliższy o dwie mile jak twój dom; nie wolałbyś pójść do mnie. Poszlemy chłopaka do Ernseliff z doniesieniem, że w domu u ciebie nikt nie czeka, oprócz służących i kota.

— Zgoda, aby zaś moi ludzie o mnie się nie troszczyli i dla mnie wieczerzy nie stracili, zobowiążesz mnie, jeżeli, jak przyrzekłeś, poszlesz tam chłopaka.

— To mi po przyjacielsku, przyznaję. Idziesz tedy ze

mną do Hanghoot? Zaręczam, że moi z widzenia cię niezmiernie będą uradowani.

Tak się porozumiawszy, daléj szli w wesołéj myśli, aż Halbert Eliot zatrzymał się na szczycie dosyć przykrego pagórka wołając: — Patrz Ernselifie! zawszem wesół, kiedy na tém miejscu stawam: widzisz tam na dole światło w oknie salonowém? Tam siedzi babka, dobra staruszka przy kądzieli; a widzisz drugie światło tu i owdzie przez okna migające się? To moja ciotka Gracy Armstrong. Ona nierównie rządniejsza od moich siostr, co same przyznają, bo są bez wątpienia najzacniejsze dusze na świecie. Same powiadają zawsze, i babka też, że Gracy najczynniejszą jest ze wszystkich, i najskorszą jest nie kiedy co do czynienia w mieście, od czasu jak babka chora na nogi. Moich braci właśnie tam nie ma; jeden jest w Mosphie, należącéj do naszéj dzierżawy, umie tak dobrze polować, jak ja.

— Jesteś szczęśliwym, kochany przyjacielu, mając tylu zacnych krewnych.

— Na poczciwość, jestem szczęśliwym, lecz nie mogę przeczyć, że Gracy wiele winienem. Ale powiedz mi no, wszak byłeś w szkołach i kierowałeś się na uczonego w Edymburgu, powiedz mi proszę, choć to mnie nie obchodzi, czy można się ożenić ze swoją kuzynką?

— Nie inaczéj: podług dawnych zwyczajów nie ma żadnéj przeszkody, między tobą i Miss Armstrong.

— Daj pokój z twoim żartem Ernseliffie! wszak sam jesteś tak drażliwym, jeżeli cię troszeczkę w żarcie zaczepią. Nie dla Gracy to wcale pytałem o to; winienem ci powiedzieć, że ona wcale nie jest moją prawdziwą kuzynką: jestto córka żony mego wuja z pierwszego małżeństwa, krew tedy wcale nas nie łączy, jestto tylko pokrewieństwo honorowe. Ale będąc na pagórku przestrzelę moją fuzyę,

na znak że idę, co zawsze zwykłém czynić. Jeżeli przywożę sarnę dwakroć wystrzelam, raz dla sarny, a raz na znak że idę.

Po danym wystrzale, ujrzano wiele świec tu i owdzie w domu oraz za domem ruszających się. Halbert Eliot wskazał towarzyszowi jednę, która zdawała się ruszać ku ubocznemu zabudowaniu. — To Gracy sama, chce iść naprzeciw mnie aż do drzwi, dobrze to miarkuję, ale dogląda czy jedzenie dla moich psów jest gotowe... niebożęta!...

— Jeżeli mnie kochasz, to i mego psa lubisz... rzekł Halbert: jesteś tak szczęśliwym, — te słowa wymówił tonem żałosnym, co ucha jego towarzysza nie uszło.

— Cóż wielkiego, rzekł—i inni ludzie mogą być tak szczęśliwemi. Miss Izabella Vere, widziałem będąc świeżo na gonitwie, że ukradkiem rzucała wejrzenia miłosne na kogoś kto może wiedzieć, co z tego będzie.

Ernsceliff mruczał coś pod nosem, co niby odpowiedzią być miało, lecz trudno było rozeznać czyli na domysł przystaje, alboli też zastosowanie odpiera. Podobno mówiący chciał swoje zdanie wątpliwą pokryć ciemnością. Tymczasem stanęli na szerokiéj drodze, toczącéj się u spodu przykrego pagórka, i wkrótce byli blisko słomą pokrytego, ale dobrze urządzonego domu, w którym Halbert i jego krewni mieszkali.

Ochocze twarze cisnęły się do bramy, lecz ukazanie się gościa stłumiło zaczepki zgotowane Halbertowi z powodu nieprzyjaznéj fortuny na polowaniu. Powstało maleńkie zaburzenie między trzema dziewczętami, gdyż się każda chciała usunąć z czynności wprowadzenia gościa do domu, i narzucały tę grzeczność jedna na drugą: podobno wszystkie trzy życzyły sobie na chwilkę odejść, aby zdjąć odzież, w któréj tylko bratu pokazać się miały, i przyzwoiciéj ubrane stanąć przed gościem. Halbert zaś wszystkie wy-

łajał (Gracy nie była między niemi), wyrwał jednéj świecę z rąk i wprowadził gościa do mieszkalnego pokoju. — Był to krużganek sklepiony i brukowany, dom bowiem niegdyś służył za miejsce obronne: porównany z mieszkaniami dzisiejszych dzierżawców, wydawał się posępnym i mizernym, ale wielkim trzeszczącym ogniem torfowym oświetlony, był dość dobrym w oczach Ernseliffa, w porównaniu z ciemną i dziką puszczą.... Kilkakrotnie powitała go najuprzejmiéj godna staruszka, pani domu, któréj ubiór składał się z sukni porządnéj, dobrze na niéj leżącéj, z wełny przez nią samą uprzędzonéj, a czepek złotym łańcuchem i zausznicami przystrojony, okazywał zamożną dzierżawczynię: siedziała przy kominie na krześle z rokiciny splecioném i urządzała wieczorne zatrudnienie młodych dziewcząt i kilku rubasznych dziewek, które za młodemi przełożonemi przy kołowrotkach zasiadać zwykły były.

Zaraz po przywitaniu Ernseliffa i spiesznem sporządzeniu sutéj wieczerzy, zaczęły babunia i siostry żartować z Halberta z powodu, że nie był szczęśliwym na polowaniu:

— To co Halbert przyniósł, nie potrzebowało wcale takiego ognia, jaki Anusia w kuchni rozpaliła, — rzekła jedna z siostr.

— Doprawdy, — powiedziała druga, — gdy rozżarzemy popiół torfowy, potrafimy w nim upiec zwierzynę naszego Halberta.

— Albo też przy świecy, jeżeli jéj wiatr nie zgasi, mówiła trzecia, — na jego miejscu, wolałabym przynieść czarną wronę, niżeli trzy razy do domu przyjść nie wydmuchnąwszy ani rogu kozła.

Halbert obrócił się kolejno do każdéj z nich, spojrzał na nie z czołem zmarszczoném, którego groźbę miły

uśmiech dolnéj części twarzy łagodził. Potém zaś starał się pojednać wspomnieniem podarunku, który mu towarzysz przyobiecał.

— Za moich czasów, — zaczęła znowu babunia, — wstydziłby się człowiek wracać z gór, nie mając kozła wiszącego w poprzecz na koniu, tak jak ludzie jadący na targ, z cielętami na przedaż.

— Bodajby i nam co zostawili babuniu, — odpowiedział Halbert, — całą okolicę ogołocili twoi dawni przyjaciele.

— Widzisz Halbercie, — rzekła starsza siostra spoglądając na Ernseliffa, — że inni ludzie umieją jednak wytropić zwierzynę, choć ty nie potrafisz.

— No, no dziewczyny, fortuna nie jest stałą; na drugi raz jemu tak pójdzie jak mnie, a kółko szczęścia do mnie się zwróci. Dyabelna to rzecz, przez dzień cały samemu po stepach się tułać, a do tego powróciwszy do domu doznać jeżeli nie strachu, to zawsze przykrości, a nakoniec kłócić się z prostemi dziewczynami, które od rana do późnego wieczora nic nie robią, tylko drewna przewracają, nitkę wiją i ścierką tu i owdzie po stole szastają.

— Upiory! — wykrzyknęły wszystkie kobiety niezmiernie zlęknione, — mów przecież, — ciekawość bowiem ich do podobnych rzeczy była aż nadto wielką, aby się w téj chwili nie miała obudzić.

— Przestrachu wprawdziem nie doznał, ale przykrości powiedziałem tylko, będąc zabłąkanym, do takiéj istoty. A kto jeszcze wié, czy to był upior! Ernselifie, przecieś go tak dobrze jak ja widział.

Teraz przystąpił do opowiedzenia bez przesady, lecz we własnym sposobie, spotkania z tajemniczą istotą *w kamiennéj puszczy*, i na tém skończył, że to tylko mógł być

zły duch, albo która ze starych czarownic, dawniéj w téj krainie swoje siedlisko mających.

— Stare czarownice! — zawołała babunia, — nie, nie! Boże cię zachowaj od złego mój synu; nie była to czarownica, byłto *brunatny człowiek* z puszczy, ach to wróży złe czasy. Złe istoty jedynie przychodzą, aby pogrążyć w klęski kraj, który teraz pokoju i uciech używa. O ciężkie czasy! brunatny ten człowiek zawsze sprowadził na kraj i jego mieszkańców same tylko nieszczęścia! Mój ojciec często to powiadał, że właśnie widziano go w roku krwawéj bitwy na puszczy Marston stoczonéj; późniéj znowu w czasie wojen Montrosego, a potém jeszcze przed wybuchnięciem buntu Dumbara; za moich czasów widziano go pod mostem Bohkwelts, i powiadano, że wieszczek Benarbuk zszedł się z nim podczas wylądowania Argleja, ale gdzie, nie mogę ściśle naznaczyć, było to daleko ku zachodowi. — Ach dzieci, jak się on ukaże w czasach nieszczęsnych, wszyscy wznieście ręce ku niemu, on tylko sam dopomódz zdoła w dniach biedy!

Ernseliff teraz zabrawszy głos, objawił swoje przekonanie, że człowiek, którego widzieli, jest biedny szaleniec, co bynajmniéj nie ma wyższego zlecenia, zwiastowania wojny lub innych klęsk; lecz zdanie jego obojętnie przyjęto i wszyscy się zgodzili na odwrócenie go od zamiaru wyszukiwania znowu miejsca jego pobytu w dniu następnym.

— O luby synu! — rzekła babunia, — (tego bowiem tonu macierzyńskiego używała do wszystkich, którym sprzyjała), ty bardziéj od innych powinieneś się miéć na baczności; srogie nieszczęścia na twój dom i rodzinę spadły, krew twego ojca lała się, a przez niegodziwe procesa i straty podupadłeś. Ty jesteś chlubą i ozdobą pokolenia, młodzieńcem, który wszystkie stare budowy odbudować

winien! Należy ci więc być zaszczytem ojczyzny i zostać tarczą wszystkich ziomków. Tobie się przedewszystkiém nie godzi puszczać na nierozsądne przygody, albowiem twoje plemię zawsze aż nadto było zuchwałe, i wiele nieszczęścia ztąd dla niego wyniknęło.

— Lecz nie będziesz za tém, kochana mamo, abym w sam dzień lękał się iść w puszczę.

— W dobréj sprawie, bądź własnéj, bądź przyjaciela, nigdybym nie radziła być nieczynnym. Ale zarazem nigdy osiwiała moja głowa nie pojmie, gdyż to wbrew prawu aby wyszukiwać złe, które cię nie obchodzi.

Ernseliff zaprzestał popierać swego twierdzenia, czując, że usiłowania jego będą bezskutecznemi. Danie wieczerzy zakończyło rozmowę; Miss Gracy teraz się także ukazała; obok niéj usiadł Halbert z poufałém wejrzeniem na Ernseliffa. Wesołość i zabawne rozmowy, w które i babunia się wmięszała, z czułém interesowaniem się tak starości przyzwoitém, przywróciły rumieniec na licach dziewcząt, który starła powieść brata o strachach. Po wieczerzy téż tańczyły i śpiewały tak ochoczo, jak gdyby złych duchów wcale na świecie nie było.

ROZDZIAŁ IV.

Z rana po śniadaniu, Ernseliff pożegnawszy się z goszczącym go przyjacielem, przyrzekł dość wcześnie powrócić dla spożycia wspólnie zwierzyny już z domu jego przysłanéj. Halbert, który u drzwi swego mieszkania tylko z pozoru z nim się pożegnał, wymknął się potém po cichu i doścignął go na szczycie pagórka.

— Ty tam idziesz panie Patrik, — zawołał, — i ja

pójdę z tobą, cokolwiek moja babka na to powié. Najlepiéj będzie, zdaje mi się, po cichu wymykać się, aby mego zamiaru nie pomiarkowała, i aby nie nabawić jéj niepokojem: oto ostatnie słowa mojego ojca na śmiertelném łożu wyrzeczone:

— Bardzo dobrze Halbercie, — odpowiedział Ernseliff, gdyż ona jest godna nieograniczonego twojego szacunku.

— Na uczciwość cię zapewniam, że nie więcéj o mnie jak o ciebie troszczyć się będzie. Ale mi powiedz, czy to nie jest zuchwałością iść tam powtórnie, wszak nie mamy do tego szczególnego powodu?

— Gdybym Halbercie był twego sposobu myślenia, możebym już tego wypadku nie śledził, sądząc zaś, że nadnaturalne zjawiska za naszych czasów albo wcale już nie istnieją, albo bardzo są rzadkie, stały mam zamiar wybadać zdarzenie, w którém życie biednego szaleńca może być w niebezpieczeństwie.

— Jeżeli tak w rzeczy saméj myślisz, — odpowiedział Halbert, — zawsze jeszcze wątpiący, — to prawda, że czarownice, chcę powiedzieć dobre duchy (gdyż, jak mówią, nie godzi się ich czarownicami nazywać), które zawsze przedtém na lada oparzysku widziano, daleko rzadziéj za dni naszych się okazują. Nie mogę twierdzić, żebym kiedy którą zoczył, ale raz usłyszałem po za sobą jakieś gwizdanie niby ptaka... mój ojciec zaś wiele czarownic widział, gdy wieczorem powracał do domu z jarmarku, i w szynku trochę zanadto nalał sobie w czubek. Niech z Bogiem spoczywa ten zacny mąż!

Ernseliffa rozweseliła nieco ta sukcessya zabobonu, spadła z jednego potomstwa na drugie, jak to ostatnia uwaga okazała. Daléj tak rozmawiając o podobnych rzeczach, doszli do wysokiego głazu, od którego puszcza miała swoje nazwisko.

— Dalibóg, — zawołał Halbert, — oto tam już się rusza istota! Ale teraz dzień; masz fuzyę, i ja mam także broń ze sobą, sądzę, że się możemy śmiało z nim obejść.

— Nie inaczéj, — odpowiedział Ernseliff, — ale nadewszystko radbym wiedzieć co tam porabia.

— Wał kamienny stawia sobie z siwych gęsi, jakiemi te duże rozrzucone kamienie zowią. U licha, któż się spodziewał co podobnego?

Gdy się przybliżyli, Ernseliff przekonał się, że jego towarzysz miał słuszność. Zjawisko które tu nocą wprzód spotkali, zdawało się mozolnie i zwolna pracować nad układaniem wielkich kamieni, jakoby robić chciało małe ogrodzenie. Materyałów budowniczych leżało w około pod dostatkiem, ale praca zdawała się ogromną, zważając wielkość większéj części tych kamieni; przechodziło nawet pojęcie, że mu się udało, część tychże jakby fundament do budowli ustawić. Właśnie się męczył chcąc ruszyć z miejsca ogromny głaz, gdy dwaj młodzieńcy nadeszli, lecz on tak dalece zatrudniony był pracą, że ich nie spostrzegł aż przy nim stanęli. Przy ujęciu i podniesieniu kamienia, oraz przy ustawieniu go na swojém miejscu, okazał dowód siły z jego postacią niezgodny. Jakoż sądząc z pokonanych już trudności, herkulesowską musiał posiadać moc; zdawało się bowiem, że dwom niepodobna było z miejsca ruszyć kamieni, które sam jeden ułożył. Podejrzenie w Halbercie na nowo się wznieciło, gdy postrzegł tę prawie nadprzyrodzoną siłę.

— Ledwie nie uwierzę, że to duch kamieniarza; patrzajno na te kamienie które położył! Jeżeli to człowiek, nie pojmuję dla czego tu na gościńcu wał buduje; on bowiem lepiéj by się pod Erglenhope przydał! Słuchajno przyjacielu, — przydał głośniéj, — robisz tu widzę mocną warownię!

Człowiek do którego się odezwał, bystre swe oczy jak duch wlepił w niego, a prostując się ze schylenia, ukazał się zupełnie w swéj powtórnéj postaci. Miał głowę niepospolitéj wielkości, która była pokryta rozczochranemi i już przez starość osiwiałemi włosami. Jego gęsto sterczące obrosłe brwi, zakryły dwoje małych ciemnych, bystrych oczy, które ze straszliwą dzikością krążąc, przynajmniéj chwilowe pomieszanie zmysłów wydawać zdawały się. Inne rysy jego były pospolite i gminne, właśnie takie, jakieby malarz nadał olbrzymowi ze świata czarnoksięzkiego, i miały ten dziki, niejednostajny i właściwy wyraz, jaki częstokroć na twarzach oszpeconych ludzi napotykamy. Postać otyła i baryłkowata, ledwo na stóp cztery wysoka; natura bowiem zdawało się że mu nóg nie dała, gdyż te były tak krótkie, że je suknia zasłaniała. Długie i żyłowate ramiona, w czasie roboty obnażone, silne; ręce porosłe czarnemi dużemi włosami; zdawało się jak gdyby przyrodzenie pierwiastkowo zamierzało rozmaite członki ciała jego przeznaczyć olbrzymowi, lecz późniéj przez dziwactwo zrobiło z niego karła, tak bowiem mało zgadzały się długie ręce i żelazna siła z jego krótkim wzrostem. Ubiór karła składał się z grubéj ciemnéj sukni, podobnéj do kapicy, opasanéj skórą morskiego psa. Na głowie miał czapkę z jeżowca, lub innego prostego futra, ta czapka szczególniéj posługiwała do okazywania powierzchowności ciała jego jeszcze dzikszéj jak była i zakrywała rysy, w których wyrazie malowała się ponura i głęboka nienawiść ludzi.

Ciekawy Karzeł rzucił zapalczywie nieprzyjazne wejrzenie na obu młodzieńców, aż nareszcie Ernseliff w zamiarze wprowadzenia go w lepszy humor, rzekł do niego:

— Masz tu ciężką pracę mój przyjacielu, pozwól nam abyśmy ci dopomogli.

Eliot i on wspólnie natężyli swe siły i podnieśli kamień na wał. — Karzeł doglądał okiem dozorcy robotników, i ponurą postawą okazywał swą niecierpliwość z długiéj chwili czasu, na tém strawionéj. Wskazał im drugi, który podobnież na mur włożyli, potém trzeci, czwarty, i tak daléj mu służyli, lubo nie bez mozołu, albowiem wskazywał im same najcięższe głazy.

— Słuchaj dobry przyjacielu, — powiedział nareszcie Eliot, — gdy mu wskazał największy kamień, — Ernseliff niechaj robi co chce, a ty czyś człowiek czyś straszydło, niech mnie kaci porwą, jeżeli się dłużéj męczyć będę koło tych kamieni, i łamać sobie plecy jak tragarz, nie mając za mą pracę najmniejszéj nawet wdzięczności.

— Wdzięczności! — zawołał Karzeł z wejrzeniem, największą wyrażającém pogardę, — oto ją masz i żyw się nią! oto ją masz, niech ci posłuży jak mnie posłużyła, jak posłużyła każdemu płazowi ludzkiemu, który słyszał to słowo wyrzeczone przez usta swojego spółbrata. Precz! — pracuj albo idź!

— Piękna się nam jak widzę Ernseliffie dostała nagroda, żeśmy temu szatanowi chatę budowali. Jak się zdaje, tośmy mu teraz nasze dusze zaprzedali.

— Obecność nasza, — odpowiedział Ernseliff, — zdaje się tylko drażnić jego wściekłość; opuśćmy go raczéj i przyślijmy tu kogo z żywnością dla niego.

Sługa którego w tym celu z żywnością przysłano, zastał jeszcze karła pracującego koło swego muru, lecz ani słówka nie mógł z niego wydobyć. Chłopak przerażony powszechnym zabobonem, nie obstawał przy chęci przywiedzenia go do rozmowy, postawił przyniesiony pokarm na pobliskim kamieniu i zostawił woli odludka, czy ma go użyć lub nie.

Karzeł od dnia do dnia posuwał swą pracę ze skrzętnością pojęcie ludzkie przechodzącą. W jednym dniu często za dwóch zrobił i budowa jego wkrótce się zdawała jak mur chaty, wprawdzie małéj i tylko z kamieni i torfu złożonéj, bez marglu i innego budowniczego materyału, lecz budowa ta dla nadzwyczajnéj wielkości kamieni do jéj wystawienia użytych, otrzymała postać podobną do małego nie sztucznie zbudowanego domku. Ernseliff posłał mu wiele krokwi i łat i kazał je w bliskiém miejscu złożyć w zamiarze wyprawienia tam ludzi nazajutrz, dla wciągnienia ich na dom; lecz Karzeł to pomiarkowawszy, wyprzedził go, i pracował ciągle przez noc całą aż do świtu, tak gorliwie, że się prawie z układaniem belek ułatwił; następnie wziął się do rżnięcia sitowia, aby niém swój dom pokryć i tę pracę ze szczególną dokładnością wykonał.

Zdając się pogardzać wszelką pomocą oprócz przypadkowéj od przechodzących, zyskał tym sposobem potrzebne do budowy materyały i narzędzia, w których użyciu był bardzo biegłym. Wprawił drzwi i okna, zaopatrzył chatę samorodném łóżkiem i kilku miejscami do siedzenia, a stan umysłu jego zdawał się nieco uspokajać, w miarę pomnażających się wygód życia.

Potém się zajął opasaniem ogrodzenia i uprawą ziemi ile mógł najlepiéj, póki sobie małego nie urządził ogródka; wiadomo, że jak wspomniano wyżéj, pustelnik ten od trafem przechodzących, lub ciekawych oglądania go, przypadkową do swéj budowy otrzymywał pomoc. I w rzeczy saméj, niepodobna było znaléźć osobliwszą i na pierwszy rzut oka niezgrabniejszą istotę, która by tak wytrwale i szybko pracowała, bez żadnéj pomocy w swém zajęciu, że zaś nikt z tych przypadkowych pomocników nie wiedział, ile on doznawał wsparcia od innych, szybki przeto postęp budowy jego za cud uchodził. Mocna i trwała

postać domu, w tak krótkim czasie zbudowanego, i to jeszcze przez takiego człowieka; szczególny układ jakiego wszędzie dał dowody, wzbudziła podejrzenie całego sąsiedztwa i uporczywie utrzymywano, że jeżeli nie duch, czego już nie przypuszczali od czasu, w którym odkryli, że to stworzenie ma ciało i kości, to przynajmniéj Karzeł ten zostaje w ścisłym związku z niewidzialnym światem, i to samotne ustronie dla tego tylko wybrał, aby nadal mógł bez przeszkód obcować z tą nieludzką krainą. Twierdzili, lubo w innym sensie niż filozofowie, że nigdy mniéj nie jest odosobnionym, jak gdy jest samotnym, i że z gór, z których puszczę przejrzéć można było, wędrownicy często postrzegali osobę, która mieszkańcowi téj pustyni w robocie dopomagała, a za ich zbliżeniem się zawsze znikała. Taż sama osoba, powiadano, siadywała z nim przede drzwiami, przechadzała się z nim po trzęsawicy, dopomagała mu do wydobywania wody ze źródła. Ernseliff objaśnił to zdarzenie, sądził, że to tylko był cień jego.

— Jakto, to byłby jego cień!—rzekł Halbert,— który był uporczywym obrońcą powszechnéj wieści, — on za wiele zadawał się z duchem, ażeby mógł miéć cień! zresztą, — przydał z większą logiką, — któż kiedy słyszał o cieniu między ciałem a słońcem? Ta istota, jak tylko chce, bywa wyższą od ciała, i nieraz widywano ją między niém a słońcem.

To podejrzenie, które w innym kraju, mogłoby narazić Karła na przykre śledztwa, tu obudziło samo uszanowanie i bojaźń. Mniemany czarnoksiężnik zdawał się lubić te oznaki trwożliwéj pokory, z jaką się przechodnie do jego pomieszkania zbliżali, te wyrażenia pełne trwogi, przestrach z jakim na niego i na dom spoglądali, oraz szybkie kroki, jakiemi się od grozę wzbudzającego

miejsca oddalali. Najzuchwalsi ledwo chwilę bawili, aby prędkiém obejrzeniem chaty i ogrodu nasycić swoją ciekawość, poczém się usprawiedliwiali grzeczną wymówką, na którą Karzeł jedném słowem, albo kiwnieniem głowy dziękować raczył. — Ernseliff szedł często tą drogą, a rzadko się zdarzyło, aby nie odwiedził dziwnego pustelnika, który te zacisze na całe życie sobie obrał.

Niepodobna było wprowadzić go w rozmowę o jego osobistych stosunkach, albowiem nie był ani otwartym, ani przystępnym, gdy się co tych przedmiotów tyczyło, lubo się zdawało, że wściekłość jego nienawiści ku plemieniu ludzkiemu bardzo się ułagodzała, lub że rzadziéj cierpi napaści obłąkania umysłu, które piętno mizantropji na sobie nosiły. Żadna namowa nie zdołała go nakłonić do przyjęcia czegokolwiek, oprócz najprostszych pokarmów, chociaż mu Ernseliff ofiarował co lepszego z litości, a inni sąsiedzi zabobonni z innych powodów. Ostatnim za dobrodziejstwa wywdzięczał się Karzeł dobrą radą, w chorobach ich własnych, lub ich bydląt, gdy takowéj w najgorszym razie, choć z bojaźnią zasięgali. Częstokroć nawet dawał im lekarstwa, które, jak się zdało, nietylko z krajowych, ale i obcych płodów przysposabiał. Dał przytém do zrozumienia, że jego nazwisko jest *Elzender pustelnik*, lecz pospolicie nazywano go: *mądrym człowiekiem na kamiennéj puszczy*. Niektórzy zasięgali rad jego nietylko w słabościach ciała, ale nawet i w innych rzeczach, a on udzielał radę z taką, jak wyrocznia biegłością, że publiczną opiniję, która mu nadludzką moc przyznała, utwierdził. Wzywający jego porady, znosili zwykle dary na kamień leżący blizko jego domu, pieniądze zaś lub to, co się mu niepodobało, rzucał na ziemię, lub zostawiał nietknięte na miejscu. — Jednak postępowanie jego było zawsze gminne i nietowarzyskie: tyle tylko słów wymawiał,

ile potrzeba było na wyrażenie swojego zdania, jak najkrócéj. Gdy zima przeszła, ograniczał się jedynie używaniem warzyw i roślin, które mu ogród dostarczał. Przyjął jednak parę kóz od Ernseliffa, które się pasały na trzęsawicy i mleka mu dostarczały.

Skoro się Ernseliff dowiedział, że dar jego przyjęty, odwiedził pustelnika. Stary ten człowiek siedział na płaskim kamieniu, który można było nazwać trójnogiem, siadał bowiem na nim zawsze, gdy się czuł usposobionym do przyjmowania chorych, lub rad wzywających. Wnętrza chaty i ogrodu strzegł jakby świątyni, żadna stopa ludzka postać tam nie mogła, jak gdyby się lękał, że przez to może być znieważoną. Gdy w mieszkaniu swojém był zamknięty, mimo najusilniejszą prośbę, nikomu nie dawał posłuchania.

Ernseliff zajmował się rybołostwem nad brzegiem małéj rzeczki: z wędką w ręku, z koszem napełnionym pstrągami na barkach, siadywał na kamieniu, naprzeciw Karła, który przywykły do jego obecności, wcale się o niego nie troszcząc. Raz podniósł swą ogromną głowę i surowo na niego spoglądając, spuścił ją znowu na piersi, jakby w rozmyślaniu zatopiony. Ernseliff obejrzał się i postrzegł, że pustelnik wygody swoje pomnożył wybudowaniem owczarni dla kóz.

— Pilnie pracujesz Elzendrze, — odezwał się w chęci wprowadzenia w rozmowę tego osobliwszego człowieka.

— Praca, — odpowiedział Karzeł, — jest to jedno z najmniejszych nieszczęść, jakie plemieniu ludzkiemu dostało się w podziale, a nawet lepiéj pracować jak ja, niż się weselić jak ty.

— Nie mogę bronić ludziom naszych zwyczajnych zabaw wiejskich: polowania, rybołostwa, ale Elzendrze...

— Są one jednak moralniejsze, niż wasze zwyczajne

czynności,— przerwał Karzeł.—Lepiéj spełniajcie to swawolne i próżniackie okrucieństwo na niemych rybach, niż na waszych bliźnich. Ale dlaczegoż tak mówię? Dla czegoż w całéj gromadzie ludzi nie ma jeden z drugim walczyć, jeden drugiego zabijać i pożerać, dopóki wszyscy wytępieni nie zostaną, aż do srogiego upartego Behamonta? A wtenczas gdy już wszystkich wydusi, i koście wszystkim braciom ogryzie, gdy już żadnego łupu mieć nie będzie w szaleństwie wijąc się, padnie i głód go umorzy; oto będzie koniec rodziny ludzkiéj!

— Twoje czyny lepsze są niż twe słowa Elzendrze! odpowiedział Ernseliff,—wszak się starasz utrzymywać plektóre potępiają twe okropne słowa.

— Prawda, ale dla czego? słuchaj: jesteś jeszcze jednym z tych, któremi najmniéj gardzę; nie będę żałował, jeżeli przez litość nad twoją nieszczęsną ślepotą, kilka słów dla ciebie napróżno użyję. Kiedy chorób na ludzi i zaraz na bydło sprowadzić nie mogę, jakże zdołam cel mój lepiéj osiągnąć, niż przedłużając życie tych, co tak skutecznie do zniszczenia dążą? Gdyby Alix Bower przeszłéj zimy umarł, czyż młody Rutwen na wiosnę byłby zabitym? Komuż na myśl przychodzi zaganiać bydlęta do obór; gdy rudy rozbójnik z Westbrunflat śmiertelnie chorował? Moje lekarstwa, moja sztuka, przywiodły go do zdrowia. teraz przeto, kto się poważy trzodę swoją zostawić bez stróża, lub kłaść się spać nie spuściwszy psa z łańcucha?

— Wyznaję, — odpowiedział Ernseliff, — że ostatnią kuracyą nie wyświadczyłeś towarzystwu dobréj przysługi, ale złe powetowałeś tém, żeś przeszłéj zimy twoją sztuką wyleczył mego przyjaciela Halberta, uczciwego Halberta Eliot z febry, która mu niebezpieczeństwem groziła.

— Tak myślą dzieci tego padołu w swéj prostocie,

odpowiedział Karzeł szyderczo się śmiejąc, — i również niedorzecznie w swém obłąkaniu gadają! Widziałeś młodego żbika, którego ułaskawiono? Jakże się on wesoło bawi i mile pieści, ale zawierz mu tylko zwierzynę, jagnięta lub kurczęta twoje, a wrodzona dzikość natychmiast wybuchnie z przytajoną wściekłością.

— To zgodne jest z naturą zwierzęcia, — odpowiedział Ernseliff, — ale co to ma za związek z Halbertem?

— To jego obraza, — odpowiedział pustelnik. — Teraz on potulny, spokojny, powściągliwy, bo mu brakuje sposobności zaspokojenia wrodzonych żądz. Lecz niech tylko trąba wojenna zagrzmi, niech tylko młody drapieżnik krew zwącha, aliści wyrówna w srogości najdzikszemu ze swych przodków, osiadłych na pograniczu, którzy chaty bezbronnego rolnika na pastwę płomieni oddali. Czyż możesz przeczyć, że on sam cię teraz podżega do krwawego pomszczenia się krzywdy w dzieciństwie doznanéj.

Ernseliff był zadrżał z przerażenia, pustelnik nie zdawał się spostrzegać tego i tak daléj mówił:

— Głos boju odezwie się, młody drapieżnik krew ssać będzie, a ja się uśmiechnę i powiem, oto moje dzieło!

Umilkł na chwilę, a potém dodał:

— Takie lekarstwa moje, a jedynym celem ich jest, ludzkie nędzy uwiecznić, i na téj puszczy odegrać rolę w wielkiéj tragedyi. Gdybyś leżał chorym na łóżku, dalibóg byłbym gotów podać ci puhar z trucizną.

— Bardzom ci jestem obowiązany, za tak ponętną nadzieję twéj pomocy, Elzendrze, zapewne zaniedbam użyć twéj umiejętności trucia ludzi.

— Nie pocieszaj się nazbyt nadzieją, — odpowiedział Karzeł, — jakobym wbrew woli mógł uledz słabości miłosierdzia. Dla czegoż mam takiego nędzarza, który jakby

stworzony na wycierpienie wszystkich męczarni życia, wyrywać z cierpień, jakie ci urojenia twoje i złość świata gotują? Dla czego mam grać rolę Indyanina, jednym ciosem zabijającego ofiarę, aby swych towarzyszy pozbawić rozkoszy męczarni umierającego, w chwili, gdy się już ogień płomieniem pali, kleszcze żarzą, ostrzą noże, wrą kotły, dla roztargania, spalenia lub rozszarpania wybranéj ofiary.

— Kreślisz mi srogi obraz życia, Elzendrze, — rzekł Ernseliff, — lecz to nie zraża mnie. Jesteśmy tu przeznaczeni na cierpienia, lecz zarazem do działania i używania. Po dniu burzliwym pogodny następuje wieczór, a ten który cierpliwie udręczenia znosi, znajduje ulgę w pocieszającém przekonaniu dopełnionéj powinności.

— Brzydzę się temi słowy, — mówił Karzeł, a w jego oku zaiskrzyła się zapalczywa zajadłość, — brzydzę się niemi: bo jak może mówić podobnie ten, który na to tylko stworzony, aby zginął? Lecz już ani jednego więcéj słowa dla ciebie nie strawię napróżno.

Potém szybko powstał, i nim wszedł do swéj chaty, z wzrastającym zapałem te pełne goryczy przydał wyrazy:

— Żebyś zaś nie sądził, że moje pozorne dobrodziejstwa spływają z nikczemnego źródła, wiedz, że jeżeli jest człowiek, któryby zniweczył w méj duszy najdroższe nadzieje, moje serce na drobne kawałki rozszarpał i mój mózg ususzył, żeby się palił jak góra wulkaniczna, czy sądzisz, że tego człowieka gdyby jego los i życie było w mocy mojéj, jak to kruche naczynie glinianą miskę u nóg moich stojąca, roztrzaskałbym na drobne kawałki? — Nie! mówił łagodniéj lecz z największą goryczą, — karmiłbym go dostatkami i władzą, dla podsycenia jego pożądliwych chuci, i ziszczenia złych jego zamysłów. Nie zabraknie mu sposobności do zbrodni i obrzydliwości; zwłaszcza że bę-

dzie punktem środkowym rozhukanéj fali, ze srogim szumem ciągle się burzącéj, o którą każdy choć najtrwalszy okręt się rozbije i zniszczy, i nadto trzęsieniem ziemi, aby cały kraj dokoła zadrżał i wszyscy mieszkańcy pogrążeni zostali w bezdennéj przepaści klęsk, jakich ja doznaję.

Na te słowa, wpadł nieszczęśliwy do swéj chaty, zamknął za sobą drzwi z ogromnym trzaskiem, i zasunął zapory jednę po drugiéj, jakby chciał zamknąć wejście każdemu, do obrzydliwéj należącemu rasy, która umysł jego wściekłością napełniała.

Ernseliff oddalił się od chaty, przejęty zarówno uczuciem przestrachu jak litości, zatopiony w myślach, i pragnący dociec, jakie dziwne i nieszczęsne losy ściągnęły ten politowania godny skołatany umysł na człowieka, którego ród i wychowanie nad pospólstwo go wznosiły. Nie mało też zdumiał się nad tém, że Karzeł od tak krótkiego czasu w tém miejscu mieszkając, i pustelnicze wiodąc życie, miał tak dokładną znajomość widoków i stosunków mieszkańców.

— Nie dziw, — mówił sam do siebie, — że nieszczęśliwy ten przy tylu obszernych wiadomościach, przy takim sposobie życia, swojéj postaci i jadowitym mizantropizmie, uważany jest od gminu za sprzymierzeńca nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego.

ROZDZIAŁ V.

Za nadejściem wiosny, gdy milsza pogoda nastała, pustelnik częściéj siadywał przed swoim domem na szerokim płaskim kamieniu. Pewnego razu koło południa, towarzystwo panów i pań licznym orszakiem pędziło

przez trzęsawicę, mimo jego chaty. Psy, sokoły i konie powiększały orszak, a powietrze od chwili do chwili napełniało się radosnemi głosami myśliwców i trąb myśliwskich, w które kilku trąbiło. Odludek na widok tak ochoczego pochodu chciał się do chaty cofnąć, aliści trzy młode damy ze swojemi służącemi, które zboczyły z drogi i od reszty się towarzystwa odłączyły dla widzenia *mądrego człowieka*, stanęły przy chacie, nim swojego zamiaru dokonać potrafił. Pierwsza, ledwie nie zemdlała na widok niezmiernie szpetnéj postaci i zakryła swą twarz rękoma; druga zapytała pustelnika z nawpół przytłumionym uśmiechem, czy im chce wróżyć? Trzecia uciekająca konno, najlepiéj ubrana i nierównie piękniejsza od dwóch innych, zbliżyła się najpóźniéj, jakoby w chęci wynagrodzenia niegrzeczności swoich towarzyszek.

— Zabłąkałyśmy się na drodze, przez puszczę prowadzącą, — rzekła panienka, — towarzystwo bez nas daléj pojechało, i myśmy ujrzały cię ojcze nagle przededrzwiami twego mieszkania.

— Cicho, — przerwał Karzeł, — tak młoda, a już tak chytra. Wyście przyszły, same to dobrze wiecie, nacieszyć się skarbami swéj młodości, swéj urody, swoich dostatków; stawiając je przeciw starości, ubóstwu i szpetności. Myśl twoja przystoi dobrze córce twego ojca, ale jakże jest nieprzyzwoitą dziecięciu twéj matki.

— Znaszże więc moich rodziców i mnie także?

— Tak jest: pierwszy to raz ukazujesz się mojemu czuwającemu oku, ale często cię widziałem we śnie.

— We śnie?

— Tak Izabello Vere! Cóż ty lub twoi krewni, obchodzą mnie we dnie?

— Twoje czuwające myśli szanowny mężu, — mówiła druga z towarzyszek z szyderską powagą, — bezwątpienia

światłu są poświęcone; niedorzeczność tylko we śnie może ci się stać uciążliwą.

— Nad twojemi myślami, — odpowiedział Karzeł posępniéj niż na mędrca lub pustelnika przystało; — niedorzeczność wykonywa nieograniczoną władzę, czy spisz, czy czuwasz.

— Na Boga, — rzekła panienka, — to pewno prorok!

— Jest to tak pewne, jak to żeś kobietą, — odpowiedział pustelnik,— kobietą, powinienem był powiedzieć damą! piękną damą!.. Żądałaś, abym ci wróżył; krótko ci mogę los twój zwiastować: Nieskończone polowanie na zdrożności, które ścigania nie warte, a które schwytawszy znowu porzucisz: polowanie zaczęte od dni niestałéj młodości, aż do sędziwego wieku, lub na kulach opartego starca. Cacka i pieszczoty w dzieciństwie, miłość z jéj niedorzecznościami w wieku panieńskim, spadylle i boston na starość, ubieganie się za wszystkiém, kwiaty i motyle na wiosnę, motyle i igraszkę w lecie, więdnące kwiaty w jesieni i zimie, wszystkiego zapragniesz, wszystko uchwycisz....i porzucisz!... Ustąp na stronę, wróżyłem ci!...

— Wszystkiego więc doświadczysz, — odpowiedziała, — uśmiechająca się piękna kuzynka mis Izabelli Vere; to coś znaczy Anusiu! — i dodała, obracając się do bojaźliwéj dziewczyny, która pierwsza Karła ujrzała, — każesz sobie zapewne także wróżyć.

— Zachowaj Boże, — odpowiedziała Anusia,— cofając się, dosyć słyszałam.

— Dobrze więc, — rzekła mis Iderton; — ofiarując Karłowi pieniądze, ja za siebie płacę.

— Prawda, — odpowiedział Karzeł, — odpychając dar z ponurą wzgardą, nie może być ani opłaconą, ani kupioną.

— Kiedy tak, — odpowiedziała panna, — zatrzymam pieniądze panie Elzender, które mogę użyć na polowaniu, o którém mówiłeś.

— Będziesz ich potrzebować, — odpowiedział maruda:— bez pieniędzy mało osobom udaje się coś zrobić! Zatrzymaj się,— mówił daléj do mis Izabelli Vere, — gdy jéj towarzyszki ruszyły w dalszą drogę, mam ci jeszcze słówko powiedzieć. Posiadasz, co twoje towarzyszki radeby posiadać, albo co podług opinii świata posiadają: urodę, dostatki, godności, i wdzięk ujmujący.

— Pozwól, że pojadę za memi towarzyszkami ojcze; tak mało zawierzam twemu pochlebstwu, jak proroctwu.

— Zaczekaj, mówił daléj Karzeł, chwytając jéj konia za cugle; — nie jestem pochlebnym ani pospolitym wróżkiem, wszystkie zaszczyty które wymieniłem, są nierozdzielne od nieszczęść. Nieszczęśliwa miłość, zwalczone skłonności, ponura cela klasztorna, albo obrzydłe małżeństwo. Całemu plemieniu ludzkiemu życzę niepomyślności, lecz tobie więcéj złego życzyć nie mogę nad to, co już jest usłaném na twojéj drodze życia.

— Kiedy tak jest ojcze, pozwól mi używać najlepszéj pociechy niedoli, póki fortuna mi sprzyja. Jesteś starym, ubogim, twoje pomieszkanie dalekie od ludzkiéj pomocy, w przypadku zapadnięcia na zdrowiu: nadto twoje położenie naraża cię w wielorakim względzie na podejrzenie pospólstwa, prędko się wynurzające w surowych czynach. Dozwól mi więc téj pociechy, abym mogła nieść ci pomoc, przyjm wsparcie jakie udzielić zdołam; uczyń to dla mnie, jeżeli nie dla siebie, ażebym kiedy owa nieprzyjazna gwiazda zejdzie, którą mi niestety! zapowiadasz, nie żałowała, iż chwile szczęśliwszych dni moich bezczynnie upłynęły.

Karzeł odpowiedział głosem żałosnym, prawie jakby nie mówił z Izabellą: — Tak, powinnaś była myślić, tak,

powinnaś była mówić, jeżeli się kiedy słowa ludzkie z myślami zgadzały. Tego nie uczynię, nie uczynię tego, ach! nie mogę tego uczynić! jednak zaczekaj chwilkę i nie oddalaj się aż do mego powrotu!

Wyszedłszy do swego ogródka powrócił z napół rozkwitłą różą. Ty wycisnęłaś mi łzę pierwszą, która po wielu latach skropiła moje powieki, za ten dobry uczynek przyjm znak wdzięczności! Jest to tylko pospolita róża, ale ją zachowaj i nie rozłącz się z nią! Przyjdź do mnie w chwili twego udręczenia, pokaż mi tę różę albo przynajmniéj jeden jéj listek, choć tak zwiędły jak moje serce, a zarazem, że w chwili najdzikszego i najsroższego wybuchnięcia méj zażartości na świat niegodziwy, obudzi ona łagodniejsze uczucia w mojém sercu i stanie się może dla ciebie otuchą szczęśliwszych nadziei. Ale żadnego poselstwa, — zawołał, — wpadając napowrót w swoją mizantropiją; żadnego poselstwa! przyjdź sama, a serce i drzwi każdéj innéj ludzkiéj istocie zamknięte. tobie i twojém udręczeniom zawsze będą otwarte.... Teraz zaś oddal się!...

Puścił cugle i mis Izabella pojechała daléj, podziękowawszy cudownemu człowiekowi, ile na to zdumienie nad jego osobliwszemi słowy dozwoliło. Często się oglądała, patrząc na Karła, który jeszcze stał przy drzwiach mieszkania i spoglądał na nią jadącą ku zamkowi jéj ojca, a Elisław, póki pagórek nie zasłonił jéj przed oczami patrzącego.

Damy tymczasem żartowały sobie z mis Vere, z powodu osobliwszéj rozmowy z powszechnie znanym czarnoksiężnikiem, mianéj na puszczy. Jaka, mówiono szczęśliwa w domu i za domem; jéj sokoł łowi cietrzewie, jéj oczy ranią rycerzy, i nic nie pozostawia dla towarzyszek i kuzynek. Czarno-księżnik nawet nie może się oprzeć urokowi jéj wdzięków. Powinnabyś wyrzec się tego nowego

bogactwa, luba Izabello, albo przynajmniéj z twego mienia ustąpić nam to czego sama nie potrzebujesz.

— Oddaję je wam wszystkie,—odpowiedziała Izabella,—i czarownika w przydatku, a to za małą cenę.

— Dobrze więc, Anusia dostanie czarodzieja,—odpowiedziała mis Iderton,—aby ją wyleczyć z jéj wad: wszak wiesz, że się wcale nie zna na sztukach czarowniczych.

— Boże, moja siostro,—odpowiedziała Annsia; —cóż robiłabym z okropnym potworem! Ledwo nie zemdlałam, raz tylko spojrzawszy na niego; i jeszcze stoi przedemną, choć go nie widzę.

— Niebożątko, — mówiła siostra; — słuchaj Anusiu, póki żyjesz, obieraj sobie zawsze wielbicieli, których przywar nie dostrzegasz, kiedy na nich nie patrzysz. Jak widzę, sama się będę musiała nad nim zlitować, i postawić w szafie z porcelaną méj matki, dla pokazania, że Szkocya wydała bryłę gliny, tysiąc razy szkaradniejszą mającą postać od wszystkiego, co tylko wyobraźnia Chińczyków wymyśleć potrafiła.

— Los tego nędzarza, tak jest opłakany, że z twoją wesołością zgodzić się nie mogę Lucyo! Jeżeli nie ma zasiłków, jakże się potrafi utrzymać w téj dziczyźnie, tak od ludzi oddalonéj? A jeżeli ma środki wystarania się czasem o wsparcie, czyż podejrzenie nie naraźi go na napaść, jeżeli który z naszych sąsiadów dowie się o jego uproszonym groszu?

— Ale zapominasz, że ludzie mówią, iż jest czarownikiem, — rzekła Anusia Iderton.

— Zapewne, — przydała siostra; — gdy mu zabraknie magicznych sposobów czartowych, może polegać na swoich własnych naturalnych; potrzeba mu tylko oknem wytknąć swoję ogromną głowę, a ogniste oczy rzucić na napastnika, a najodważniejszy zabójca wzdrygnie się. Radabym

mieć tę głowę meduzy choć raz na pół godziny dla dowolnego użycia.

— Na cóż Lucyo? — pytała Izabella.

— Chciałabym nią Fryderyka Langlej wypędzić z zamku; tego ponurego, niezgrabnego człowieka, który od twego ojca tak wysoko, a od ciebie tak lekce jest uważanym.... Dalibóg przez całe życie wdzięczną będę czarownikowi, że nas choć na pół godziny uwolni od tego człowieka. Tyleśmy zyskały, opuszczając kompaniją dla odwiedzenia Elzendera.

— Cóż powiesz dobra Lucyo, — pytała się mis Vere cichym głosem, — aby nie być słyszaną od młodszéj siostry, która je na ciasnéj ścieżce wyprzedziła. Cóż powiesz, gdyby ci przyszło towarzystwo jego znosić przez całe życie?

— Co powiem? *nie... nie... nie...* powiem tysiąc razy.

— Ale sir Fryderyk powie, że tyle *nie*, to znaczy potakiwanie.

— Wszystko na tém zależy, — odpowiedziała Lucya; — jak się to *nie* wymawia. Powiadam ci, że moje *nie*, najmniejszego nie zawiera zezwolenia.

— Jeżeli zaś ojciec powie: czyń to *albo*...

— Zostawiłabym to skutkom z *albo*, na przypadek nawet, gdyby był najokrutniejszym ojcem, jaki się kiedy wydarzył w romansie do jak najprzykrzejszego utrudnienia wyboru.

— A gdyby ci zagroził katoliczką ciotką, przeoryszą i klasztorem.

— Tobym, — odpowiedziała mis Iderton; — groziła protestanckim zięciem, i ucieszyła się z pory niesłuchania woli sumienia. A teraz, ponieważ Anusia już nas słuchać nie chce, otwarcie ci powiem, że się można przed Bogiem i ludźmi usprawiedliwić, jeżeli się temu niedorzecznemu

związkowi wszystkiemi siłami oprzesz. Pyszny, posępny, dumny człowiek, knujący spiski i zaburzenia, skąpy i nieużyty; zły syn, zły brat, skryty i nieszlachetny dla wszystkich swoich krewnych. Izabello! wolałabym zginąć, aniżeli pójść za niego.

— Nie wydawaj się z tém przed moim ojcem, że taką dajesz mi radę, — odpowiedziała mis Vere, — inaczéj bądź zdrów zamku Elisław!

— A bądź zdrów zamku Elisław z całego serca! — zawołała Lucya; — byleś się z niego wydostała dobrym sposobem, i uzyskała pomyślniejszą opiekę od téj, jaką ci natura dała. O gdyby tylko ojciec mój wyzdrowiał, chętnieby ci dał przytulenie i obronę, nim śmieszne i srogie prześladowanie koniec weźmie!

— Daj Boże, żeby tak było, — odpowiedziała przyjaciółka, — ale się obawiam mocno, gdyż ojcu twemu przy jego złym stanie zdrowia, niepodobna będzie obronić mnie od środków, jakich spiesznie użyją dla domagania się napowrót biednéj zbiegłéj.

— Sama się oto lękam, — odpowiedziała Lucya, — dla tego wypada się nam zastanowić nad tém i wynaleźć stosowny środek. Teraz gdy ojciec twój i goście jego są zaplątani w jakiś tajemniczy spisek, sądząc, ze wszystkich posłańców, którzy przychodzą i odchodzą, oraz z nieznajomych twarzy, które się coraz zjawiają i nikną, tak, że nazwisk ich dowiedzieć się nie można; z nagromadzenia broni; z trwożliwéj i skrytéj skrzętności, z jaką wszyscy mężczyzni w zamku snują się, teraz może nie byłoby niepodobną rzeczą, ma się rozumieć, gdyby przyszło do ostateczności, także maleńki ułożyć komplecik. Nie myślę, żeby ci panowie sami tylko całą chytrość mieli w posiadaniu, znam dobrze sprzymierzeńca, któregobym doradzić mogła.

— Przecież nie Anusię? — zapytała Izabella!

— O nie!... Anusia jest to przecudne dziewczę, i kocha cię z całego serca, lecz do sprzysiężenia się tak zdatna, jak sławny Rynaldo albo inni uczestnicy spisku w zbawionéj Wenecyi. Nie, jest to Jafier albo Pietro, jeżeli ci charakter lepiéj do gustu przypadnie, a lubo wiem, że się on dosyć ci podoba, wszelako boję się nazwiska jego wymienić. Nie chciałabym cię dręczyć napróżno. Jest to coś z orła i skały. W naszym języku nie zaczyna się od orła, ale jak słyszałam w szkockim.

— Wszak nie rozumiesz przez to młodego Ernseliffa? zapytała Izabella, rumieniąc się.

— A kogoż innego mogę rozumieć? — odpowiedziała Lucya; — Jafierów i Pietrów mało jest w naszym kraju: Rynaldów i Bedamarów możesz wiele znaleść.

— Jakże możesz takie rzeczy mówić, Lucyo! twoje dramy i romanse, głowę ci przewróciły. Najmniejszéj nie ma nadziei, aby kiedyś mój ojciec na to zamężcie zezwolił, a bez jego zezwolenia nigdy męża nie zaślubię; o uczuciach Ernseliffa tyle tylko tobie wiadomo, ile ci domysły i urojenia natchnęły. Wszystko zaś spuszczając z uwagi, nieszczęsny rozterk.....

— Dla którego ojciec jego został zabitym? — zapytała Lucya; — wszak to już dawno się stało, a sądzę, żeśmy przeżyli krwawe waśnie, w których, jak partya szachów w Hiszpanii, spór familijny przechodzi spadkiem od ojca na syna, i w których w każdéj linii zstępnéj, kilka morderstw spełnić się musi, ażeby waśń nie wygasła. Po dziś dzień obchodzimy się z waśniami jak z suknią; sami je sobie przykrawamy i znosimy, równie tak mało myśląc naganiać rozterki ojców naszych, jak nosić ich rozkrawane surduty lub pantalony.

— Zbyt lekce rzeczy uważasz Lucyo, — wymówiła mis Vere.

— Bynajmniéj luba Izabello, — odpowiedziała ona; — rozważ, twój ojciec był wprawdzie obecnym w nieszczęśliwym sporze, ale nigdy nie wierzono, że on śmiertelny cios wymierzył. Oprócz tego, w dawniejszych czasach, między rozmaitemi klasami związki małżeńskie nie były wcale szczególnością. Ręka córki lub siostry, była po większéj części zakładem pojednania. Śmiejesz się, żem tak biegła w romansach; ale gdyby twoja historya była opisaną jak tylu mniéj udręczonych i mniéj godnych bohatyrek, zaręczam cię, że każdy rozsądny czytelnik, właśnie dla przeszkód, jakie niepokonanemi być mienisz, przeznaczyłby cię na damę i miłość dla Ernseliffa.

— Lecz nie żyjemy w świecie romansowym, ale w smutnym stanie obecności: tam o to stoi zamek Elisław.

— Tam stoi sir Fryderyk Langlej przede drzwiami, aby damy zsadzić z koni. Wolałabym ropuchy dotknąć się. Lecz oszukam go, niech raczéj stary parobek będzie moim paziem.

To mówiąc, swawolnica tknęła konia ostrogą, i cwałem pędziła koło sir Fryderyka, wyciągającego ręce dla schwytania cugli jéj konia, i nisko mu się ukłoniwszy, skoczyła w objęcie parobka. Izabella radaby była toż samo uczynić, gdyby bojaźń jéj nie wstrzymała; ojciec bowiem stał blisko. Zły humor zasępiał jego twarz, w któréj się przebijały zapalczywe namiętności, a tak zmuszona była przyjąć przykre usługi nienawistnego kochanka.

ROZDZIAŁ VI.

Pustelnik przepędził w ogródku swoim resztę dnia, w którym z młodemi damami rozmawiał. Wieczór zastał go znowu na jego ulubioném stanowisku. Słońce czerwono zaszło i rozlało na puszczę ponury blask z morza obłoków; z ciemnego światła purpurowego wystąpiły silne zarysy lasami okrytych gór, tworzących granicę téj pustéj okolicy. Karzeł siedział i wpatrywał się w obłoki, wysuwające się kolejno w gęstych, mglistych masach, a mdły promyk nurzającego się w nich słońca, spadłszy na samotną dziką puszczę, każdemu być się zdawał złym geniuszem burzy, która się zbierała, albo czarodzieja, którego podziemne oznaki jéj nadejścia, z głębi ziemi wypędziły. Gdy tak siedział, mając oko zwrócone na czarne posępne niebo, nadjechał ku niemu w samym pędzie rycerz, a zatrzymując się jakby pragnął koniowi odetchnąć, pozdrowił pustelnika z miną zuchwałość i pomieszanie na przemian wyrażającą. Postać tego jeźdźca, chuda, wysoka i wysmukła, lecz nadzwyczajnie silna i żylasta, jak tego, który się całe życie ćwiczył w gwałtownych zamieszkach, nie dopuszczających otyłości, a muskuły wzmacniających. Jego twarz chuda, spalona i piegowata, miała odstraszający wyraz pomieszanéj dzikości, bezczelności i przebiegłości, z których jedno i drugie na przemian się przebijały: rude zaś brwi i włosy odpowiadały w zupełności téj strasznéj postaci. Miał pistolety w olstrach, inną parę widać było z za pasa, chociaż ją zapięciem kaftana zakryć usiłował. Nosił stalowy zardzewiały szyszak, staroświecki skórzany spancer, i rękawiczki, z których prawa pokryta była żelazną łuską, na wzór dawnéj rękawiczki pancernéj. U boku wisiała długa szeroka szabla.

— Znowu łupy i mordy? — zapytał Karzeł.

— Znowu?—odpowiedział rozbójnik;—tak, tak Elzenderze, twojéj sztuce lekarskiéj winienem, że zawsze na dzielnym koniu siedzę.

— A obietnice twoje podczas choroby uczynione, że się poprawisz, czyż są zapomniane?

— Wszystko z parą polewek i rosołów wywietrzało,—powiedział uzdrowiony bezczelnik;—wszak się dobrze znasz ze mną Elzenderze.

— Prawdę mówisz, — rzekł pustelnik; — równie jak wilk nie przepomina chciwości krwi, albo kruk zwąchania trupa, tak i ty nie potrafisz się wyrzec przeklętych chuci.

— A i cóż tedy mam począć? Są one mi wrodzone, płyną w żyłach moich. Westbrunfaltczycy, od niepamiętnych czasów byli grabieżcami i łupieżcami, wszyscy tęgo pili, suto żyli, krwawo się mścili każdéj krzywdy, a nigdy im łupu nie zabrakło.

— Prawda, — rzekł Karzeł, — ty cały wilk jesteś, na jaki że to piekielny figiel teraz się wybrałeś?

— Twoja przenikliwość, odgadnąć tego nie zdoła.

— Ile wiem, — mówił Karzeł,— twój zamysł jest niegodziwy, a wypadek będzie najniegodziwszym.

— Przez ten wypadek bardziéj mnie jeszcze polubisz... odpowiedział Westbrunflat, — wszakżeś mi to często powiadał.

— Mam przyczynę wspierać wszystkich, którzy są plagami swoich bliźnich, a ty jesteś krwawą plagą.

— Temu przeczę, nigdym krwi nie przelał, chyba w razie oporu, a to krew wzburza jak wiesz! Teraz nie ma nic ważnego, obetniemy tylko czubek młodemu kogutowi za to, że piał trochę zbyt dumnie.

— Przecież nie młodemu Ernseliffowi? — zapytał pustelnik z niejakiem wzruszeniem.

— Nie, Ernseliffowi jeszcze nie, ale to może później, kiedy nie usłucha i do miasta nie wróci: tam jego miejsce. Cóż on ma tu do czynienia? Wybić nam te kilka sarn które jeszcze w kraju pozostały, udawać zwierzchność i pisywać do wielkich panów o burzliwym stanie okolicy? Niechaj siebie patrzy!...

— To nie kto inny tylko Halbert z Henghoot, cóż za krzywdę ci wyrządził?

— Krzywdę? co do tego, to nie wiele; alem dowiedział się, iż mówił, żem przez bojaźń jego osoby nie był obecny na zabawach zapustnych, chociaż ja nie jego lecz policyanta się lękałem, który tam był z rozkazem ujęcia mnie. Halbertowi i całéj jego rocie, śmiało stawię czoło, radbym go wyłajać, aby tylko powściągał swój zapał gdy będzie mówił o ludziach, co więcéj od niego znaczą. Mam nadzieję, że nim zaświta, skrzykła mu będą podskubane. Bądź zdrów Elzenderze; tam w gęstwinie, kilku zręcznych chłopaków czeka na mnie, a za powrotem opowiem ci coś pięknego w zawdzięczeniu za twoje leczenie.

Za nim Karzeł zdołał odpowiedzieć, rozbójnik z Westbrunflatt puścił się w galop, dziki koń jego przeląkł się rozrzuconych w około kamieni i skoczył w bok z drogi; jeździec dał mu bez litości ostrogę, koń się burzy, wspina i raptownie jak jeleń rzuca na wszystkich czterech nogach. Lecz wszystko nadaremne, jeździec siedział nieporuszony, i po krótkiéj, upornéj walce, poskromił konia, a zwróciwszy go na prawdziwą drogę, tak szybko popędził, że w mgnieniu oka zniknął z oczów pustelnika.

— Nędzniku! — zawołał Karzeł; — zimny, skamieniały, niemiłosierny łupiezco! Podły, którego wszystkie myśli zbrodniami są splamione! I tenże to jest silnym, barczystym

i zdatnym do zwalczenia szlachetniejszego od siebie stworzenia, na którym szybko pędzi na miejsce, gdzie swą szkaradę chce dopełnić? Lecz precz litości! Gdybym miał słabość przestrzeżenia nieszczęśliwéj ofiary i ocalenia bezbronnego, widziałbym szlachetne me zamiary zniweczone ułomnością, która mnie w tém miejscu przykuwa. Lecz dla czego miałbym pragnąć, żeby się inaczéj stać miało? Mój puhaczowy głos, moja potworna postać, te obrzydłe rysy, jakiż związek mają z wytwornemi dziełami przyrodzenia? Dobrodziejstwa moje nawet przyjmują ludzie ze zgrozą i zaledwie z przytłumioną odrazą. Nie, niewypada mi się ujmować za płcią, która się ze mną obchodziła i dotąd obchodzi jak z wyrodkiem i potworem. Nie, przysięgam na niewdzięczność jakiéj doświadczyłem, na całą niesprawiedliwość jakiéj doznałem, na niewolę, na chłosty, na więzy moje!... że chce przytłumiać uczucia buntowniczéj ludzkości, i nie chce być nierozsądnym, zapomnę zasad moich gdy méj litości wzywać będą; nie ulituję się nad nikim, bo się nikt nade mną nie ulitował. Niech los toczy swój wóz sierpowy przez wywróconą na ziemię masę ludzkości, nie będę tyle nierozsądnym, abym ułomną postać moją, tę potworną znikomą bryłę, pomiędzy koła jego wrzucił; nie ścierpię, aby Karzeł, czarownik, garbus, jakie piękne stworzenie, jaką piękną postać ocalił od upadku, i aby cały świat nasycał się radością zamiany? Nie.... nie!... Jednakże, ten Halbert Eliot tak młody, tak zacny, tak otwarty, tak, ale o nim już pamiętać nie chcę... Nie mogę mu pomagać, gdybym chciał nawet.... tak, stały mam zamiar mu nie pomódz, w razie nawet, gdyby życzenie samo było rękojmią jego bezpieczeństwa.

Po tym monologu, nieszczęśliwy wrócił do chaty, chcąc się ochronić od burzy, która widnokrąg cały zaciemniła.

Deszcze lały strumieniem. Ostatnie promienie słoneczne i dwa lub trzy pioruny co o podal uderzyły, obiły się od góry o górę, jak trzask oddalonéj bitwy.

ROZDZIAŁ VII.

Noc cała była ciemna i burzliwa, ale dzień się ocknął, jakby deszczem pokrzepiony. Nawet kamienna puszcza z dzikiemi stepami i bagniskami, zdała się uśmiechać pod pogodném niebem; rozkosz chciała okazać, że i na najlichszy płaz człowieczy niewymowny wdzięk swój zlać zdoła. Modrzewnica w najpiękniejszym stanęła kwiecie; pszczoły, któremi pustelnik swe domowe potrzeby zaspokajał, roiły się do koła, napełniając powietrze swym skrzętnym szelestem. Gdy stary wyszedł z izby, przybiegły dwie jego kozy, i lizały mu ręce, chcąc wyrazić wdzięczność za trawę, którą im z ogrodu przyniósł. Was przynajmniéj, — rzekł; — moja szpetność nie wstrzymuje od wynurzenia mi waszych uczuć wdzięczności; najkształtniejsze formy, jakie kiedyś rzeźbiarz utworzył, nie czynią na was żadnego wrażenia, a nawet przestraszą, gdy je ujrzycie zamiast pokaleczonego potworu, do któregoście nawykły. Znałemże kiedyś w mojém życiu taką wdzięczność? Nie, sługa, któregom od dzieciństwa wychował, krzywił twarz stojąc za krzesłem; przyjaciel, którego własnym wspierałem majątkiem, dla którego ja sam z krwią... (wstrzymał się i jego rysy skurczyły się)... przyjaciel nawet rozumiał, że godniejsze dla mnie towarzystwo waryatów, haniebne ich uciski, srogie cierpienia, niż obcowanie z innemi ludźmi. Halbert sam tylko, lecz i on mnie z czasem porzuci; wszyscy oni jednakowi, wszyscy z jednéj

masy podłości, samolubstwa i niewdzięczności. Nędznicy, modląc się nawet grzeszą, gdyż tak są zakamieniali, że samemu bóstwu za światło słoneczne i czyste powietrze dziękczynienia złożyć nie potrafią.

Jeszcze był pogrążony w tych smutnych myślach, gdy usłyszał za ogrodem uderzenie końskiego kopyta i czysty głos basowy słodko wzywający Halberta. W téj saméj chwili, duży ogar przeskoczył ogrodzenie pustelnika. Myśliwym tych okolic dobrze wiadomo, że postać i trop kóz, prawie są te same co zwierzyny, tak dalece, że najwprawniejsze charty czasem się na nie rzucają. Pies natychmiast jedną z kóz Karła porwał, rzucił na ziemię i udusił tak nagle, że Halbert zeskakujący z konia dla ocalenia jéj, nie był w stanie wyrwać psu kozy wprzód, aż była zabitą. Karzeł miał kilka chwil oczy wlepione na skurczające się poruszenia umierającego ulubieńca, aż póki biedne zwierzę wyciągając nogi, ostatniego tchu nie wyzionęło. Wpadł potém Karzeł w popędliwą zajadłość; dobył długiego ostrego puginału z pod sukni, chcąc go cisnąć na psa, gdy Halbert, który się domyślił tego zamiaru, przyskoczył i wstrzymując rękę jego,—zawołał:— Daj pokój psu, nie zabijaj go!

Karła złość wywarła się teraz na Halberta, i raptownem natężeniem siły, jakiéj się Halbert nie spodziewał po takiéj postaci; wywinąwszy ręką, przyłożył koniec puginału do piersi jego. Wszystko to było dziełem jednéj chwili, a wściekły pustelnik byłby swoję zemstę zaspokoił, i utopiłby puginał w sercu Halberta, gdyby nagłe wewnętrzne wzruszenie nie kazało mu cisnąć broni daleko od siebie.

— Nie, — zawołał, — widząc, że się samowolnie pozbawił środków dogodzenia swojemu gniewowi, — nie... jeszcze raz nie...

Halbert cofnął się na kilka kroków, bardzo zatrwożony, pełen zdumienia i smutku, że taka na pozór pogardy godna istota, wprowadziła go w tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Licho go opanowało, a tak silny jak zażarty,—rzekł nareszcie Halbert, — usprawiedliwiając się z nieszczęsnego przypadku, który był powodem rozterku.

— Nie chcę wprawdzie mego *Pakana* wymawiać, lecz dalibóg i mnie mocno żal Elzenderze, równie jak tobie, że on takich głupstw narobił. Lecz przyszlę ci dwie kozy, i dwoje tłustych jagniąt, luby staruszku, żeby to nagrodzić. Tak mądry jak ty, nie powinien być zawziętym na nierozumne zwierzę. Słuchaj, koza jest blisko spowinowacona z sarną, Pakan więc mój poszedł tylko za instynktem. — Gdyby to było jagnię, a to wcale co innego! owce powinieneś hodować Elzenderze nie kozy, tam, gdzie tyle ogarów zawsze tropi zwierzynę. Ale będziesz miał to oboje.

— Nędzniku, — rzekł pustelnik, — okrucieństwo zniszczyło jedno z nielicznych stworzeń, które mile na mnie spoglądały.

— Na moją duszę Elzenderze, tyle ubolewam nad tém, że sobie wyobrazić nie zdołasz; lecz ci przysięgam, że się to mimo woli mojéj stało, przyznaję wprawdzie, że wypadało mi psy moje na smyczy trzymać, — bodajby mi były najlepszego barana w trzodach zjadły, albowiem mnie ten wypadek wskroś jak ciebie porusza. Ale już zapomnij o tém; zważaj na to, że jestem oblubieńcem, a taki zawsze ma pełną głowę sprawunków. O godach weselnych myślą bracia moi, albo raczéj o głównym przysmaku; trzy przecudowne sarny, wystaw sobie przywiozą mi na sankach; wiozą je manowcem, gdyż dla błota nie mogą jechać prostą drogą. Przysłałbym ci kawał zwierzyny, lecz obawiam się, że nie przyjmiesz, albowiem Pakan ją złowił.

Podczas téj długiéj rozmowy, w któréj otwarty młodzik wszystkiego użył dla przebłagania oburzonego Karła, zdawał się ten ostatni, mając w ziemię oczy wlepione, być zanurzonym w najgłębszém rozmyślaniu, aż nakoniec w te się ozwał słowa: — Czyż natura... jest to zwyczajna koléj natury... silny rzuca się na słabego i rozszarpie go; zamożny gnębi i obdziera biednego, szczęśliwy prostak mieniący się być szczęśliwym; szydzi z nędzy i ubóstwa, i odejmuje nieszczęśliwemu ostatnią pociechę. — Idź ztąd ty, któryś najnędzniejszemu śmiertelnikowi nową zadał mękę, ty, któryś mnie pozbawił tego, co prawie jedyném było źródłem otuchy, idź ztąd i używaj pomyślności jaką ci w domu gotują.

— Nie ruszę ztąd, jeżeli cię staruszku nie wezmę z sobą, albo przynajmniéj, jeżeli mi nie dasz słowa, że przybędziesz do mnie w poniedziałek. Przy wprowadzeniu do kościoła oblubienicy, kilkaset uzbrojonych Eliotów konno paradować będzie; najświetniejsza to ma być uroczystość od czasów Marcina z Preakinthurme; przyszlę ci wózek z dzielnym konikiem.

— Czyż mnie chcesz raz jeszcze skłonić do mieszania się z pospolitą gromadą?...

— Pospolitą, — powtórzył Halbert; — to mi ślicznie! Eliotowie nie są pospolici; każdy wie, że pochodzą z dawnego szlacheckiego rodu.

— Idź, idź ztąd, niechaj ta sama niedola ciebie czeka, jakiéj ślady tu za sobą zostawiasz, nie pójdę ja z tobą, ale pamiętaj, żebyś potrafił w twéj drodze do domu ujść nędzy i rozpaczy, jaką moi sprzymierzeńcy na twój próg sprowadzili.

— Nie powinienbyś w taki sposób mówić, — odpowiedział Halbert; — sam siebie znasz, nikt też cię nie ma za najskromniejszego; tyleś teraz nagadał, a to wszystko mnie i mojéj rodzinie nieszczęściem grozi. Gdyby więc Gracy, albo mnie, albo memu niewinnemu bydlęciu, jaki fatalny przypadek, co Boże zachowaj, wydarzył się, będę wiedział, kogo się trzymać.

— Precz ztąd, — zawołał Karzeł; — wróć do twego mieszkania, a jeżeli się tam co wydarzyło, wspomnij o mnie.

— Dobrze, dobrze, — odrzekł Halbert wsiadając na konia, — nie warto się z kalekami spierać, oni w gruncie zgnili; ale ci powiadam, gdyby Gracy Armstrong najmniejszy szwank poniosła, odwetuję ci tak, że póki życia nie zapomnisz.

Tak mówiąc ruszył koniem, a Elzender spojrzał za nim z szyderskiém zażartém okiem, wziął rydel i motykę, i poszedł przygotować grób dla swego ulubieńca.

Ciche gwizdanie i głos:—Cyt, cyt Elzenderze! przeszkodziły mu w téj smutnéj czynności; obejrzał się, aliści rudy rozbójnik z Westbrunflat stanął przed nim, jak morderca Bankona (w Makbecie); twarz zbroczona była krwią, a boki pocącego się konia, także nią były popryskane.

— Jestże tedy łotrze, — pytał Karzeł; — szlachetna twoja robota dzienna dokonaną.

— Naturalnie Elzenderze, — odpowiedział rozbójnik; kiedy wyjeżdżam, niechaj nieprzyjaciele moi zadrżą. W Hanghoot było się dziś czego cieszyć, straszne tam płacze i krzyki o piękną oblubienicę!

— O narzeczoną?

— Tak, Karol Forster złodziej drzewa ma u siebie i chce w Kumberland zatrzymać, póki wypadek trawą nie porośnie. W czasie najzapalczywszéj utarczki, maska spadła mi z twarzy; ujrzała i poznała mnie. Źle byłoby koło mnie, gdyby zaraz powróciła, bo Eliotów jest wielu, i nigdy cię nie odstępują w słusznéj lub niesłusznéj sprawie. Otóż tu przyszedłem, abyś mi poradził, jak ją bezpiecznie przechować?

— Chcesz ją zamordować?

— O co tego tobym nie zrobił, chyba w konieczności; ale mi powiedziano, że teraz można z jednego z morskich portów cichaczem ludzi do osad wyprawiać, a za tak śliczną osóbkę jeszcze coś płacą; ładna dziewczyna to prawda, Halbert za powrotem osłupieje jak bryła.

— To go nie żałujesz?

— A on czyżby żałował, gdyby mnie pod szubienicę wieźli? Panny mnie żal, on prędko drugą znajdzie; szkoda nie tak wielka, jedna tyle warta co druga. Powiedz tedy, wszak lubisz słuchać mówiących o podobnych zdarzeniach, czyś słyszał kiedy o lepszym psikusie?

— Powietrze, morze i ogień! — mówił Karzeł sam do siebie; — trzęsienie ziemi, burza i wyziewające góry, wszystko umiarkowane i łagodne w porównaniu z wściekłością człowieka! Czymże jest więcéj ten niegodziwy, jak tylko obrotniejszym do wypełnienia celu swego bytu? Słuchaj łotrze, puść się tam dokąd cię dawniéj wyprawiałem.

— Do komisarza dochodów?

— Tak jest, — powiedz mu, — że Elzender pustelnik poleca, aby ci dał pieniędzy, lecz wypuść mi dziewczynę na zupełną wolność, wróć ją przyjaciołom i krewnym; odbierz od niéj przysięgę, że twojéj szkarady nie wyda.

— Przysięgę, — odpowiedział rozbójnik; — a gdy ją złamie? Kobiety nie są znane z dotrzymania słowa. Ty taki mędrzec, powinienbyś o tém wiedzieć. A któż wie, co się z nią tymczasem u Karola Forstera zrobiło?... To, to licho; jeżeli mi jednak się wystarasz o dwadzieścia

sztuk złota, ręczę ci, że za 24 godzin napowrót będzie w domu.

Karzeł dobył z kieszeni pugilares, napisał coś w nim i wydarłszy karteczkę, dał mu ją z temi słowy:— Słuchaj, wiesz, że mnie podejść nie potrafisz. Jeżeli się poważysz mnie nie posłuchać, życiem to własném przypłacisz!...

— Wiem, — odpowiedział rozbójnik ze spuszczonemi ku ziemi oczyma; — że masz władzę, Bóg wie, jakim sposobem ją osiągnąłeś, dokazujesz czego nikt dokazać nie może, ponieważ wszystko jest na twe rozkazy, nawet przyszłość przewidujesz, pieniądze zaś jeżeli słówko wymówisz, sypią się tak szybko, jak w mroźne dni listopada łupinki z jesionów: nie chcę przeto być nieposłusznym.

— Idź więc, i uwolnij mnie od twéj nienawistnéj obecności.

Rozbójnik spiął konia ostrogami, i pojechał bez odpowiedzi.

Halbert Eliot tymczasem przebył drogę, smutnemi dręczony myślami, że nie wszystko tak się dzieje, jak być powinno; myślami, które zwykle przeczuciami nieszczęścia nazywamy. Stanąwszy na pagórku, z którego swe pomieszkanie mógł dostrzedz, spotkał mamkę swoją. — Mamka w owych czasach u wszystkich familii szkockich, tak znakomitych jak i średnich, w wielkiéj była wziętości. — Węzeł nadto ścisły łączył ją z jéj wychowańcami, ażeby kiedy mógł być zerwanym; zwykle mamka cały wiek przepędzała w domu wychowańca, dopomagała tam w gospodarstwie i odbierała wszystkie oznaki szacunku i poszanowania od naczelników rodziny. Skoro Halbert poznał starą Annę w czerwonym tołubie i czarnéj kapicy, smutna mu się nasunęła myśl, że albo jaki nieszczęśliwy przypadek tak ją opodal od domu odprowadza, albowiem nigdy o kilkanaście nawet kroków z domu się nie oddalała, albo też,

że przyszła we mchu szukać poziomek i jagód, albo coś podobnego do pasztetów i tortów na poniedziałek. —Nie mogę sobie wybić z głowy, szepnął sam do siebie, słów wywietrzałego, starego, ułomnego i przeklętego garbusa. W każdéj chwili nieszczęście snuje mi się przed oczyma. Przeklęty Pakanie alboż ci niedość było sarn i kóz, żeś koniecznie jego zwierzynę udusić musiał?

Tymczasem posuwała się Anna, u któréj na twarzy smutek się malował. Jéj wejrzenia były tak pełne rozpaczy, że się Halbert o nic pytać nie mógł. Ach mój synu!—zawołała z rozpaczą,—nie jedź daléj, nie jedź daléj, straszny to widok dla każdego, a cóż dopiero dla ciebie!

— Dla Boga! cóż tam się stało?.... — zawołał strwożony jeździec, — usiłując wyrwać cugle z rąk staruszki. Dla Boga pozwól mi ruszyć i zobaczyć, co się tam zrobiło.

— Ach! jakiegoż dnia doczekałam się! dom z ziemią zrównany, śliczna stodoła w popioł tlący się jeszcze obrócona; wszystko bydło zabrane!— Ale nie jedź daléj! młode serce pęknie ci z żalu, kiedy ujrzysz co moje stare oczy dziś widziały.

— A któż mi to zrobił? puść cugle Anno, — gdzież moja babka, — moje siostry? Gdzież Gracy Armstrong? Boże! słowa czarownika jeszcze mi w uszach brzęczą.

Skoczył z konia, aby się uwolnić od Anny, a spiesznie wdrapawszy się na szczyt pagórka, spostrzegł wnet okropne widowisko. — Pomieszkanie położone nad brzegiem strumyka, które w dostatki rolnicze obfitujące opuścił, do szczętu było teraz spustoszone; zapas torfu, stodoła, bydłem rogatém wypełnione obory, wszystek dobytek górala owych czasów, czego nie mało biedny Eliot posiadał, wszystko w jednéj nocy było zniszczoném i zrabowaném.

Kilka chwil stał wryty, jak słup, potém wykrzyknął, — jestem zgubiony, — do szczętu zrujnowany! Ale

mniejsza o tę stratę, gdyby to nie było na tydzień przed moim ślubem. Lecz ja nie dziecię, abym usiadł i płakał. Bylem znalazł Gracy, babkę i siostry zdrowe, wybiorę się do Flandryi, jak mój dziad ze starym Buedeuchem. Bądź co bądź, trzeba się uspokoić, inaczéj wszystkim odwagi nie stanie.

Tak mężnie myśląc, postępował Halbert w dolinę w stałym zamiarze przytłumienia rozpaczy i udzielenia pociechy, któréj sam potrzebował. Sąsiedzcy mieszkańcy z doliny, szczególniéj z imienia Eliotowie, już się zebrali. Młodzi uzbrojeni wołali o pomstę, nie wiedząc przeciw komu. Starsi czynili przygotowania do zasilenia nieszczęśliwéj rodziny. Chata Anny, która w małéj odległości od pogorzeliska nad wodą leżała, z pośpiechem została urządzoną na przyjęcie matrony i jéj córek, i przez sąsiadów zaopatrzoną została w pierwsze potrzeby, albowiem mało co z pożaru uratowano.

— Czyż tu mamy cały dzień nic nie robić! — ozwał się młody przystojny młodzieniec, i patrzyć się na tlejący popioł domu mojego stryja? Każdy kłęb dymu hańbę naszą oznacza, na konie! do broni! ścigajmy za śladem!...

— Młody Ernscliff, — odrzekł drugi,— już dawno ruszył w sześć koni, zobaczymy czy co wyśledzi.

— Puśćmy się za nim, lud podburzmy, po drodze przyłączą się do nas, a wtenczas daléj na rabusiów z Kumberland!... Mordy i pożogi!... których najpierwéj spotkamy, pierwsi drogo opłacą.

— Milczcie, nie krzyczcie tak, wy przemądre młodziki, — odezwał się stary. — Prawicie nie wiedząc co! Cóż to wojnę chcecie podżegać między dwoma w pokoju żyjącemi krajami?

— Na co nam się zdadzą te ciągłe perory o naszych ojcach, kiedy tu mamy spokojnie siedzić i patrzyć, jak

przyjaciołom naszym domy nad głowami podpalają; nie mamyż się pomścić? Dalibóg, ojcowie nasi na wypadek podobny nie byliby obojętni.

— Wszak nie powiadam, — odrzekł ostrożniejszy staruszek, — żebyśmy się za Halberta pomścić nie mieli, ale teraz wszystko powinno iść podług prawa Szymonie!

— A któż z żyjących wie, — odezwał się drugi staruszek, — co było prawem w wyprawach na pograniczu? Adam z Whitram wiedział o tém, ale on w czasie tęgiéj zimy umarł.

— Prawda, — przydał trzeci; — ten jeszcze był na wielkim rokoszu, kiedy aż pod Thirwall podstąpili, było to w rok po wielkiéj bitwie pod Philippkhang.

— Ej!— zawołał inny doradzca;—czyż na to potrzeba wielkich wiadomości? Wetknijcie mi kawał palącego się torfu na koniec dzidy, albo wideł, lub na co podobnego, trąbcie i wołajcie hasło, a wtenczas wolno będzie wybrać się do Anglii po zrabowane dobro, i odebrać je zbrojną ręką, lecz powinniście to tylko żądać coście stracili. Oto dawne prawo pograniczne, stanowioném one było w Drundam za czasów czarnego Douglasa, możecie mi wierzyć.

— Ruszajcie więc towarzysze,—zawołał Szymon;—daléj na konie! zabierzemy z sobą starego Cuthbera, on to wie, ile spalone zabudowania były warte. Halberta stodoły, obory, owczarnie i stajnie, jeszcze przed wieczorem muszą znowu być pełne. A ponieważ spalonego domostwa tak prędko odbudować nie potrafimy, za to wkrótce wet za wet jeden dom w Anglii w popiół obrócimy.

Ten zachwycający wniosek, przyjęła młodsza część zgromadzenia z wielkim okrzykiem radości. Nagle jeden drugiemu szepnął do ucha, oto sam Halbert nieborak, on to ma nam przewodzić!

Halbert, którego ta sprawa najbardziéj obchodziła, doszedł już był do spodu pagórka, przedarł się przez tłumy zgromadzonych przyjaciół, tak miotany mnogością uczuć, że nie był zdolny, ani jedném słowem nawet, odwdzięczyć się za tkliwe uściśnienia, któremi stryjowie i przyjaciele jego swą boleść mu wynurzali. Gdy Szymon z Hakburn wziął go za rękę, dusza jego moc nareszcie odzyskała. Dziękuję ci Szymonie, dziękuję wam sąsiedzi!... wiem co chcecie wszyscy powiedzieć! Ale gdzież one! gdzież?

Umilkł, jak gdyby się lękał wymienić imiona osób tak przez niego ukochanych. Równém uczuciem przejęci krewni, wskazywali na chatę. Halbert wszedł do niéj z oznaką największéj rozpaczy.

— Biedny człowiek— biedny Halbert, teraz się wszystkiego dowié! Podobno Ernseliff wykrył już ślad biednéj dziewczyny!

Tak wołał jeden po drugim; a wszyscy cierpliwie oczekiwali powrotu nieszczęśliwego, jednakową ożywieni myślą poddania się pod jego dowództwo, gdyż brakowało im wodza, któryby był zdolny pochodem kierować.

Widzenie się Halberta z rodziną było w wysokim stopniu rozczulającém: siostry wybiegły przeciw niemu z płaczem i uściskami, jakby chciały przeszkodzić poznaniu ogromu całego nieszczęścia.

— Boże ci dopomóż mój synu!... może On dopomódz, jeżeli na tym padole ufność nie jest złamaną trzciną!...

Temi słowy przywitała matrona nieszczęśliwego wnuka, który niespokojny oglądał się na wszystkie strony, gdy tymczasem dwie siostry trzymały go za ręce, a trzecia leżała w jego objęciach.

— Widzę was, — mówił Halbert, — liczę was: babunia, Liza, Joanna, Anusia... ale gdzie? — umilkł; lecz wnet daléj rzekł z natężeniem: — gdzież Gracy?... dalibóg teraz nie czas grać w ślepą babkę, teraz nie czas gawędzić.

— Ach bracie i nasza biedna Gracy!...

Ta była jedyna odpowiedź na jego pytania, aż babka powstała i powoli odciągając go od płaczących dziewczyn, posadziła na krześle i przemówiła do niego z czułością, jaką tylko prawdziwa pobożność obudzić może:

— Mój synu! gdy twój dziad na wojnie zginął i zostawił mnie z sześcią sierotami; ledwo z kawałkiem chleba na wyżywienie nasze i dachem na pokrycie, wtenczas miałam siłę wyrzec w pokorze: Panie! Twoja wola niech się staje. Mój synu! nasz spokojny dom téj nocy od uzbrojonych i zamaskowanych zbójców był napadnięty, wszystko zrabowali i spustoszyli i lubą naszą Gracy uprowadzili. Błagaj o siłę, abyś mógł powiedzieć: Jego wola niech się stanie!

— Matko! matko! nie nalegaj na mnie teraz, tego nie mogę teraz... nie!... Jestem grzesznik zahartowanéj natury, — zamaskowani, uzbrojeni, — Gracy uprowadzona! Dajcie mi miecz i tornister mojego ojca, pragnę zemsty, gdyby nawet mi przyszło szukać jéj w otchłani piekła.

— O synu, o mój synu! zginaj się pod rózgą gniewu Boga! Bóg mógłby nam swoją prawicę usunąć. Młody Ernseliff, Boże błogosław mu, puścił się za rabusiami w pogoń wraz z Dawidem z kamiennego domu i pierwszemi co się do niego przyłączyli. Wolałam, aby raczéj dali zabudowaniom spłonąć, a sami spieszyli dla ścigania niegodziwców i ocalenia Gracy. Trzy ledwie godziny było po tym wypadku, gdy Ernseliff i jego ludzie już przebyli góry. — Boże pobłogosław mu, — swego ojca godny syn, prawdziwy przyjaciel.

— Przyjaciel prawdziwy, tak jest, Boże mu dopomóż, zawołał Halbert, — ruszajmy ztąd, abyśmy go dognali.

— O moje dziecię, nim się na niebezpieczeństwo wystawisz, wymów mi te słowa: Jego wola niech się stanie.

— Nie nalegaj na mnie teraz matko! teraz nie!... Chciał wybiedz, lecz gdy się obejrzał, spostrzegł swą babkę w najgłębszym żalu pogrążoną, raptem wrócił, i rzucając się w jéj objęcia zawołał:

— Tak jest matko! mogę powiedzieć: Jego wola niech się stanie.

— Niech będzie i z tobą mój synu! niech ciebie nie odstąpi! daj Boże, abyś jak powrócisz mógł powiedzieć: Jego imię niech będzie wielbione!

— Żegnam cię matko, żegnam was siostry kochane! zawołał i pospieszył na dziedziniec.

ROZDZIAŁ VIII.

Na konie, na konie! do broni! — wołał Halbert do swoich stryjów; wielu dzielnych mężów siadło na koń, a w czasie gdy Eliot skwapliwie szukał broni i narzędzi wojennych, co było niełatwém w powszechném zamieszaniu, radosne okrzyki młodych przyjaciół obijały się o dolinę.

— To to, — ozwał się Szymon z Hakburn, — wyborny sposób postępowania w podobném wydarzeniu. Kobiety niechaj w domu siedzą i szlochają, mężowie powinni czynić co im przynależy.

— Powściągnij twój język Szymonie, — rzekł surowo któryś ze starszych, — nie wiesz co mówisz.

— Czy masz jaki ślad, jaką wiadomość Halbercie! O tylko się nie spieszcie wy młodziki, — mówił stary Ryszard z doliny.

— Na cóż twoje kazania, — odpowiedział Szymon. Jeżeli sam nie chcesz pomagać, nie wstrzymuj przynajmniéj drugich od pomagania!

— Cicho, panie, chcesżże się pomścić nie wiedząc nad kim?

— Albož myślisz, że nie znajdziemy drogi do Anglii tak dobrze jak ojcowie nasi! Wszystko złe pochodzi ztamtąd. Dobre to i prawdziwe przysłowie, lecz pośpieszajmy tam, jakby djabeł za nami gonił.

— Puśćmy się przez puszczę śladem koni Ernseliffa, wołał jeden z Eliotów.

— Ja ich wykryję choć w najgorszém oparzelisku, na pograniczu, — powiedział Hugo kowal z Ringleburn, gdyby się tam choć chwilkę zabawili. Wszak ja konie własną ręką pokułem. Zabierzmy ogary, gdzież one?

Halbert natychmiast gwizdnął na swoje psy, które biegały koło szczątków dawnego swego pomieszkania, i napełniły powietrze przeraźliwém wyciem.

— Teraz Pakanie, — mówił Halbert, — pokaż mi raz dzisiaj co umiesz! A jakby mu raptem coś do głowy przyszło, dodał: przeklęty Karzeł mówił coś o tém. On więcéj o tém musi wiedzieć, albo o łotrach na ziemi, albo o czartach pod ziemią. Ja już to z niego wydobędę, choćby mi nawet przyszło nożem z djabelnego garbu wyrżnąć.

Potém śpiesznie wydał towarzyszom swoim potrzebne rozporządzenia:

— Czterech pójdzie z tobą Szymonie, ale prosto ku Graemeslhop. Jeżeli to są Anglicy, więc tędy poszli. Reszta niech się rozstawi po dwóch lub trzech w okolicy. Pod Tristingsful zejdziemy się: moim braciom jak powrócą, powiedzcie, aby za nami dążyli i z nami się połączyli. Nieboracy tyle co ja cierpią. Ani się im śni, jak do

smutnego domu zwierzynę zawożą. Ja sam ruszę do kamiennéj puszczy.

— Na twojém miejscu,— rzekł Ryszard z doliny,—poradziłbym się mądrego Elzendera, on ci potrafi wszystko powiedzieć co się w kraju dzieje, byle chciał.

— *Powinien* chcieć, — odpowiedział Halbert zatrudniony przypasaniem broni, *powinien* mi powiedzieć co wié o figlu téj nocy wyrządzonym, albo będę wiedział dla czego nie chce powiedzieć.

— Tak, ale mów z nim łagodnie kochany Halbercie! mów z nim tonem uprzejmym, proszę cię! Tacy jak on, nie cierpią groźby, tyle przestają z duchami i kłótliwym motłochem upiorów, że zwykle nie bywają wesołéj myśli.

— Wiem co mam robić, — odpowiedział Halbert, dziś czuję coś w mojéj krwi, żebym gotów stawić czoło wszystkim na ziemi czarownikom i wszystkim szatanom z piekła.

To mówiąc wskoczył całkiem uzbrojony na konia, i ruszył kłusem ku spadzistéj górze, śpiesznie przebył górę, potém również śpiesznie dążył przez zarośla, nim przebył długą drogę, która do kamiennéj puszczy prowadziła.

Zmuszony jechać trochę powolniéj z powodu wielkich trudów, jakie jego konia czekały, miał czas zastanowienia się nad sposobem, jakimby prawdę z Karła najlepiéj wybadać, chociaż wcale nie wątpił, że on jest sprawcą jego nieszczęścia.

Lubo Halbert był zapalczywy, popędliwy, lekkomyślny i otwarty, jak większa część jego ziomków, nie zbywało mu jednak na owéj przebiegłości, która równie wszystkim ziomkom jego jest właściwą. Ztąd łatwo przyszedł do przekonania, z tego wszystkiego co się

o Karle dowiedział, że groźba i gwałt posłużą tylko do powiększenia jego zaciętości.

— Pójdę, — mówił sam do siebie, — za radą starego Ryszarda, i łagodnie z nim pomówię. Ludzie wprawdzie mówią, że on sprzymierzony ze złym duchem, lecz przecie nie jest czartem z duszą i ciałem, żeby w tak okropnéj klęsce ani iskierki litości nie miał. Wszak mówią także, iż czasami czyni dobrze i dobrodziejstwa świadczy. Zatém o ile tylko zdołam, starać się z nim będę jak najspokojniéj rozmówić, a gdyby przyszło do ostateczności, wszak mogę mu kark skręcić.

Tak skłonny do zgodnego układu, stanął przed chatą pustelnika.

Nie siedział pustelnik na kamieniu, i nigdzie w ogrodzie i dziedzińcu nie było go widać.

— Śpi zapewne w swoim lochu, — pomyślał, — może chce mnie unikać, lecz nie zdoła uszu swoich zamknąć przede mną.

Tak do siebie mówiąc, wołał donośnie:

— Elzenderze! dobry przyjacielu! tak błagającym tonem, na jaki mu tylko walczące w nim uczucia dozwalały.

Żadna odpowiedź.

— Elzenderze, mądry ojcze Elzenderze!

Żadna odpowiedź.

— Bodaj cię licho! — mruczał Halbert, — a po chwili zaczął znowu łagodniejszym tonem: — Dobry ojcze Elzenderze! najnieszczęśliwszy człowiek wzywa twéj mądrości o radę.

— Tém lepiéj, — ozwał się nareszcie przeraźliwy głos Karła, przez maleńkie do strzelnicy podobne okienko, obok drzwi jego mieszkania będące, przez które wszystkich zbliżających się dojrzéć mógł, nie będąc sam od nikogo widzianym.

— Co tém lepiéj? Czyż nie słyszysz Elzenderze, że jestem najnieszczęśliwszym na tym padole człowiekiem!

— Jeszcze raz powtarzam, że tém lepiéj! Nie wróżyłem ci dziś rano, gdy się tak szczęśliwym mieniłeś, jaki wieczór cię czeka?

— To prawda i właśnie dla tego przychodzę cię błagać o radę: kto nieszczęście przewidział, ten powinien umiéć je usunąć.

— Nie znam sposobu ugojenia ziemskiego nieszczęścia, — odpowiedział Karzeł, — a chociażbym znał jaki środek gojący, nie udzieliłbym go nikomu, bo mi każdy pomocy odmówił. Straciłem bogactwa, sto razy większą mające cenę od twoich gołych pagórków: dostojeństwo, względem którego twoje jest niczém; towarzystwo, które było składem wdzięków i światła, wszystkom postradał. Wyrzutek natury, mieszkam teraz w najobrzydliwszym i najsamotniejszym z jéj zakątków, obrzydliwszy jeszcze od wszystkiego co mnie otacza; dlaczegoż więc inne płazy ludzkie, gdy są stratowane, jęczą przede mną, kiedy ja sam stratowany, milczę i cierpię!

— Jakkolwiek wszystko straciłeś,—odpowiedział Halbert w najczulszém wzruszeniu, — włości, przyjaciół, ruchomości, nigdy wszelako twój umysł nie był tak skołatanym jak mój, bo nie straciłeś Gracy Armstrong: z nią wszystkie moje nadzieje spełzły; ach! nigdy już podobno jéj nie ujrzę!

Te słowa wymówił głosem najgłębszéj żałości, po czém nastąpiło długie milczenie, bo wspomnienie imienia narzeczonéj przyciszyło wszystkie popędliwe i gwałtowne uczucia biednego Halberta. Nim się ośmielił znowu przemówić do pustelnika, wysunęła się z okienka ręka tegoż koścista z długiemi palcami, trzymająca duży skórzany

worek; odludek upuszczając ciężar, z mocnym brzękiem na ziemię, dzikim głosem rzekł do Eliota:

— Oto balsam na biedę człowieczą, przynajmniéj od każdego za taki uważanym jest. Idź, wróć dwakroć bogatszym, niżeli wczoraj, a nie naprzykrzaj mi się już pytaniem i podziękowaniem; wszystko zarówno potępiam.

— Co widzę? samo złoto! — zawołał Halbert, — poczém znowu się obrócił do pustelnika, — bardzom wdzięczny za twoje dobre chęci; chętnie dam zakład za wszystko to złoto, albo zapis na grunta w Wideopena, ale Elzenderze, szczerze mówiąc, nie radbym przyjąć pieniędzy, kiedy nie wiem zkąd się właściwie wzięły. Kto wié jeżeli one nie mogą przemienić się w łupek i biednego człowieka oszukać.

— Nierozsądny! to plugastwo jest takie szczere złoto, jakie kiedyś z łona ziemi wydobytém zostało. Weź je, używaj go, a niech ci tak posłuży jak mnie posłużyło.

— Ale pozwól tylko z sobą pomówić, — odpowiedział Eliot; nie o majątek to chciałem się ciebie poradzić. Prawda, że to były piękne zabudowania gospodarskie, i w całéj okolicy nie było piękniejszego bydlęcia, ale mniejsza o to, gdybyś mi tylko dał choć ślad o mojéj biednéj Gracy; przyrzekam ci być posłusznym we wszystkiém, co się tyczy pomyślności mojéj, jeżeli tylko nie będzie przeciwne religii. O mów Elzenderze, kochany mężu, powiedz mi to!

— Dobrze tedy, — odpowiedział Karzeł, jakoby go natręctwo Eliota pokonało; jeżeli ci nie dosyć na twojéj własnéj nędzy, jeżeli chcesz jeszcze siebie obarczyć biedą drugiego, szukaj téj którąś stracił ku *zachodowi*.

— Ku zachodowi? to rozciągły wyraz!

— Jest on ostatni, — odrzekł Karzeł, — i zamykając

okienko, zostawił Halbertowi tłomaczenie danego mu objaśnienia.

— Ku zachodowi, ku zachodowi, — myślał Halbert, wszak w téj stronie kraj dosyć spokojny. Może to Jakób z Ropuchodołu, — ale on za stary na podobne kawałki. Ku zachodowi? Na moją poczciwą duszę, to być musi Westburnflat? albo powiedz że nie on, nie radbym najeżdżać niewinnego sąsiada; — żadna odpowiedź; — więc nie kto inny jak rudy rozbójnik; nie pomyślałbym, ażeby ten miał godzić na mnie, i na tylu ile nas jest. On podobno jeszcze większe ma siły, niż jego Kumberlandzcy przyjaciele. Żegnam cię Elzenderze, mocnom ci wdzięczny, o pieniądze teraz wcale nie dbam, bo wypada mi ruszyć i przyłączyć się do przyjacioł przy Trystingsful. Jeżeli nie masz ochoty otworzyć okna, to późniéj kiedy mnie już tu nie będzie, możesz sobie pieniądze odebrać.

Żadna odpowiedź.

— Uparty, albo oniemiał, albo to oboje, ale nie mam czasu tu stać i gadać z nim.

To wymówiwszy Halbert Eliot ruszył konno ku miejscu, które przyjaciołom za stanowisko zejścia naznaczył.

Czterech lub pięciu z nich zebrało się przy Trystingsful; tu się zatrzymali i odbywali radę, gdy tymczasem ich konie pasły się pod topolami rozpościerającemi gałęzie po nad wodą bagnistą. Wkrótce ujrzeli liczny orszak posuwający się z południa; był to Ernseliff ze swojemi ludźmi; ci już za śladem koni podsunęli się aż do granic Anglii, ale się zatrzymali na doniesienie, że szlachta Jakobicka zebrała znaczne siły zbrojne, i że nowe wszczęło się powstanie. Wiadomość ta najlepiéj przekonywała, że napaść wymierzona na jego rodzinę, nie pochodziła z osobistéj czyjéj ku niemu nienawiści, ale z pobudek z domowéj wojny wypływających. Powitawszy Halberta z najżywszą czułością, opowiedział mu zaraz otrzymane wiadomości.

— Jeżeli tak, — rzekł Eliot, — to Bóg niech mnie skarze, jeżeli nie stary Elisław jest sprawcą téj zbrodni. Wiesz, że on zostaje w związku z Kumberlandczykami, to właśnie z tém się zgadza, co mi Elzender względem Westbrunflata dał się dorozumiéć. Wszak go Elisław zawsze brał pod swą opiekę, i chce pierwéj za jego pomocą kraj złupić i zrabować, nim sam wyruszy.

Niektórzy przypomnieli sobie, że rozbójnicy z tém się oświadczyli, iż działają za Jakóbem VIII, i wszystkich powstańców rozbroić mają. Drudzy utrzymywali, że Westbrunflat z tém się chlubił, iż Elisław niezadługo będzie pod bronią za sprawą Jakobicką, że sam dowództwo obejmie, i w ten czas da się we znaki młodemu Ernseliffowi i wszystkim, co istniejący rząd popierać będą. Z tych okoliczności osądzili wszyscy, że Westbrunflat z rozkazu Elisława wykonał czyn, i na to się zgodzili, aby bez zwłoki ruszyć do pomieszkania pierwszego i zabezpieczyć jego osobę. Tymczasem wielu rozproszonych przyjacioł do nich się przyłączyło, a przez to liczba o dwudziestu się powiększyła, którzy wszyscy choć dobrze jeździli konno, ale miernie i rozmaicie byli uzbrojeni.

Woda która w ciasnéj dolinie między pagórkami wytryskuje, płynie pod Westbrunflat na otwartą bagnistą równinę, która się w każdą prawie stronę na pół mili rozciąga i całéj okolicy nadaje nazwisko. W tém miejscu natura wody nagle się odmienia; dopiero co żywy szumnie spadający potok górny, aliści przykro i opieszale nakształt opuchłego węża, snuje się przez bagnistą równinę, w długich ociężałych zakrętach. W pośród równiny nad brzegiem wznosi się wieża Westbrunflat, jedna z mało pozostałych obronnych zamków, których niegdyś w tych

prowincyach pogranicznych wielka liczba była. Wzgórek na którém stała, wznosił się malowniczo z trzęsawego gruntu do wysokości dwóchset prawie stóp. Droga suchym torfem brukowana, zwijała się aż pod samą wieżę, lecz dla nieprzebytego i niebezpiecznego bagna, od którego trudna była do rozpoznania, przedstawiała obcemu wielkie trudności do przebycia. Sam tylko posiadacz wieży i domownicy jego, znali krętą, trudną ścieżkę, którą zaledwie ci co go czasem odwiedzali, z trudnością dostać się mogli. Lecz między orszakiem, który się pod przewództwo Ernseliffa zebrał, byli niektórzy za przewodników służyć mogący. Bo chociaż sposób myślenia posiadacza, oraz życie jego, powszechnie znaném było, jednakże brak rozwiniętych wyobrażeń o prawie własności, zasłaniał go od pogardy, jaką w kraju oświeceńszym byłby okryty. Prawie za takiego od swoich spokojnych sąsiadów był poczytywanym, jak za dni naszych, szuler, pijak, lub biegający w zakłady; wprawdzie jego towarzystwa unikali i potępiali sposób życia, zatrudnienie jednak jego, nie zostało napiętnowane hańbą, na jaką rzeczywiście zasługiwało. Ztąd oburzenie na Westburnflata nie pochodziło z podłego jego postępowania, gdyż można się było tego po rozbójniku spodziewać, lecz raczéj z okoliczności, że się uczynku dopuścił na sąsiedzie, który mu żadnego powodu do waśni nie dał, na jednym z przyjaciół, a nadewszystko na jednym z Eliotów, do którego orszaku większa ich część należała. Nie dziw zatém, że z pomiędzy tłumu znalazł się nie jeden świadomy drogi do jego mieszkania, i ci towarzyszów swoich tak prowadzić umieli, że zaraz stanęli na twardym gruncie tuż przed wieżą Westbrunflat.

ROZDZIAŁ IX.

Obronny zamek, do którego teraz przybyli, miał powierzchowną postać czworograunéj ponuréj budowy. Mury niepospolitéj grubości, oknami były zaopatrzone, albo raczéj dziurami, które zastępowały miejsce okien, i jak się zdawało bardziéj służyły do strzelania z nich w czasie oblężenia, niż do wpuszczania do wieży powietrza i światła. Nad murami widać jeszcze było po wszystkich stronach, małe strzelnice; oprócz tych dopomagał do obrony parapet z dużych siwych kamieni, pod niemi się wznoszący. Jedna tylko wieża, któréj brama była okuta gwoździami żelaznemi, sterczała nad murami, i zostawała wewnątrz przez ślimakowe kręcone schody w związku z dachem. Niektórym z tłumu zdawało się, że w téj wieży zobaczyli kogoś ukrywającego się w celu uważania ich poruszeń, i w mniemaniu tém tymbardziéj utwierdzeni zostali, gdy przez ciasną strzelnicę ujrzeli kobiecą rękę, która powiewała chustką, jakoby dla dania im znaku. Halbert nie mógł posiąść się z radości:

— Jestto ręka mojéj Gracy, — zawołał, — gotówbym przysiądz, gdyż ją rozeznam między tysiącem! Już ją uratujemy, przyjaciele! gdyby nam przyszło nawet wieżę do ostatniego kamienia rozrzucić!...

Ernseliff wątpił wprawdzie o możności, żeby oko nawet kochanka, w takiém oddaleniu potrafiło dojrzéć rękę pięknéj dziewczyny, ale nie chciał nic powiedzieć, coby jego przyjaciela ożywione nadzieje zniszczyło. Jednocześnie po krótkiéj naradzie, postanowiono wezwać oblężonych do poddania się.

Krzyki tłumu, i odgłosy kilku rogów sprowadziły

wreszcie twarz szpetną staréj kobiety przed strzelnicę, będącą przy samém wnijściu.

— Oto rozbójnika matka, — mówił któryś z Eliotów, ona tysiąc razy gorsza i słynie z wiele złego, które wszędzie wyrządziła.

— Kto jesteście i co chcecie? — pytała się staruszka.

— Szukamy Wilhelma Graeme Westbrunflat, — odpowiedział Ernseliff.

— Nie ma go w domu, — odrzekła stara.

— Kiedy cię opuścił, — daléj pytał Ernseliff.

— Nie wiem.

— Kiedy powróci? — pytał się Halbert.

— I tego nie wiem, — odrzekła nieprzebłagana stróżyni.

— Czy jest jeszcze kto w zamku? — pytał się daléj Ernseliff.

— Ani jednéj duszy więcéj.

— Otwórz więc bramę i wpuść nas, — odrzekł Ernseliff, — jestem sędzią pokoju, i śledzę dowiedzionego występku.

— Niech te ręce pękną, co wam zapory odsuną; po moich się tego nie spodziewajcie. Alboż się nie wstydzisz, najeżdżać z taką bandą, szablami, halabardami, szyszakami i przestraszać zostawioną w domu wdowę?

— Mamy niewątpliwe doniesienia, — odpowiedział Ernseliff; — szukamy dóbr wielkiéj ceny, które gwałtem zostały wykradzione.

— I dziewczyny, — odezwał się Halbert; — którą okrutnym sposobem w niewolę wzięto, i która sto razy więcéj warta, niż wszystkie dobra.

— Powiadam ci bez żartu, — daléj mówił Ernseliff; — że możesz twego syna niewinność najlepiéj dowieść, jeżeli nas wpuścisz dla odbycia poszukiwań.

— A cóż poczniesz, jeżeli twemu hufcowi nie otworzę? zapytała się stara z urąganiem.

— Uścielemy sobie drogę kluczem króla, — zawołał Halbert groźnie, a każdemu żywemu stworzeniu, jakie nam się w domu nawinie, kark skręcimy, jeżeli się dobrowolnie nie poddasz.

— Komu grożą, ten długo żyje, — odpowiedziała stara; — widzicie tu żelazną kratę, doświadczcie teraz waszego męstwa, inni lepsi od was zuchy na niéj swych sił na próżno próbowali.

Po tych słowach oddaliła się ze złośliwym uśmiechem od otworu, przez który z niemi rozmawiała.

Oblegający, odbyli radę wojenną. Mury były tak grube, a okna tak małe, że zamek ciężkim nawet działom na czas niejaki oprzećby się potrafił. Wejścia broniła zewnątrz krata, z samego kutego żelaza, takiéj mocy, że uderzenie największéj nawet siły zbrojnéj, wytrzymać mogła.

— Siekiery i topory, — odezwał się Hugo kowal z Ringelburn, — na nic się tu nie zdadzą.

Wewnątrz domu, blisko dziewięć stóp od zewnętrznych drzwi, bo tyle wynosiła grubość murów, znajdowały się drugie z dębiny, wzdłuż i wszerz żelazem okute i ogromnemi gwoździami zaopatrzone, oprócz tego nie ufano zapewnieniom staréj, że ona tylko sama osadę składa. Niektórzy nawet twierdzili, że widzieli ślady konia, na drodze do zamku wiodącéj: z czego wnieśli, że tu ktoś dopiero jechać nią musiał.

Z temi trudnościami połączył się jeszcze niedostatek narzędzi potrzebnych do przypuszczenia szturmu do zamku. Nie było nadziei wystarania się o drabiny dosyć długie dla wdrapania się po nich na mury, a okienka, nie tylko były bardzo ciasne, ale nadto, żelazami obwarowane.

Nie można było przeto pomyślić o zdobyciu wieży przez podkopanie, ponieważ narzędzi i prochu do strzelania zupełnie im brakowało. Również, oblegający nie byli opatrzeni w sprzęty, zdolne postawić ich w stanie opasania należycie zamku, co, gdyby nawet do skutku przyprowadzić potrafili, obawiać się zawsze należało, żeby przyjaciele rozbójnika na odsiecz wieży nie przybiegli. Halbert zgrzytał zębami w około obchodząc zamek, że żadnego wymyślić nie mógł sposobu wzięcia go gwałtem; wreszcie rzekł:

— O czemuż nie robimy tak, jak ojcowie nasi, często robili. Żywo bracia poodcinać krzaki i zarośle, ponakładać je przed samą bramą, i uwędzić tych rozbójników, jak kawał słoniny.

Wszyscy wzięli się natychmiast do wykonania wniosku, jedni cięli szablami i nożami olszynę i głogowinę, która rosła po nad brzegiem trzęsawego strumyka, i tak była zwiędła i oschła, że na ich zamiar przydała się. Drudzy ponarzucali odcięte cierniska wielkiemi kupami tuż przy saméj kracie; i gdy Halbert niósł już gorejącą głownię, ukazała się przed otworem przy wnijściu zasępiona twarz rozbójnika i wylot ręcznéj broni.

— Dziękuję wam mocno,—odezwał się z szyderstwem, że mi tyle drew na zimę nanosicie. Ale jeżeli tylko o krok daléj z lontem postąpisz będzie to ostatni krok w twojém życiu.

— Zobaczymy! — zawołał Halbert i zbliżył się bez bojaźni z lontem.

Rozbójnik strzelił, lecz szczęściem dla zacnego Halberta, fuzya zawiodła. W téjże saméj chwili Ernseliff strzelił do otworu, a kula drasnęła złoczyńcę w głowę, czém tak się przeraził, że natychmiast zażądał umowy i zapytał: z jakiego powodu najeżdżają spokojnego, uczciwego człowieka i tak niesprawiedliwie krew przelewają.

— Twoja niewolnica musi nam być wydaną,—odrzekł Ernseliff.

— Cóż ona cię obchodzi? — zapytał rozbójnik....

— Ty co ją gwałtem trzymasz,—odpowiedział Ernseliff;—nie masz prawa o to się pytać.

— Jeżeli wam o to idzie, — odpowiedział rozbójnik; to moi panowie, nie chcąc się wdawać z wami w bitwę i krew waszą przelewać, chociaż Ernseliff nie wahał się wylać mojéj, wydam wam niewolnicę, bo się inaczéj jak widzę nie uspokoicie. Dalibóg Ernseliff wybornie strzela, choćby w szeląg, a trafi z pewnością.

— A Halberta mienie,— zawołał Szymon z Hakbrun; alboż rozumiesz, że możesz zrabować nasze obory i gumna, jak gdyby kurnik staréj kobiety.

— Na moje życie,—odpowiedział Wilhelm Westbrunflat; — na moje życie, ja ani odrobinki tego nie mam. Wszystko już dawno po za trzęsawicą. Ani jednéj sztuki waszego rogatego bydlęcia nie ma w zamku. Jak zobaczę, co nazad można oddać, to za dwa dni zobaczymy się pod Castellow z Halbertem, każda strona z dwoma przyjaciołmi; wtedy przekonamy się, czy nie potrafimy się ułożyć i krzywdę nagrodzić.

— Niepodobna tak długo czekać, — zawołał Halbert, i zwróciwszy się do jednego ze swych krewniaków, dodał: nie mówmy już więcéj o bydle i całym zabranym dobytku, a tylko myślmy o sposobach wydobycia biednéj Gracy z paszczy tego psa szatańskiego.

— Czy dajesz mi słowo Ernseliffie,—odezwał się rozbójnik, — stojący jeszcze przed otworem, i zaręczysz mi przysięgą, ręką i usty, że bez narażenia się mogę wyjść z zamku i wrócić, że dozwolisz mi pięć minut czasu do odemknięcia bramy, a pięć do zamknięcia jéj i zasunię-

cia zaporów, gdyż są tak ciężkie, że na to właśnie tyle potrzeba czasu. Przystajesz na to?

— Dozwalam ci tyle czasu, — odpowiedział Ernseliff, daję ci słowo honoru....

— Zaczekaj więc tu minutkę,— odpowiedział rozbójnik; — albo słuchaj, oddal się lepiéj ode drzwi na wystrzał pistoletowy. Ufam wprawdzie twojemu słowu Ernselifie, ale co bezpieczniéj to lepiéj.

— Ha! ptaszku,— zawołał Halbert, — odsuwając się od bramy, gdybym z tobą był sam, to powiadam ci, że wolałbyś pierwéj złamać sobie ręce i nogi, niż poważyć się dotknąć tego, co jest moje.

— Oto, — odezwał się Szymon z Hakburn; — trochę rozgniewany na prędkie poddanie się; i otóż widać, że nie wszyscy kucharze, co długie noszą noże. Jak się to zaraz czołga, nie wart ojcu swojemu rzemyka związać, tamten był zuch!...

Tymczasem otworzyła się wewnętrzna brama zamku, i matka rozbójnika ukazała się między nią i kratą zewnętrzną, wkrótce potém stanął sam Westbrunflat, trzymający niewiastę za rękę; baba zamknęła za nim starannie kratę i pozostała dla straży.

— Jeden tylko lub dwóch z was może tu przyjść, zawołał; i odebrać ją z mojéj ręki nienaruszoną i zdrową.

Halbert pobiegł naprzeciw swojéj narzeczonéj, Ernseliff szedł za nim zwolna, aby go bronić, w razie zdradzieckiego napadu, gdy nagle oba zatrzymali się; nie była to Gracy Armstrong, lecz mis Izabela Vere, któréj uwolnienie z wieży, na mocy odbytych układów uskutecznioném zostało.

— Gdzież Gracy! gdzież Gracy Armstrong?—zawołał Halbert, — wściekając się ze złości, że się zobaczył tak szkaradnie zawiedzionym.

— Ona nie w moich rękach, — odpowiedział Westbrunflat, — możecie wieżę przetrząsnąć, kiedy nie dajecie mi wiary.

— Ty obmierzły nędzniku,—zawołał Halbert,—mierząc do niego fuzyą; natychmiast zdaj sprawę, albo na miejscu zginiesz.

Lecz zaraz przyskoczyli jego towarzysze, i odebrali mu broń. Stój Halbercie, zaręczył honorem, my zaprzysięgliśmy, winniśmy dochować rozejmu, gdyby był nawet największym łotrem na téj ziemi.

Tak broniony, odzyskał rozbójnik zuchwałość, którą groźba Eliota nieco powściągnęła.

— Dotrzymałem słowa, zatém nie przypuszczam nawet, abyście się na mnie targnąć mieli. Jeżeli to nie jest niewolnica któréj szukacie; to wróćcie mi ją, jestem jéj krewnym i za nią odpowiedzialnym.

— Broń Boże! panie Ernseliff,—mówiła Izabela, cisnąc się do swego wybawiciela.—Weź mnie pod swoją opiekę i nie opuszczaj od całego świata opuszczonéj.

— Nie obawiaj się niczego, — szepnął Ernseliff;—mojém życiem ręczę za twoje bezpieczeństwo. Potém obracając się do Westbrunflata: Łotrze! — zawołał, — jakżeś mógł być tak bezczelnym i pannę Vere krzywdzić?

— Co do tego Ernseliffie, — odpowiedział rozbójnik; potrafię się sprawić tym, którzy więcéj od ciebie mają prawa pytania oto! Ale ty co przychodzisz uzbrojoném ramieniem wyrwać ją z miejsca, gdzie jéj przyjaciele umieścili ją; jakże zdołasz się usprawiedliwić? — Ale to twoja sprawa, żaden pojedyńczy człowiek nie może się dwudziestu odcinać.

— Kłamie, — szepnęła Izabela; — gwałtem mnie od ojca uprowadził.

— Ale to nie moja sprawa, — rzekł znowu rozbójnik; bądź więc co bądź, nie chcecie mi jéj wrócić?

— Tobie wrócić człowieku? nie, niech mnie Bóg skarze, — odpowiedział Ernseliff, — pannę Vere bronię, i odprowadzę tam, gdzie ma być odprowadzoną.

— A Gracy, — odezwał się Halbert, — wyrywając się z grona przyjaciół, którzy mu rozprawiali o świętości zaręczonego bezpieczeństwa osoby, czemu ufając rozbójnik ośmielił się wyjść z zamku.

— Gdzież Gracy? — zawołał Halbert,—i natarł z szablą w ręku na Westbrunflata.

— Na miłość Boga Halbercie słuchaj mnie tylko,—wołał ten, lecz się czując coraz bardziéj naciśnionym, zaczął uciekać. Matka otworzyła natychmiast kratę i zamknęła ją za nim. Halbert uderzył na rozbójnika z takim zamachem, że jego szabla zrobiła znaczne zacięcie w wierzchniéj podwalinie, którą jeszcze teraz pokazują, jako pomnik olbrzymiéj siły ludzi zeszłych wieków. Nim Halbert zdołał raz ponowić, brama była zamkniętą na zamek i zapory, musiał tedy wrócić do swoich przyjaciół, którzy postanowili odstąpić od oblężenia, i nalegali usilnie na niego, ażeby im towarzyszył.

— Jużeś raz zerwał rozejm, — mówił stary Ryszard z doliny,—należy się nam dopilnować, abyś więcéj głupstw podobnych nie robił; całe sąsiedztwo wytykałoby cię palcami, gdyby się rozgłosiło, że zaczepiasz twoich przyjaciół w czasie zawieszenia broni. Bądź spokojnym aż do zaproponowanéj przez niego schadzki w Castellon, a kiedy ci wtenczas zadosyć nie uczyni, swoją krwią nam to przypłaci.... Ale bądźmy rozumni i dotrzymajmy umowy, zobaczysz, że odzyskamy Gracy a nawet i krowy.

Te zimne przedstawienia na biednego kochanka przykro oddziałały, że zaś od swoich sąsiadów i stryjów zasiłki pod własnemi jedynie ich warunkami mógł pozyskać; widział się więc zniewolonym zgodzić na ich wyobrażenia o prawném postępowaniu.

Ernseliff żądał potém konwoju z kilku ludzi, mającego odprowadzić mis Izabelę do zamku jéj ojca Elisława, dokąd koniecznie wrócić chciała. Zaraz sześciu młodzieńców ofiarowało się mu towarzyszyć, Halbert nie był pomiędzy niemi; wypadki dnia tego i doznane wrażenia, ledwie nie do rozpaczy go przywiodły. Powrócił smutny do domu, aby jąć się środków do utrzymania i bronienia swojéj rodziny i naradzenia się wspólnie z sąsiadami o sposobach odzyskania Gracy Armstrong. Reszta tłumu przebywszy oparzysko, rozeszła się w różne strony. Rozbójnik i jego matka uważali ich z wieży, póki im z oczu nie zniknęli.

ROZDZIAŁ X.

Oburzony Halbert na obojętność swoich przyjaciół, w stosunku tak mocno go zajmującym, odłączył się od nich i sam pojechał do domu.—Bodaj cię dyabli,—mówił, spinając ostrogami zmęczonego potykającego się konia, tyś jak wszyscy; sam cię karmiłem, chowałem i miałem staranie o tobie, a teraz chcesz leniwieć i kark mi złamać w największéj mojéj biedzie. Ci tam są zdaleka tylko ze mną spokrewneini, najbliżsi z dziesiątéj linii, ja bym jednak dla nich był życie poświęcił, a teraz największemu na świecie łotrowi Westburnflat, dalibóg więcéj okazują czułości, niż własnemu ich krewniakowi! Wszakże już powinienbym widzieć światło w Hanghoot; ale, daléj mówił

przyszedłszy do rozwagi, tam podobno ani jednego węgla, ani odrobinki świecy nie ma, ruina! Gdyby to nie dla mojéj matki, siostr i biednéj Gracy, chętka by mię wzięła dać koniowi ostrogę, i pędzić z nim do najgłębszéj wody, aby wszystko koniec wzięło.

Tak rozpaczający zbliżył się ku chacie, w któréj jego rodzina przytułek znalazła. Gdy już był blisko drzwi, usłyszał szepty i cichy przerwany śmiech siostr.

— Dyabeł siedzi w tych kobietach, — mówił sam do siebie, — one gotowe weselić się i gawędzić, choćby ich najlepszy przyjaciel był na skonaniu. Mocno mię to jednak cieszy, że tak wesołéj myśli. O biedne swawolne dzieci! o nic się troszczyć nie macie, wszystek ciężar i kłopot na mnie spada.

Takiemi myślami zajęty, uwiązał konia pod wystawą. Musisz więc tu teraz stać, bez stajni i żłobu, uczciwa szkapo, — mówił do zwierzęcia, — myśmy razem zarówno podupadli, obydwom byłoby nam lepiéj, gdybyśmy uwięźli w trzęsawicy.

Dalszą rozmowę z koniem przerwała młodsza siostra, która wybiegła z chaty i przymuszonym tonem, jakoby chciała stłumić własne wzruszenie, — rzekła: — I cóż ty tak długo tu robisz Halbercie i bałamucisz z koniem? Czeka na ciebie ktoś z Kumberland, więcéj jak godzinę. Pospiesz tylko do izby, ja siodło zdejmę.

— Ktoś z Kumberland! — zawołał Eliot, — i rzucając lejce siostrze, wpadł do chaty.

— Gdzież on? gdzie? — wołał chciwie się oglądając, a spostrzegłszy tylko niewiasty, przydał: — czy przywiózł wiadomość o Gracy?

— Nie mógł ani chwilę dłużéj czekać, — mówiła starsza siostra z przytłumionym uśmiechem.

— Nie dzieci!— rzekła poważna staruszka, łagodnym, ganiącym tonem, — nie godzi się Halberta tak martwić.

Halbert obejrzawszy się niecierpliwie; ty tu i trzy dziewczyny, — zawołał.

— Teraz ich cztery przyjacielu, — powiedziała młodsza, — która w téj chwili wyszła z ukrycia.

W moment potém Halbert miał Gracy w swoich objęciach, któréj jako ubranéj w suknię jednéj z siostr, nie dostrzegł wpadając do izby.

— Jakżeś mogła mi to zrobić? — zapytał Halbert.

— Jam temu nie winna,—odpowiedziała Gracy,—usiłując zakryć twarz rękami, dla osłony swego zarumienienia i zasłonienia się od nawału serdecznych całusów jakiemi oblubieniec jéj wybieg ukarał.

— Jam temu nie winna, Anusię i drugie musisz wycałować, bo one tego figla wypłatały.

— A toż tego tylko pragnę, — zawołał Halbert,—całując i ściskając siostry i babunię sto razy, podczas kiedy wszystkie przez zbyteczną radość już płakały, już się śmiały. — Jestem najszczęśliwszy człowiek,—zawołał nareszcie Halbert, wpadając wysilony na krzesło,—najszczęśliwszy pod słońcem człowiek.

— Wtedy, o miłe moje dziecię, — odpowiedziała babunia, — która żadnéj nie opuściła pory do przypominania mu Boga, i troskliwie upatrywała chwile, w których serce jego było najzdolniejszém do przejmowania się łaską Stwórcy: wtedy o miły synu uwielbiaj Tego, który uśmiech wydobywa z łez, radość ze smutku, jak wydobył światło z ciemności, a świat z nicości. Nie byłoż to moje słowo, że jeżeli powiesz, niech się stanie Jego wola! zdołasz też wyrzec: niech Imię Jego będzie uwielbioném!

— Prawda, to było twoje słowo babuniu; jakoż wielbię Go za łaskę, że dał mi tak dobrą matkę jak własna, którą

odebrał, i która;—przy tych słowach zacny Halbert schwytał jéj rękę, — która mię nauczyła pamiętać o Nim w pomyślności i niepomyślności.

Nastąpiło uroczyste kilko chwilowe milczenie, poświęcone rozrzewnieniu wewnętrznemu, i czystém sercem dziękczynieniu, że Opatrzność tak niespodzianie straconą Gracy rodzinie wróciła.

Halbert nasamprzód wywiedział się o przygodach, jakie Gracy ucierpiała; opowiedziała je jak najobszerniéj. Ograniczamy się na udzieleniu głównych szczegółów. Na szelest jaki rozbójnicy wkraczając do domu sprawili, powiększony oporem niektórych służących, zerwała się we śnie skwapliwie, ubrała, pobiegła po schodach na dół, a poznawszy Westburnflata, któremu w czasie zaciętéj utarczki, maska z twarzy spadła, nieprzezornie wymieniła go po nazwisku i o obronę prosiła. Poczém rozbójnik natychmiast jéj usta zatkał, wyciągnął z domu i posadził na konia z jednym ze swoich spólników.

— Temu niegodziwcowi kark skręcę!— przerwał Halbert, — ażeby żadnego Westburnflata w kraju nie było.

Opowiedziała daléj, że ciągnęła ze zgrają ku południowi, pędząc przed sobą złupione bydło aż za pogranicze. Znienacka dogonił ich w największym pędzie jakiś człowiek, znany jéj jako krewny Westburnflata i dał znać naczelnikowi bandy, iż stryj jego został nagle zawiadomionym, że źle koło nich będzie, jeżeli dziewczyny rodzinie nie wrócą. Po niejakich rozprawach przychylił się naczelnik bandy, posadził ją za innym bandytą, który zwolna i cicho w odwrotną drogę do jéj domu się puścił. — I tak jechali po odludnéj drodze, aż do samego Hanghoot, a nim się zmierzchło, zsadził ją z konia o ćwierć mili od mieszkania.

Ze wszech stron winszowano szczęśliwego wydobycia się z tak wielkiego niebezpieczeństwa, a gdy pierwsze wzruszenia radości przeminęły, nasunęły się im mniéj przyjemne uwagi.

— To niewygodne miejsce dla was wszystkich,—mówił Halbert, — oglądając się: ja prawda mogę na dworze spać obok mego konia, jak przez tyle lat zwykłem czynić po górach, ale jak z wami będzie, tego nie wiem. Gorzéj jeszcze, że nie umiem temu poradzić, i że dzień jutrzejszy nadejdzie bez najmniejszéj nadziei, aby wasze wygody choć o troszeczkę się poprawiły.

— Było to okrucieństwem, podłością, odezwała się jedna z siostr, podobnież się oglądając, przyprawić biedną rodzinę do żebractwa.

— I nas do nitki obedrzeć, — przydał młodszy brat, który właśnie przyszedł: nie zostawić nam ani owcy, ani jagnięcia, ani podobnego zwierza, który zre trawę lub ziarno.

— Jeżeli jakie zatargi z nami mają, — dodał drugi brat Henryk, — wszakże bylibyśmy gotowi orężem je ułatwić. Ej u kata, żeśmy wtenczas nie byli u siebie wszyscy na górach, krocset granatów! Bylibyśmy Wilhelmowi Graeme śniadanie przygotowali, które nie prędko potrafiłby strawić. Jeszcześmy mu takowe dłużni, nieprawda Halbercie?

— Nasi sąsiedzi, — odpowiedział Halbert z przymusem: naznaczyli dzień do zejścia się i ułożenia. Chcą to swoim sposobem załatwić, inaczéj żadnéj pomocy po nich spodziewać się nie można.

— My z nim się ułożyć! — zawołali obydwa bracia, po takiéj szkaradzie i takiéj napaści, niesłychanéj od czasu wypraw na rabunki?

— Prawda bracia, prawda! krew moja także się ścinała w żyłach, lecz na widok Gracy, znowu się uspokoiła.

— Ale zapasy Halbercie! — rzekł Jan Eliot; — my do szczętu zniszczeni. Henryk i ja byliśmy na polu i rozpatrzyli się, ale i tam nie wiele zostawili! Nie wiem co począć, i podobno nam trzem wypadnie wyprawić się na wojnę. Westburnflat chociażby miał chęć, nie ma sposobów nagrodzić nam stratę. Niepotrafimy na nim nic wydobyć tylko krew jaką z niego wytoczymy. Nie ma na świecie nic co na czterech nogach bieży, chyba konisko, które na swoich nocnych wyprawach całkiem już zniszczył.

Halbert rzucił smutnym okiem na Gracy Armstrong, która oczy spuściła i cicho wzdychała.

— Nie rozpaczajcie dzieci! — odezwała się babunia, mamy dobrych przyjaciół, co nas w potrzebie poratują. Oto sir Tomasz Kittlelooff jest mój stryjeczny brat w trzeciéj linii zstępnéj po matce; on był jednym z komisarzów przy układach na których podobno piękny grosz zarobił, a do tego mianowano go rycerzem i baronetem.

— Ten ani grosza nie da na ocalenie nas z głodu, — odpowiedział Halbert, — a na przypadek nawet gdyby chciał co dać, chleb którybym za te pieniądze kupił, uwięzłby mi w gardle na myśl, że to część ceny za koronę i wolność biednéj, staréj Szkocyi.

— Albo też p. Dunbar, pochodzący z najdawniejszego domu w Therithal?

— Ten babuniu siedzi w więzieniu w Edymburgu; za tysiąc grzywien, które pożyczył od pisarza Saanders.

— Biedak! — zawołała pani Eliot; nie możemy mu nic posłać Halbercie!

— Zapominasz babuniu, że nam samym zapomoga potrzebna, — odpowiedział Halbert nieco markotno.

— Prawda, — odpowiedziała zacna staruszka, — zapomniałam o tém w téj chwili. Bardzo to naturalne; człowiek prędzéj o swoich krewnych myśli, niżeli o sobie samym. A młody Ernseliff?

— Jemu samemu nie wystarcza, — odpowiedział Halbert, — aby utrzymać mógł wielkie imię. Wstyd by to było naprzykrzać się mu w naszéj biedzie.

— Potrzeba ci wiedzieć babuniu, że na nic się tu nie zda siedzieć i na palcach wyliczać twoje pokrewieństwa i powinowactwa, jakoby samo ich imię niosło nam czarodziejskim sposobem jaką pomoc. Znakomitsi zapomnieli o nas, a drudzy co nam równi, własny mają mozół, aby sobie radzić. Żadnego nie mamy przyjaciela, któryby mógł lub chciał nas zasilić, dla odbudowania domu.

— Ależ co mówię, — zawołał, — znam przyjaciela na odludnéj puszczy, który może i chce pomagać. Historye tego dnia, całkiem głowę mi zawróciły, zostawiłem dziś rano tyle pieniędzy na kamiennéj puszczy, że te wystarczyłyby na odbudowanie domu, gumna, stajni i obory, a Elzender nie pozazdrości nam, gdybyśmy ich użyli.

— Elzender, — przerwała babunia zdumiana, o którym Elzendrze mówisz?

— A o kimże mam mówić, jeżeli nie o zacnym Elzendrze, mądrym wieszczku na kamiennéj puszczy?

— Broń Boże mój synu! Chceszże wodę czerpać ze skalanych studzien, albo szukać pomocy u tych, co ze złym duchem przestawają? Nigdy nie było pomyślności w ich darach, ani łaski na ich drogach! Cały świat wié, że koło Elzendra nie po ludzku się dzieje. — A jeżeli prawa i pokój panują i sprawiedliwość w państwie kwi-

tnie, wtenczas tacy jak on, nie są cierpiani. Czarownik i czarownica są przekleństwem i plagą kraju.

— Dalibóg matko mów co chcesz, ale jestem przekonany, że czarownicy i czarownice ani połowy teraz nie mają téj co dawniéj władzy. Tyle przynajmniéj wiem, że taki zbrodniarz jakim jest stary Elisław, albo taki złoczyńca jakim jest łotr Westburnflat, gorszym dla kraju są przekleństwem i plagą, niżeli gromada najobrzydliwszych czarownic, co kiedyś na miotle jeździły, lub w majowéj nocy swój taniec odbywały. Wieleby upłynęło czasu, nimby Elzender moje zabudowanie podpalił, a teraz sprobuję, czy w czém się nie przyłoży do odbudowania onego. — On wszędzie, w całym kraju za uczynnego człowieka uchodzi.

— Zastanów się dobrze moje dziecię, pomnij, że jego dobrodziejstwa nikomu na dobre nie wyszły. Jakób Howden umarł na tę samę chorobę, z któréj Elzender chciał go wyprowadzić. Krowy Lambsidego wprawdzie wyleczył z zarazy, ale tym bardziéj za to upadły jego owce w poprzedniéj jesieni. Przecież ty sam, pierwszy raz go zobaczywszy, powiedziałeś, że bardziéj podobny do upiora, niż do człowieczéj istoty.

— Cicho matko! — rzekł Halbert, — Elzender nie tak zły, jakim się być wydaje. Strach prawda na niego patrzéć, prawdziwe to straszydło. Ale skorupa gorsza od jądra. Gdyby co było jeść, bo caluteńki dzień anim kąska nie zjadł, położyłbym się potém spać, dwie lub trzy godziny obok mego zwierzęcia, a jak tylko kogut zapieje, wsiądę i pojadę na kamienną puszczę.

— A dlaczego jeszcze nie dzisiejszéj nocy Halbercie? zapytał się Henryk, — pojadę z tobą choćby natychmiast.

— Mój gniady koń zmęczony, potrzebuje dłuższego spoczynku.

— To weź mego!

— Ale ja i sam trochę zmordowany.

— Wstydź się, — rzekł Henryk, — wiem że dawniéj przez dwadzieścia cztery godzin nie zsiadłeś z konia, a nigdy na utrudnienie nie narzekałeś.

— Noc bardzo ciemna, — odpowiedział Halbert powstając i wyglądając przez okno, — do tego prawdę mówiąc, Elzender jest najpoczciwsza dusza, ale wolę z nim w dzień pomówić.

To szczere wyznanie położyło koniec wszelkim namowom. Halbert obrawszy średnią drogę między skwapliwemi poradami braci, i bojaźliwą przezornością babki, posilił się jedzeniem, jakie mu podano, i po serdeczném pożegnaniu się z rodziną, poszedł pod wystawę, gdzie się położył obok wiernego konia. Bracia podzielili się kilku wiązkami słomy, które znaleźli w oborze staréj Anny, a siostry przygotowały sobie, o ile to być mogło, jak najwygodniejsze posłanie.

Skoro tylko jutrzenka zaświtała, Halbert wstał, wychędożył konia i puścił się w drogę. — Nie przyjął towarzystwa brata w mniemaniu, że Karzeł bardziéj sprzyja tym, co sami go odwiedzają.

— Człek ten, — mówił sam do siebie, — wcale nie towarzyski. Jeden już często aż nadto go nudzi. Jestem tylko niezmiernie ciekawy, czy ze swego domisku wylazł i pieniądze wziął, które nietknięte pozostawiłem w miejscu. Jeżeli nie, to pieniążki obcego znalazcę uradowały, a dla mnie stracone; zwijaj się Tarasie, — mówił daléj do swego konia przypierając go ostrogami, spraw się chwacko! zawczasu potrzeba stanąć w miejscu.

Właśnie zatrzymał się na oparzysku, gdy pierwsze promienie porannego słońca nań padły. Mały pagórek, którym na dół jechał, przedstawił mu daleki, ale wyraźny widok pomieszkania Karła. Gdy drzwi się otworzyły, Halbert z wielkiém zdziwieniem ujrzał zjawisko, o którém tylekrotnie słyszał. Dwie ludzkie istoty, jeżeli postać Karła takiém imieniem oznaczyć się godzi, wystąpiły z samotnéj chaty pustelnika, i stanęły rozmową zajęte pod gołém niebem. Wyższa postać schyliła się, jakoby podniosła coś obok drzwi domu leżącego, — potém postąpili kilka kroków i znowu stanęli, jakoby w rozmowie zatopieni. Wszystkie zabobonne trwogi Halberta obudziły się na ten widok. Było niepodobném do prawdy, aby Karzeł drzwi otworzył ziemskiemu gościowi, lub ktoś odważył noc u niego przepędzić; w zupełném przekonaniu, że czarnoksiężnik rozmawia się z jednym służebnych mu duchów, wstrzymał Halbert konia, nie chcąc wzbudzić niechęci jednego lub drugiego przerywaniem ich rozmowy. Widocznie jednak spostrzeżono go, gdyż zaledwie co przystanął, Karzeł do swojéj powrócił chaty, a wyższa postać która mu towarzyszyła schroniła się za płot ogrodowy i z przed oczów zdumionego Halberta niknąć się zdała.

— Czy widział kto co podobnego? — mruczał Halbert. — Moje położenie jest wcale nie ciekawe. Ale choćby to był sam Belzebub żywy, wprost do niego pojadę.

Mimo to odważne postanowienie, tylko zwolna daléj się posuwał, aż na tém samém miejscu, gdzie dopiéro przed chwilą wysoką widział postać, ujrzał małą czarną osobę, podobną do czającego się w jamie jamnika.

— O ile mi wiadomo, nie ma psa, — mówił Halbert, ale djabłów podobno wielu ma pod ręką. — Panie odpuść!

co też mówię.—Nie rusza się z miejsca. — Pewnie to jamnik, ale kto wié, jakie postacie duchy przybierają dla zastraszenia uczciwego człowieka. Kiedy się zbliżę, może rzuci się na mnie jak lew lub krokodyl. Trzeba więc być ostrożnym; sprawa z nim i dyabłem razem, to zawiele.

Cisnął więc kamieniem na przedmiot zdaleka dostrzeżony, ale ten choć trafiony, choć wydał głos jakiś dziwny, nie poruszył się wcale z miejsca.

— Czyby licho to nie było żywe? — zapytał Halbert sam siebie;—trzeba to zbadać dokładnie.

Podsunął się więc bliżéj i zaledwie dotknął ręką tajemniczego przedmiotu, zawołał radośnie:

— Dalibóg to wór z pieniędzmi, który wczoraj z okna wyrzucił, a drugi wysoki cudotwórca bliżéj go ku drodze posunął.

Podniósł następnie woreczek cały napełniony złotem i ważąc go w ręku chwiejąc się między radością ze znalezienia go, a obawą mocy szatańskiéj, mówił daléj wzruszony.

— Boże łaskawy przebacz mi, że dotykam się tego co może przed chwilą było w pazurach złego ducha, ale mimo tego zrobię tak jak przynależy dobremu chrześcijaninowi, choćby ztąd miały na mnie spaść jak najgorsze skutki.

Zbliżył się więc do chaty i zakołatał najprzód delikatnie, późniéj znacznie silniéj, ale nie odebrał na to żadnéj odpowiedzi. Przekonawszy się wreszcie, że dalsze dobijanie się jest nadaremne, odezwał się podniesionym głosem:

— Elzenderze! ojcze Elzenderze! Wiem że nie śpisz, widziałem cię przede drzwiami, gdy zjeżdżałem pagórkiem na dół, nie chciałbyś więc troszeczkę wyjść i pomówić z takim co ci chce złożyć najserdeczniejsze podziękowanie? Wszystko prawda, coś mi o Westburnflacie powiedział. Odesłał Gracy zupełnie zdrową i w jak najlepszem dla

mnie usposobieniu. Czyż więc nie chciałbyś trochę wyjść przyjacielu, albo przynajmniéj powiedzieć, że mnie słyszysz? Jeżeli więc nie chcesz odpowiadać, posłuchaj życzliwie dalszéj méj mowy. Otóż przykroby nam było niezmiernie, mnie i Gracy odłożyć wesele aż do powrotu mego z zagranicy, zkąd mam przywieść zarobione także pieniądze. Powiadają, że w wojnie teraz o zdobycz trudno, żołd przytem lichy a niebezpieczeństwo wielkie. Babka moja już staruszka, nigdzie nie bywa, któż więc wyda siostry moje za mąż jak mnie nie będzie? Ernseliff i sąsiedztwo, straciliby także nie jedną gdyby przysługę, Halberta nie było, a może też ty sam Elzenderze! A wielka byłaby szkoda, gdyby stary dom w Hanghoot w gruzach pozostał. Tak rozważywszy to wszystko pomyślałem sobie — ale niech cię licho — przerwał niecierpliwie, — czyż należy się prosić tego, który ani słówka nie chce powiedzieć, i nawet nie słucha mię mówiącego?

— Mów co chcesz, czyń co chcesz — zawołał Karzeł ze swojéj chaty — ale idź i daj mi pokój!

— Dobrze, dobrze — odrzekł Eliot, — byleś mię słuchał, kruciuteńko ci powiem: Ponieważ byłeś tak łaskawy że chciałeś pożyczyć mi tyle pieniędzy ile potrzeba na urządzenie mojego domu, gotów jestem teraz korzystać z twéj łaski, i zapewnić cię o mojéj dozgonnéj wdzięczności. W moich rękach będą tak bezpieczne jak w twoich, pozostawione zaś na dworze wzięte zostaną przez pierwszego lepszego przechodnia, w którym jeszcze nad to może się obudzić chętka do wyłamania drzwi twoich choćby najmocniejszych, o czém mógłbym ci opowiedzieć bardzo ciekawą historyę. Jeżeli tedy pragniesz zrobić nam wielką dogodność, pozwól abym te pieniądze z woreczkiem wziął sposobem pożyczki, a tém zaskarbisz sobie wszystkie nasze serca. Matka zaś moja i ja dla pewności damy ci kwit

jak najformalniéj przygotowany. Ona ma wieczysty dochód, ja grunta w Windeopen, procent zaś zapłacimy w sześć miesięcy od dnia dzisiejszego. Jeżeliby ci przygotowanie aktu wiele robiło kłopotu to Saunders pisarz przysposobi wszystko jak należy.

— Już dosyć twojéj gadaniny — przerwał Karzeł — idź! twoja szczebiotliwa prostacka uczciwość, czyni cię nieznośniejszą męką od zręcznego dworaka, który człowiekowi wszystko bierze, nie utrudzając go dziękami i oświadczeniami wdzięczności. Tyś jeden z ziemskich niewolników, których słowo tyle co zapis waży. — Zatrzymaj więc pieniądze, kapitał wraz z prowizyą, póki się sam o niego nie dopomnę.

— Ale dziś żyjemy jutro umrzemy—mówił daléj Halbert,—lepiéj zatém Elzenderze, być zabezpieczonym. Ułóż tylko na piśmie w jakiéjkolwiek formie, ja każę to na czysto przepisać i podpiszę przy poczciwych świadkach. Ale prosiłbym cię, abyś nie umieścił tam nic przeciwnego mojemu sumieniu. Dam bowiem pismo do przeczytania Pastorowi a ten mnie oświeci co się w niém znajduje. Teraz ruszam z powrotem, nudno ci zapewne przysłuchiwać się mojéj gadaninie, ale i ja się nudzę gdy na mowę moją nie chcesz odpowiadać. W tych dniach przyniosę ci ciast trochę weselnych i Gracy także przywiozę. Mojéj Gracy zapewne będziesz rad, choćbyś był najzimniejszym. Mój Boże! zdaje mi się że wzdycha w swojéj norze. Biedak! jakże trudno z nim trafić do końca. Dobry dla mnie jak dla syna, a postępuje jak ojczym najgorszy. Halbert nareszcie uwolnił dobroczyńcę swego i spieszno popędził do domu, dla naradzenia się nad sposobem, jakim nagrodzić w jak najkrótszym czasie stratę, któréj przez napaść rudego rozbójnika Westbrunflat doświadczył.

ROZDZIAŁ XI.

Wypada nam teraz na krótki czas wstrzymać bieg naszéj powieści, aby zdać sprawę z okoliczności poprzedzających przykre położenie Miss Izabeli, z którego ją niespodziewanie i w saméj istocie niechcący Ernseliff, Eliot i ich przyjaciele ocalili.

Nad rankiem poprzedzającym noc, w któréj dom Halberta napastowano i zrabowano, Elisław wezwał swoją córkę do przejścia się w oddaloną stronę okolicy zamku. Słyszeć i słuchać było to jedno na sposób wschodni. Ale Izabela drżała, gdy milcząca towarzyszyła ojcu po dzikiéj ścieszce, która już się snuła wzdłuż brzegu rzeki, już szła pod górę aż do skał tu i owdzie brzeg tworzących. Jeden tylko sługa, dla swego podobno głupstwa wybrany, szedł za niemi. Izabela wniosła z milczenia ojca, że dla tego samotne i oddalone obrał miejsce, aby wrócić do przedmiotu, o którym tylekroć z nią mawiał, to jest do zalotów Sir Fryderyka, i że nad tém myśli, w jaki sposób najdzielniéj przedstawić konieczność przyjęcia jego ręki. Lecz jéj obawa zdała się z początku zupełnie bezzasadną: kilka słów od czasu do czasu do niéj przez ojca mówionych, stosowało się do romantycznéj piękności okolicy, przez którą szli i któréj charakter za każdym krokiem zmieniać się zdawał. Na te uwagi, które jednak zdawały się wypływać z zajętego poważniejszemi stosunkami umysłu, Izabela odpowiedziała z wszelką niewymuszonością, jakiéj tylko dozwalały wzburzenia wewnętrzne, któremi wyobraźnia ją trapiła.

Tak doszli, przerywaną często rozmowę z przykrością utrzymując, aż do środka lasku, któren się składał z wysokich starych dębów; brzozami, jesionami, leszczyną i mnóstwem krzaków porosłego. Wierzchołki niebotycznych drzew stykały się z sobą, i młode drzewka zapełniały przestrzeń między pniami. Miejsce, na którém stali było nieco wyrąbane: kilka wielkich dębów tworzyło samorodny chłodnik, któremu obrastające do koła krzaki, jeszcze ciemniejszą i posępniejszą postać nadawały.

— Tu Izabelo! — rozpoczął Vere, częstokroć przerywaną rozmowę: — tu radbym przyjaźni postawić ołtarz!

— Przyjaźni? — zapytała Miss Vere: — a dlaczegoż na tém ponurém oddaloném miejscu?

— Że miejscowość temu pomysłowi bardzo sprzyja: — odpowiedział jéj ojciec z szyderstwem: — łatwo dowieść można. Wiem Izabelo, żeś młodą uczoną; wiesz przeto, że Rzymianie każdy przymiot, każdą moralną cnotę, nie tylko jako przedmiot czci wyobrażali, ale nadto wielbili w każdéj zmienionéj postaci, we wszystkich cieniowaniach i stopniach. Ta przyjaźń, naprzykład, któréj tu chcę stawić świątynię, nie jest przyjaźnią męzką, która fałszywości, chytrości i obłudy nienawidzi i gardzi niemi, lecz przyjaźnią kobiecą, która się nie zasadza tylko na zobopólnéj skłonności tak zwanych przyjaciółek, do zachęcenia siebie wzajém do obrotnego podejścia i błahych podstępów.

— Jakżeś przykry w poglądach mój ojcze, — odpowiedziała Miss Vere.

— Lecz prawdziwy, wierny naśladowca przyrodzenia, i mam za sobą korzyść z możności zgłębienia dwóch takich wybornych mędrków, jakiemi ty jesteś i Łucyja Iderton.

— Kiedy byłam tak nieszczęśliwą, żem cię obraziła ojcze, dobrém sumieniem oczyścić mogę kuzynkę moją z podejrzenia, że była moją poradczynią i powiernicą.

— Czy w istocie?—odpowiedział Vere, — a skądże ci się wzięły te uszczypliwe wyrazy i śmiałe odpowiedzi, ja-

kiemi Sir Fryderyka odstręczyłaś i mnie świeżo nie mało obraziłaś?

— Jeżeli moje postępowanie nieszczęściem nie podoba ci się, nie mogę dość tego odżałować. Lecz nie podobna byś gniewał się o to, żém się uszczypliwie Sir Frydery-kowi odcinała, gdy bezwstydnie do mnie się odzywał. Ponieważ zapomniał, z kim mówi, wtedy było czas pokazać mu, że przynajmniéj z niewiastą ma sprawę.

— Zachowaj twoją śmiałość dla tych Izabelo, co się z tobą wdają w te rozprawy, — odpowiedział ojciec oziębie, —mnie już ten przedmiot nudzi, i już o nim mówić nie chcę więcéj.

— Bóg niech cię za to błogosławi kochany ojcze,—odpowiedziała Izabela chwytając jego usuwającą się rękę. — Nic nie możesz rozkazać, coby dopełnić trudno mi było, tylko nie każ znosić natręctwa tego człowieka!

— Jesteś grzeczną wtenczas Izabelo, kiedy ci przystałoby być posłuszną, — odpowiedział nieprzebłagany ojciec, usuwając rękę z jéj czułego uścisku: — Nadal zaś moję dziecię, sam się podejmę pracy udzielania ci dobréj rady, choćbyś sobie w niéj nie smakowała. Miéj się na ostrożności!

W téj chwili wpadło na nich czterech łotrów: Vere i jego sługa dobyli kordelasów, które według ówczesnego zwyczaju ustawicznie noszono dla bronienia siebie i zasłonienia panny. W czasie jednak, gdy każdy ucierał się ze swoim przeciwnikiem, dwóch drugich pachołków zaniosło Izabelę w gęstwinę i wsadziło na konia, który tam stał gotowy z kilku innymi. Potém napastnicy wzięli ją pomiędzy siebie i chwytając cugle umykali w największym pędzie. Przebywszy wiele krętych i ciemnych dróg, doliny i wąwozy, oparzyska i trzęsawice, stanęli wreszcie

przed wieżą Westbrunflat, gdzie oddaną została pod straż staréj kobiety, któréj syn był właścicielem obronnego zamku, i wprawdzie ściśle strzeżoną, ale złego nie doznała obejścia. Żadna prośba nie zdołała skłonić staruszki do objaśnienia Izabeli o powodach jéj gwałtownego wykradzenia i uwięzienia w téj bezludnéj wieży.

Zjawienie się Ernseliffa i licznego hufca jeźdców zatrwożyło rozbójnika. Wydawszy już rozkaz wrócenia Gracy Armstrong jéj rodzinie, nie wpadł na myśl, że dla niéj nieprzyjemnemi odwiedzinami go zaszczycają. Ujrzawszy zaś na czele hufca Ernseliffa, o którego miłości ku Izabeli w sąsiedztwie sobie podszeptywano, nie wątpił, że uwolnienie jéj jedynym jest zamiarem natarcia na zamek. Bojaźń o złe skutki dla siebie, stała się powodem wypuszczenia na wolność uwięzionéj; o czém bliższe szczegóły jużeśmy opowiedzieli.

W chwili, kiedy Elisław usłyszał tentent koni, które jego córkę uniosły, upadł na ziemię. Sługa silny, młody chłopak, który prawie pokonał łotra, z którym walczył, zaprzestał utarczki i przybiegł na pomoc panu, którego śmiertelnie rannym być rozumiał. Dwaj zbójcy natychmiast zaniechali dalszéj walki, pobiegli w gęstwinę, rzucili się na konie, i czém prędzéj gonili spólników. Tymczasem uczciwy Dixon z radością dostrzegł, że pan jego nie tylko żyje, ale nawet nie zraniony. W utarczce zbyt daleko się zapędził i zdało się, że w momencie gdy na przeciwnika dzielnie nacierał, potknąwszy się na korzeń drzewa, upadł. Jego rozpacz ze zniknięcia córki była tak wielka, że z Dixonem mówiąc, kamieniowi nawet łzy by wycisnął, a bolesne uczucia i płonne usiłowania wykrycia śladu rozbójników tak go wysiliły, że znaczny czas upłynął, zaczém do domu powrócił i swoich przyjaciół o nieszczęsnym przypadku zawiadomił.

Całe jego postępowanie było zachowaniem się rozpaczającego człowieka.

— Nie pocieszaj mnie Sir Fryderyku, — mówił niecierpliwie: — Nie jesteś ojcem—ona moje dziecię, może niewdzięczne, ale zawsze moje dziecię, jedyne moje dziecię. Gdzież Miss Iderton? Idź Dixonie! zawołaj Rattelifa, powiedz, żeby natychmiast do mnie przyszedł!

Ten, o którym mówił, właśnie wstąpił do pokoju.

— Słyszysz Dixonie! —daléj mówił zmienionym tonem: — powiedz że proszę pana Ratelifa, ażeby był tak łaskaw i przybył do mnie dla pilnego bardzo interessu. Ach! przydał jakby go dopiero spostrzegł, —twoja to rada w téj srogiéj klęsce może dla mnie stać się zbawczą.

— Jakie zdarzenie tak cię przeraziło panie Vere? zapytał Rateliff poważnie.

Kiedy Elisław z najżywszém uczuciem boleści, opowiada mu przygodę dzisiejszego dnia, korzystajmy z pory obeznania czytelnika ze stosunkiem w jakim ci dwaj mężowie względem siebie zostawali.

Pan Vere Elisław za młodu wiódł rozpustne życie; w późniejszych latach dał się uwieść równie niebezpiecznéj ambicyi, i w obu okresach prowadził życie niezmiernie rozpustne, bez względu na coraz uszczuplający się majątek, chociaż w chwilach upamiętania, uchodził za nieużytego, skąpego i chciwego. Gdy stosunki jego z przyczyny dawniejszego marnotrawstwa bardzo się rozprzęgły, udał się do Anglii, gdzie znalazł sposobność zawarcia korzystnego związku małżeńskiego. Przez wiele lat był oddalonym od swoich dóbr. Znienacka i niespodzianie powrócił wdowcem w towarzystwie córki, mającéj podówczas dziesięć lat. Odtąd jego wydatki zdawały się w oczach prostych mieszkańców ojczystych gór, być nieograniczonemi. Domyślano się, że zaszedł w długi, wszelako nie poprzestał żyć marnotrawnie, aż na kilka miesięcy przed zaczęciem naszéj powieści, publiczne zdania o jego starganym stanie majątkowym potwierdziły się, gdy p. Rateliff, stałe swoje pomieszkanie obrał w zamku Elisława, a to za wzajemném zezwoleniem właściciela, lubo widocznie z wielkiém jego zmartwieniem, i natychmiast uderzający a niepojęty wpływ wykonywać zaczął na domowe stosunki i urządzenia.

Pan Rateliff już dosyć w podeszłym wieku, był poważnym i skrytym. Kto w interesach z nim miał do czynienia, widział w nim człowieka obrotnego i biegłego. Z inszymi ludźmi mało przestawał, gdy jednak wypadek wprowadził go w rozmowę, rozwijał bystrość wolnomyślącego, głęboko doświadczonego umysłu. Pierwéj nim zupełnie w zamku osiadł, bywał tam czasami jako gość, a zawsze Elisław wbrew swemu postępowaniu względem niższych, obchodził się z nim ze szczególną względnością a nawet z uszanowaniem. Wszelako zdawało się, że odwiedziny Rateliffa każdą razą nabawiały go kłopotu, oddalenie się zaś sprawiało ulgę, lecz od czasu gdy zupełnie przy nim zamieszkał, łatwo można było dostrzedz, że jego obecność tylko ze wstrętem znosi. Wzajemny ten stosunek wydawał się być szczególną mieszaniną wymuszoności i zażyłości. Ważniejszemi sprawami Verego kierował Rateliff, i lubo pierwszy nie należał do owych bogatych próżniaków, którzy zbyt ociężali aby sami swoje sprawowaé interesa, radzi ciężar komu innemu narzucać, dostrzeżono jednak, że często odstępował własnego zdania, ulegając przeciwieniu się Rateliffa bez ogródki wyrzeczonemu.

Najbardziéj dotknęło Elisława, kiedy obcy robili spostrzeżenia nad opieką, pod którą zdawał się jęczeć. Jeżeli Sir Fryderyk, lub inny który zażyły przyjaciel mówił o tym stosunku, odpierał ich spostrzeżenia z dumą i gnie-

wem, a czasami starał się ich unikać mówiąc z przymuszonym uśmiechem:

— Rateliff wie dobrze, co znaczy; jest najuczciwszy i najsprawiedliwszy na świecie człowiek, samemu mi niepodobna zarządzać angielskiemi sprawami, bez porady i wsparcia Rateliffa.

Takim był ten mąż, który wstąpił do pokoju, właśnie gdy pan Vere pragnął jego obecności, i który zdumiony i z widoczném niedowierzaniem słuchał smutnego przypadku, który Izabelę spotkał.

Ojciec jéj obróciwszy się do Sir Fryderyka i do innéj szlachty, którzy jak wryci naokoło niego stali, kończył temi słowy:

— Widzicie teraz we mnie najnieszczęśliwszego ojca w Szkocyi, moi przyjaciele! Dodawajcie mi waszéj pomocy, wspieraj mię swoją radą panie Rateliff! Tyle jestem skołatany tym niespodziewanym, srogim ciosem, że mnie odstąpiła zdolność myślenia i działania!

— A więc, — zawołał Sir Fryderyk: — zbierzmy naszych ludzi i przetrząśmy całą okolicę, dla wyśledzenia łotrów!

Czy nie masz pan żadnego podejrzenia? — zapytał się Rateliff poważnie. — Ta osobliwsza zbrodnia musi przecie mieć jakiś powód. Nie żyjemy już w czasach romantycznych, kiedy damy dla saméj ich piękności tylko wykradano.

— Lękam się — odrzekł Vere, — żeby szczególny ten wypadek nie dał się aż nadto dobrze rozwiązać. Czytaj ten list, jaki Miss Łucyja Iderton osądziła przyzwoitem napisać z mego domu do młodego pana Ernseliffa, którego przedewszystkiemi innemi, nazwać muszę moim wiecznym nieprzyjacielem. Oto pisze do niego jako powiernica na-

miętności, którą śmiał powziąść ku mojéj córce; oto przy swojéj przyjaciółce powiada mu, że gorliwie służy jego sprawie, ale że ma w osadzie przyjaciela, który mu jeszcze skuteczniéj służy. Uważaj nadewszystko na podkreślone miejsca, panie Rateliff, gdzie to natrętne dziewczę śmiałe środki jemu zaleca, z zaręczeniem, że jego zaloty za obrębem dóbr Elisława, wszędzie pomyślnym uwieńczone będą skutkiem.

— A więc pan sądzisz z tego romansowego listu, bardzo romansowego dziewczęcia, — odrzekł Rateliff, — że młody Ernseliff wykradł twoją córkę i dopuścił się tego haniebnego czynu z czynniejszéj pomocy od téj, jakiéj mógł się od Łucyi Iderton spodziewać?

— Cóż innego myśléć mogę? — odpowiedział Elisław.

— Cóż innego można myśléć? — ozwał się sir Fryderyk, — któż inny mógłby miéć powód do takiéj zbrodni.

— Gdyby tu szło tylko o prostą napaść, — odezwał się Rateliff zimno, — łatwo innych ludzi znaleśćby można, oswojeńszych z podobnemi obrzydliwościami i również dostatecznie mających pobudki do uknowania takich czynów. — Ale postać rzeczy zmienia się zupełnie, jeżeli przypuścimy, że osądzono za stosowniejsze przenieść Izabelę na inne miejsce, gdzieby jéj skłonnościom więcéj przymusu zadać można było, niż to dotąd było pod dachem zamku Elisława? Cóż mówi sir Fryderyk na to przypuszczenie?

— Ja mówię, — odpowiedział sir Fryderyk, — że jakkolwiek pan Vere chce znosić od pana Rateliffa urazy zupełnie niezgodne ze swojém położeniem, ja nigdy nie ścierpię, ażeby ta śmiałość rozciągała się aż do mnie, bądź słowem, bądź spojrzeniem.

— A ja mówię, — ozwał się młody Mareschal de Mareschal Vells, który także był gościem w zamku, żeście wszyscy oszaleli, stojąc tu i kłócąc się zamiast ścigania łotrów!

— Ja już moich służących wyprawiłem, — powiedział Vere, — z pogonią. — Chciejcie ze mną udać się i także tropić złoczyńców.

Usiłowania wszystkich były bezskuteczne, podobno dlatego, że na przedstawienie Elisława szukali śladu na drodze prowadzącéj do zamku Ernseliffa, w domniemaniu, że posiadacz jego jest sprawcą zamachu. Dążyli więc w kierunku zupełnie przeciwnym stronie, jaką puścili się rozbójnicy. Wieczorem wrócili zmordowani i stroskani. Tymczasem zeszli się jeszcze inni goście z zamku, a opowiedziawszy smutny przypadek, jaki gospodarza w tym dniu spotkał i nowi goście dziwiąc się śmiałości napadu, podzielali jego boleść, aż wreszcie rozprawy o spisku stanu, którego stanowczy wybuch w każdéj chwili był wyglądany, położyły koniec wspomnieniom świeżo doświadczonego zdarzenia.

Kilku ze szlachty, do tego powstania należącéj, było religii katolickiéj, wszyscy wierni jakobiści, których nadzieje teraz właśnie do najwyższego doszły szczytu, gdyż codziennie spodziewano się wylądowania z Francyi wojska w sprawie pretendentów Szkockich. Przy bezbronnym zaś stanie zamków i kraju w ogólności, szczególniéj zaś przy powszechnéj niespokojności jéj mieszkańców, wylądowanie to mogło sobie wróżyć wielkie powodzenie. Rateliff, który się nie mieszał do narad nad tym przedmiotem odbywanych, ani był wezwanym do zasiadania na nich, oddalił się tymczasem do swego pokoju. Miss Iderton była od towarzystwa niby honorowém uwięzieniem odłączoną, póki, jak Vere mówił, bezpiecznie do ojcowskiego domu

nie będzie mogła być odwiezioną. Sposobność do tego nastręczyła się już następującego dnia. Służący nie mogli się dosyć temu wydziwić, jak prędko zniknięcie panienki i osobliwsze okoliczności z niém połączone, ojciec i goście zdawali się puszczać w niepamięć. Nie wiedzieli, że ci, których jéj los najbardziéj obchodził, dobrze byli obeznani z przyczyną jéj wykradzenia i miejscem pobytu, i że inni w pełnych trwogi i niepewnych chwilach poprzedzać zwykłych wybuchnięcie spisku, mało są zdolni przejmować się uczuciami, które nie zostają w związku z własnemi ich sprawami.

ROZDZIAŁ XII.

Poszukiwania Izabeli zostały, może tylko dla pozoru, nazajutrz ponowione z równie niepomyślnym skutkiem, i towarzystwo późno w wieczór powracało do zamku Elisława.

— To osobliwsza rzecz, — mówił Mareschal do Rateliffa, — żeby czterech jeźdźców i niewiasta ciągnęły przez okolicę, nie zostawiając za sobą najmniejszego śladu przebytéj drogi. Zdawałoby się, że przez powietrze, albo pod ziemią drogę przebywali.

— Nabywamy czasem, — odpowiedział Rateliff, — wiadomości o tém co jest, przez odkrycie tego co nie jest. Przeglądaliśmy już każdą ścieżkę, każdą drogę, każdy ślad, wychodzący od zamku na wszystkie kierunki kompasu, oprócz jednéj tylko, bardzo mozolnéj krętéj drogi, która ku południowéj stronie Westburnflat przez oparzysko prowadzi.

— A czemuż téj nie przeglądaliśmy? — zapytał Mareschall.

— O na to pan Vere lepsze potrafi dać tłomaczenie, odpowiedział Ratcliff bez ogródki.

— Zapytam go w ten moment, — powiedział Mareschall, i obracając się do Elisława, rzekł: — słyszę, że jeszcze jedna jest droga ku Westburnflat, którejśmy dotąd nie śledzili.

— O, — odpowiedział sir Fryderyk z uśmiechem, znamy bardzo dobrze posiadacza Westburnflata, swawolny to ptaszek, który niewielką czyni różnicę między swoją i sąsiada własnością, ale dobre ma zasady i niczego nie dotknie co jest własnością Elisława.

— Prócz tego, — mówił Vere uśmiechając się z miną pełną tajemnicy, — miał wczorajszéj nocy inną przędzę na swojéj kądzieli. Alboż nie wiecie, iż młodemu Eliotowi w Hanghoot dom spalono i bydło zabrano, jedynie tylko dla tego, że się wzbraniał wydania oręża kilku godnym mężom, którzy chcą powstać za królem.

Większa część zgromadzenia spojrzała na siebie ze znaczącym uśmiechem, słysząc o zdarzeniu ich własnym zamiarom przyjaznem. Mimo to,—znowu odezwał się Mareschal, — uznaję za właściwe, abyśmy się puścili konno w tę stronę, inaczéj słusznie nas o niedbalstwo posądzą.

Gdy żadnym rozsądnym zarzutem téj porady zbić nie można było, wybrali się zaraz ku Westburnflat. Jeszcze niedaleko zajechali, gdy usłyszeli tentent koni i w moment potém ujrzeli kilku jeźdźców, którzy im drogę zastąpili.

— Oto jedzie Ernseliff, — zawołał Mareschall, —znam jego pięknego konia z białą gwiazdką.

— Córka moja przy nim, — zawołał Vere z zajadłością, — któż teraz jeszcze nazwie moje podejrzenie bezzasadném i krzywdzącém? Moi panowie, moi przyjaciele! dopomagajcie mi waszém ramieniem w ocaleniu mego dziecięcia.

Dobył zaraz kordelasa; sir Fryderyk i drudzy poszli za jego przykładem, chcąc uderzyć na nadjeżdżających; większa zaś część wahała się.

— Wszak oni spokojnie jadą,—powiedział Mareschall, wysłuchajmy pierwéj jakie nam dadzą objaśnienia. Jeżeli Miss Vere od Ernseliffa najmniejszéj doznała obrazy, albo zniewagi, ja pierwszy do pomsty. Ale wysłuchajmy pierwéj co powiedzą.

— Krzywdzisz mię twojém podejrzeniem Mareschallu, odrzekł Elisław, — po tobie najmniéj się tego spodziewałem.

— Sam sobie ubliżasz Elisławie, twoją popędliwością, jakkolwiek ją okoliczności wymawiają.

Potém wyprzedziwszy ich cokolwiek, zawołał donośnym głosem:

— Zatrzymaj się panie Ernseliffie! Obwiniają cię, żeś wykradł Izabelę z ojcowskiego domu; widzisz nas pod bronią, gotowych przelać krew dla wybawienia jéj, żądamy objaśnienia bez żadnych wykrętów.

— A któż bardziéj gotów do tego nade mnie panie Mareschal? — odpowiedział Ernseliff z dumą, — nade mnie, co miałem szczęście uwolnić ją dziś rano z więzienia, i teraz odprowadzam do zamku Elisława.

— Czy tak jest w istocie Miss Vere? — zapytał Mareschall.

— Tak w istocie, — odpowiedziała Izabela z żywością, — i dlatego, na Boga! schowajcie wasze miecze, gdyż na wszystko co święte zaprzysiądz mogę, że gwałtem zostałam porwaną przez rozbójników, których osoby i po-

budki zarówno mi są nieznajome, i że jedynie pośrednictwu tego pana winnam moje uwolnienie.

— Któż więc tego mógł się dopuścić i w jakim zamiarze?—pytał daléj Mareschall, — nieznałaśże miejsca, do którego cię prowadzono? Ernseliffie gdzieżeś znalazł Izabelę?

Ale nim odpowiedź na jedno z tych pytań nastąpić mogła, nadjechał Elisław, i wsuwając swój miecz do pochwy, raptem przerwał rozmowę.

— Panie Ernseliff, — rzekł z niechęcią, — jakkolwiek cieszę się z powrotu mojéj córki, ale wtenczas dopiero będę ci mógł wdzięczność moją okazać, jak się dowiem dokładnie wszystkich szczegółów i powodów dopełnionego na nią powodu. A teraz składam ci tylko podziękowanie, że moje dzieci wróciłeś strapionemu ojcu.

Na ukłon pełen dumy złożony sobie, Ernseliff z równą odkłonił się dumą. Elisław potém powrócił ze swoją córką tą samą drogą ku zamkowi, i zdawał się tak zatapiać w rozmowie z nią, że reszta towarzystwa uznała za właściwe jechać od nich w pewném oddaleniu. Ernseliff dotknięty takiém obejściem, żegnając się z resztą szlachty, towarzystwo Elisława składającéj, odezwał się głośno:

— W mojém postępowaniu nie ma wprawdzie nic, coby mnie w podejrzenie podać mogło, ale widzę, że pan Vere zdaje się mniemać, żem do gwałtownego porwania wpływał. — Upraszam was przeto panowie, przyjąć niniejszem moje oświadczenie, że to hańbiące obwinienie zupełnie jest bezzasadne, i że chociaż rozdzierającém sercem uczuciom ojca w takich chwilach pobłażać mi wypada, to jednak gdyby ktoś, — mówił daléj, rzucając bystre spojrzenie na sir Fryderyka Langlej, — powątpiewał o rzetelności mego i panny Izabeli zeznania i świadectwa przyjacioł, mieniąc go być niedostatecznem na moją

obronę, to takiemu mam zaszczyt oświadczyć, że za szczęście, za wielkie szczęście sobie poczytam, bronić się z orężem jak przystoi mężowi, który honor wyżéj ceni nad życie.

— A ja go wesprę, — przydał Szymon Hakburn, — ja i dwóch z was na siebie wezmę, wyższego lub niższego rodu, panicz lub chłop, Szymonowi wszystko jedno.

— Któż ten nieokrzesany pachołek? — odezwał się sir Fryderyk Langej, — cóż go obchodzić mogą waśnie pomiędzy szlachtą?

— Ja wieśniak z Teviot, — odpowiedział Szymon, wolno mi waśnić się z kim chcę, wyjąwszy króla i dziedzica, pod którym żyję.

— Zgoda panowie! — odezwał się Mareschall. — Bez kłótni! panie Ernseliff, jakkolwiek na niektóre rzeczy zgodzić się nie możemy, sądzę wszelako, że przystoi nam być przeciwnikami nawet nieprzyjaciołmi, nie uwłaczając sobie szacunku dla rodu, honoru i osoby. Uważam pana w téj sprawie tak niewinnym jak mnie samego, i ręczę za to, że mój stryj Elisław ochłonąwszy ze smutku i przerażenia, pośpieszy z ocenieniem ważnéj przysługi jakąś mu wyświadczył.

— Przysłużyć się pańskiéj kuzynce, już samo w sobie dostatecznie mnie wynagrodziło, — odpowiedział Ernseliff, — dobréj nocy panowie, widzę, że już większa część waszego towarzystwa wybrała się w drogę ku Elisław.

Potém pozdrowiwszy Mareschalla uprzejmie, drugich zaś obojętnie, zwrócił się ku Hanghoot dla pomówienia z Halbertem Eliot o środkach, jakich jąćby się należało, w celu odzyskania jego narzeczonéj, któréj powrót jeszcze wiadomym mu nie był.

— Oto pędzi jak wiatr, — odezwał się Mareschall, śliczny to chłopiec, zacny i odważny! Na poczciwość,

radbym się z nim choć raz sprobować. W szkołach nie ustąpiliśmy sobie na florety, ciekawym jakby to było na pałasze.

— Mojém zdaniem, — odpowiedział sir Fryderyk Langlej, — bardzo źle zrobiliśmy, żeśmy go z jego konwojem puścili, bez odebrania im oręża. Zobaczycie, jak stronnictwa polityczne w Anglii hurmem garnąć się będą pod jego chorągwie.

— Wstydź się sir Fryderyku! — zawołał Mareschall, alboż myślisz, że honor Elisława byłby dopuścił, aby Ernseliffa zdradziecko napastowano, i to w chwili, gdy ten mu przez powrót córki wyrządził tak wielką przysługę? Alboż rozumiesz, że ja i drudzy moi przyjaciele byliby się odważyli wspierać cię w takiém przedsięwzięciu? Nie, nie, imię nasze i staréj Szkocyi byłoby na zawsze shańbione! Kiedy miecze ostrzą, nie ostatni wezmę się do broni, ale póki jeszcze w pochwie spoczywają, postępujmy jako ludziom szlachetnym i sąsiadom przystoi.

W końcu téj rozmowy zatrzymali się przed zamkiem, a Elisław, który już kilka minut przybył, zeszedł po schodach do nich na dziedziniec.

— Jak się ma córka? — pytał Mareschall popędliwie, czy dowiedziałeś się przyczyny jéj porwania?

— Udała się do swych pokoi, bo nadzwyczajnie zmordowana, a dopiero gdy przyjdzie do siebie, wypytam się ją o wszystkie szczegóły doświadczonéj przygody, — odpowiedział ojciec. — Oboje winniśmy ci wielką wdzięczność Marschellu, jako téż innym moim przyjaciołom za podjęte trudy. Lecz na niejaki czas muszę przytłumić serce ojcowskie, poświęcając się wyłącznie ojczyznie. Wiecie, że to dzień przeznaczony do spełnienia naszego zamiaru. Czas schodzi. Nasi przyjaciele zejdą się, ja zaś otworzyłem mój dom nietylko szlachcie, ale téż i niższym

stronnikom, których nam potrzeba, mało zatém czasu pozostaje. Przejrzyj ten opis Mareschallu, czytaj ten list sir Fryderyku, wszystko już dojrzało, czeka tylko sierpa i nie potrzeba nic więcéj jak tylko zwołać żniwaków.

— Z całego serca, — odpowiedział Mareschall,—im większy nieład, tém większa pustota.

Na twarzy sir Fryderyka malował się smutek i zniechęcenie.

— Idź ze mną, — rzekł Elisław do ponurego baronetta, — mam ci samemu coś radosnego powiedzieć.

Gdy weszli razem do zamku, Rateliff i Mareschall pozostali sami na dworze.

— Twoi stronnicy, — odezwał się Rateliff do Mareschalla, — tak wierzą w niewątpliwy upadek istniejącego rządu, że nawet nie starają się pokrywać swoich knowań przyzwoitym pozorem.

— Na honor panie Rateliff, — odpowiedział Mareschall, — czyny i zdania twoich przyjacioł, potrzebują może tajemnicy, ale co do moich, to cieszę się, że w każdéj sprawie z otwartém mogę wystąpić czołem.

— Czyż podobna, — odezwał się Rateliff, — że ty, który pomimo twojéj niebaczności i zapału, — daruj mi panie Mareschall, że mówię otwarcie, że ty mówię, który pomimo tych wad masz rozum i wiadomości, tak ślepo puścić się możesz na rozpaczliwe przedsięwzięcie? Czy masz dwie głowy do stracenia, czyż nie czujesz, że ta jedyna którą posiadasz, spaść może z wielką łatwością w sprawie któréj się poświęcasz?

— Że spaść może łatwo, — odpowiedział Mareschall, to nie podlega żadnéj wątpliwości, ale ja nie stworzony z tak obojętnego materyału, jak mój stryj Elisław, który prawi o zdradzie stanu, jakby to była piosneczka dziecinna, i który przy porwaniu i wróceniu swojéj córki,

mniéj okazuje uczucia, niż ja, gdyby mi zaginął lub dostał się napowrót młody charcik. Mój umysł wcale nie jest tak nieugięty, ani moja nienawiść na istniejący rząd tak wkorzenioną, żeby mię okryła ślepotą na niebezpieczeństwo tego przedsięwzięcia.

— Dla czegoż tedy w takowe się plączesz? — zapytał się Rateliff.

— Bo kocham z całego serca tego biednego wygnanego króla, a mój ojciec oddawna był przywiązanym do Stuartów. Radbym także zapłacić dworakom, co frymarczyli starą Szkocyą, któréj korona tak długo była niepodległą.

— I dla tych to Szkotów, — odpowiedział przestrzegający przyjaciel, — zamierzasz pogrążyć twoją ojczyznę w klęski wojenne i siebie samego w nieszczęście?

— Ja? bynajmniéj! Ale, jeżeli raz ma być wojna, to czém prędzéj tém lepiéj; w czekaniu nie stajemy się młodszymi. Uspokój się, a co się tyczy szubienicy, nie widzę, mówiąc z Falstafem w Henryku VII Szekspira, — dlaczego ciało moje nie ma przypaść krukom tak do smaku, jak czyje inne?

— Panie Mareschall! lękam się o ciebie, — odpowiedział Rateliff.

— Mocnom obowiązany panie Rateliffie, — ale nie życzę, abyś oceniał nasze przedsięwzięcie ze sposobu w jaki je popieram. Mędrsi ludzie ode mnie należą do niego.

— I mędrsi od ciebie mogą w wielkie wpaść błędy, odpowiedział przyjaciel napominającym tonem.

— Może, ale oni nie mają płochliwego serca. I abyś panie Rateliffie twojemi napomnieniami go bardziéj nie obciążał, żegnam się z tobą aż do objadu, na którym naocznie się przekonasz, że moje obawy apetytu wcale nie umniejszyły.

ROZDZIAŁ XIII.

W zamku Elisława wielkie poczyniono przysposobienia na ten ważny dzień, w którym nietylko spodziewana była znakomitsza szlachta z okolic przychylna sprawie Jakobickiéj, ale nadto wielu niechętnych niższego stanu, którzy powabem nowości, nienawiścią przeciw Anglii, lub jedną z owych licznych przyczyn, które namiętności ludzi owych czasów zapalały, chętni byli do współudziału w niebezpiecznem przedsięwzięciu. Mężów znaczenia i majątku nie było wielu, albowiem wszyscy prawie wielcy właściciele ziemscy byli oddaleni, a większa część mniejszéj szlachty i włościan, przywiązani do Prezbyteryanizmu, lubo niechętni połączeniu koron, nie mieli jednak zamiaru należyć do Jakobickiego spisku. Lecz było pomiędzy nimi kilku zamożnych panów, którzy już z wrodzonych zasad, już z religijnych powodów, albo li téż dzieląc ambitne zamiary Elisława, plany jego wspierali; było daléj pomiędzy nimi kilku zagorzalców, którzy jak Mareschall pałali żądzą celowania w niebezpiecznym przedsięwzięciu, przez które przywrócić myśleli niepodległość kraju. Reszta sprzysiężnych była niskiego stopnia i skołatanego majątku, którzy teraz z tą samą skwapliwością byli gotowi podnieść bunt, z jaką późniéj roku 1715 powstali nagle pod Forsterem i Derwentwaterem, gdy cały prawie regiment pod dowództwem szlachcica pogranicznego Duglasa, złożony był z samych ochotników.

Przypominamy tu jedynie okoliczności tyczące się prowincyi, w któréj się rzecz dzieje, bo bezwątpienia partya Jakobitów w innych częściach Królestwa, składała się z daleko straszniejszych i więcéj wpływowych członków.

Długi stół ciągnął się przez ogromny krużganek zamku Elisława, który jeszcze w tym samym jak przed stu laty był stanie. W ponuréj wielkości rozciągał się przez całe skrzydło zamku, a ze sklepienia z ciosowego kamienia, sterczały w jednostajnéj odległości wypukłą robotą kamienne obrazy, w których dzikiéj postaci wyuzdana wyobraźnia gotyckiego kamieniarza wysiliła się o ile tylko mogła, na przedstawienie wstrętnéj potworności. Groźne i wściekłe harpie zgrzytającemi zębami i szyderskim uśmiechem, napełniały zgrozą pod niemi siedzących gości; długie wązkie okna oświetlały gmach z obu stron, a przez malowane szyby tylko mdłe ponure przedzierało się światło słoneczne. Chorągiew, którą jak wieść niosła, w bitwie pod Sark na Anglikach zdobytą została, powiewała nad krzesłem, w którém Elisław zgromadzeniu przewodniczył, jakoby wspomnienie dawnych zwycięztw nad sąsiadami, zapalać miało męztwo gości. On sam obdarzony dumną postawą i rysami twarzy, które pomimo posępnego i surowego wyrażenia, pięknemi nazwane być mogły, ze szczególną starannością był ubrany, i żywo przypominał pana zamku obronnego przeszłych czasów. Sir Fryderyk Langlej siedział po prawéj, Mareschall po lewéj ręce, kilku innych szlachty ze swoimi synami, bracią, siostrzeńcami i synowcami, zajęło górną część stołu; pomiędzy niemi mieścił się Rateliff. Niżéj za wielką srebrną miednicą na środku stołu siedzieli, sine nomine turba, ludzie, których próżność w téj nawet niższéj przestrzeni jadalnéj sali znajdowała zadowolenie, podczas gdy duma możnych pilnowała bacznie przedziału przy oznaczeniu miejsc zachowanego. Że ta izba niższa nie z bardzo szlachetnych składała się członków, można ztąd widzieć, że i Wilhelm Westburnflat do niéj należał. Bezczelność z którą śmiał ukazać się w domu człowieka, któremu świeżo ciężką znie-

wagę wyrządził, nie dała się objaśnić tylko domniemaniem, że dobrze wie, iż jego uczestnictwo w porwaniu Izabeli dla każdego jest tajemnicą, oprócz Elisława i jego córki.

Dla tego licznego i mieszanego towarzystwa zastawiono ucztę, złożoną nie jak gazety wyrażać zwykły, z przysmaków pory roku, lecz z posilnych obfitych mięsiw, pod których ciężarem stół się uginał. Ale wesołość nie jednoczyła się z wyśmienitym bankietem; na niższym końcu stołu siedzący, zrazu zdali się uczuwać w tak wyborowem towarzystwie wymuszoność i ckliwość, lecz nudy ztąd wypływające, rozpędziło zaraz wezwanie do godów bankietowych, którego spełnić nie wahali się i chwili. Nieme też posiedzenie, wkrótce zamieniło się na gawędę, a nawet ochocze wrzaski.

Ale wódka i wino nie potrafiły rozweselić umysłu zajmujących miejsce u góry stołu. Czuli ową bojaźń, która nas często ogarnia, gdy mamy rozpaczliwe spełnić postanowienie, postawiwszy siebie w położeniu, w którém zarówno trudno jest iść naprzód, lub wstecz. Przepaść wydała się tém głębszą i niebezpieczniejszą, im bardziéj zbliżali się do jéj brzegu i każdego ogarnął dreszcz, na myśl, kto ze sprzymierzonych, wtrąci się pierwszy do otchłani. To wewnętrzne poczucie bojaźni i wstrętu objawiło się rozmaitym sposobem, w miarę rozmaitych skłonności i widoków gości obecnych. Jedni wyglądali poważnie, drudzy śmiesznie: jedni spoglądali z obawą na próżne miejsca u góry stołu, przeznaczone dla członków spisku, których przezorność przemogła nad zapałem dla sprawy, i którzy w téj bliskiéj chwili z narad usunęli się: drudzy zdali się porównywać znaczenie i moc przytomnych i nieprzytomnych. Sir Fryderyk Langlej był roztargnionym, ponurym i markotnym, Elisław zaś tak widocznie wysilał się na wznie-

cenie odwagi swoich gości, że prawie znać było, iż sam cokolwiek tchórzył.

Rateliff patrzał na wszystko ze spokojnością bacznego, lecz nieuprzedzonego widza. Sam tylko Mareschall, wierny swojemu charakterowi porywczemu i płochemu, jadł i pił, śmiał się, żartował, i zdał się nawet weselić, z powodu tego zamieszania towarzystwa.

— Cóż stłumiło nasz szlachetny zapał? — zapytał się. Wygląda to, jak gdybyśmy byli na obchodzie pogrzebowym, gdzie kondukt jest niemy, a karawaniarze hojnie się raczą, i tu rzucił okiem na dolny koniec stołu: Elisławie, czy podniesiesz się. Czy usnęła twoja odwaga? Cóż zaś skruszyło mężny umysł szlachetnego rycerza Langlej?

— Mówisz jak nierozsądny, — odpowiedział Elisław, nie widzisz ilu z nas tu brakuje?

— Cóż to szkodzi! Nie wiedziałeś tego wprzódy, że połowa ludzi chętniéj plecie niż działa? Co do mnie, cieszę się, że przynajmniéj dwie trzecie części naszych przyjaciół się stawiło; lubo się lękam, że jedna połowa tylko przyszła, aby w najgorszym przypadku bankietu nie stracić.

— Jeszcze nie mamy pewnych wiadomości z nadbrzeża, o przybyciu króla, — rzekł drugi wymuszonym, stłumionym głosem, zwykle będącego znakiem straconego serca.

— Ani słowa od hrabiego D...., ani od kogo innego z południowéj granicy.

— Któż to? — zawołał Mareschall tonem teatralnego rycerza, — któż to, co mężów Anglii za towarzyszy sobie życzy? Czyż mój stryj Elisław nie zacnym człowiekiem?... Czy nam śmierć przeznaczona.

— Dla Boga, — przerwał Elisław, — nie nudź nas twoją brednią Mareschallu.

— Dobrze więc, to cię poczęstuję moją mądrością, jakakolwiek ona jest. Jeżeli postępowaliśmy jak tchórze, zawsze dość zrobiliśmy, aby ściągnąć na siebie podejrzenie i zemstę władzy. Cóż nikt nie chce mówić? Kiedy tak, ja pierwszy skoczę na wyłom!

Porwał się z krzesła, kubek napełnił czerwonem winem, i kazał wszystkim pójść za swoim przykładem i powstać. Wszyscy usłuchali, ale znakomitsi oziębłe, drudzy z zapałem.

— Moi przyjaciele! — mówił, — daję wam hasło dzisiejszego dnia. Spełnijcie zdrowie za niepodległość i pomyślność naszego prawego władzcy, króla Jakóba VIII, który pod Lithian na ląd wysiadł i jak myślę i spodziewam się, jest w posiadaniu swojéj dawnéj stolicy!

Łyknął wino i cisnął kielich po za głowy siedzących.

Wszyscy poszli za jego przykładem i wśród szczęku kielichów i wrzasku gości, przysięgli żyć i umierać za zasady i hasło, które spełnieniem toastu zaręczyli.

— Odważyłeś się doprawdy na skok przez rów,—szepnął Elisław Mareschallowi. — Ja także tego zdania, że tak najlepiéj. Cóżkolwiek wypadnie już zapóźno aby się cofać; jeden tylko na Rateliffa spoglądając, do toastu nie należał. Ale o tém późniéj się rozmówimy.

Potém powstał i miał do zgromadzenia mowę, która obelżywemi wyrazami, zapalała przeciw rządowi i jego działaniom. Szczególniéj rozwodził się nad połączeniem, to jest nad układem, przez który Szkocya, jak utrzymywał, jednem pociągnięciem pióra postradawszy wolność, handel i honor, krępowana niewolniczemi więzami, leży u nóg rywala, przeciw któremu od tylu lat popierała swoje prawa i sławę tylą niebezpieczeństwy i krwią.—Był to przedmiot najdraźliwszy, który wszystkie serca poruszył.

— Nasz handel zrujnowany!— krzyczał stary Jan Reweastle, indyjski kontrabandzista.

— Nasze rolnictwo zniszczone, — mówił włościanin, mający kawał ziemi, który od adamowych czasów nie wydał nic prócz modrzewnicy i poziomek.

— Naszą religiję wytępiają z korzeniem, — przydał pastor biskupiéj parafii Kirkwhistle.

— Niezadługo dożyjemy czasów, w których nam nie będzie wolno ubić sarny, i pocałować dziewczyny bez upoważnienia władzy, — mówił Mareschall.

— Ani, — dodał Westburnflat, — w żadnéj ciemnéj nocy przebyć wierzchem pagórka bez poprzedniczego zezwolenia młodego Ernseliffa, lub innego sędzi pokoju. Oto dobre były czasy na pograniczu, gdy nie było ni pokoju, ni sędziów.

— Pomnijmy na obelgi doznane pod Darien i Glencoe, — mówił daléj Elisław, — bierzmy się do oręża, stawając w obronie naszych praw, dóbr, życia i dzieci!

— Pomnijcie na pierwiastkową biskupią konsekracyą, bez któréj nie ma prawego duchowieństwa! — mówił pastor.

— Pomnijcie jak angielscy korsarze tamują nasz wschodnio-indyjski handel!—zawołał Wilhelm Wilson, szyper, — który zwykł był cztery razy na rok płynąć z Cokpool do Whitehaven.

— Wspomnijcie wasze swobody, — ozwał się znów Mareschall,—który z troskliwą radością iskry przez siebie wskrzeszone zamienił w gorejące płomienie, nakształt swawolnego chłopca, który otworzywszy śluzę młyńskiéj grobli, zachwyca się wrzaskiem kół przez siebie do ruchu doprowadzonych, nie myśląc o nieszczęściu jakie może wyrządzić. — Wspomnijcie sobie wasze swobody, — mówił daléj, pamiętajcie o nowych podatkach, zrzućcie z siebie

jarzmo, i przeklęty niech będzie stary Wilhelm, ten pierwszy, któremu ucisk winniśmy.

— Niech dyabli wezmą strażnika, — krzyczał stary kontrabandzista. — Własną ręką kark mu skręcę!

— Niech czart porwie policyanta!—znów zaczął Westburnflat,—każdemu policyantowi w łeb palnę nim zaświta.

— Czyż zgodzimy się przecież na to? — rzecze Elisław, — gdy krzykacze na chwilę umilkli, aby dłużéj nie znieść takiego stanu rzeczy.

— Wszyscyśmy zgodni, — odpowiedzieli goście.

— Nie tak zupełnie, — odezwał się Rateliffe.—Wprawdzie nie tuszę sobie, abym stłumić miał gwałtowne wzburzenia, które tak nagle całe towarzystwo ogarnęło, ale proszę przyjąć moje niniejsze objawienie, że pod żadnym pozorem nie zgadzam się na wszystkie tu wyrażone zażalenia, i że się zupełnie oświadczam przeciw nierozsądnym środkom, których użyć myślicie dla zaradzenia mniemanym niedogodnościom. Łatwo mi przypuścić, że wiele co tu mówiono przypisać należy chwilowemu zapałowi, albo żartowi, lecz są takie żarty, które prędko wychodzą na jaw, i nie powinniście zapominać panowie, że ściany mają uszy!

— Prawda może, że ściany mają uszy,— odpowiedział Elisław, — spoglądając na niego ze złośliwym tryumfem, lecz szpieg domowy prędko może się uszu pozbyć, jeżeli podobny ptaszek odważy się dłużéj mieszkać w domu, gdzie jego przybycie było przywłaszczoném natręctwem, a jego postępowanie samowolném do wszystkiego wtykaniem się, i który dom opuści jak zawstydzony żak, jeżeli sam wprzód się tego nie domyśli.

— Panie Vere, — odpowiedział Rateliff z zimną pogardą, — dobrze to rozumiem, że skoro moja przytomność stanie ci się bezpotrzebną, czém z nierozsądnym zamie-

rzonym krokiem stać się musi, będzie ona równie niebezpieczną jak ci była nienawistną. Ale mam protektora możnego, i byłoby ci nie miło, gdybym przed szlachtą i ludźmi honoru wyłuszczyć chciał szczególne okoliczności, które były przyczyną naszych bliższych stosunków. Zresztą cieszę się, że otwarcie wynurzyłeś swe zdanie, a spodziewając się, że pan Mareschall i kilku innych panów całość moich oczu i mego gardła téj nocy strzedz będą, mam zaszczyt oświadczyć, że twój zamek dopiero jutro rano opuszczę.

— Niech tak będzie, — odpowiedział Vere, — Jesteś zupełnie bezpiecznym od mego gniewu, bo nie jesteś go godnym, lecz nie żebym się lękał, abyś tajemnicy domowych nie zdradził. Wszelako przestrzegam cię, dopilnuj się dla własnego twego dobra. Co do mnie, mogę cię zaręczyć, że twoje spółdziałanie, albo pośrednictwo, mało temu przydać się może, który chce wszystko zyskać lub wszystko stracić, gdyż albo prawna słuszność, albo niesłuszne przywłaszczenie odniosą zwycięstwo w walce, które wkrótce nastąpi. Bądź zdrów.

Rateliffe rzucił spojrzenie na niego, które Vere ledwo mógł znieść; powstał, ukłonił się towarzystwu i opuścił pokój. Ta scena zrobiła na większéj części obecnych wrażenie, które Elisław usiłował zatrzeć, wracając do przedmiotu w rozprawie będącego. Wypadkiem nareszcie ostatecznym po długiéj gadaninie zagorzałych obrad, był bezpośredni wybuch spisku. Elisława, Mareschalla i sir Fryderyka Langlej, mianowano naczelnikami i upoważniono do kierowania dalszemi czynnościami.

Oznaczono miejsce, na którém wszyscy zgromadzić się nazajutrz przyrzekli, z tylą towarzyszami i przyjaciołmi, ile każden dobrać potrafi. Niektórzy goście oddalili się dla poczynienia potrzebnych przygotowań; Elisław prze-

prosił resztę gości, którzy spólnie z Westbrunflatem dzielnie łykali z butelki i stale przy niéj wytrzymywali, że mu stół opuścić przychodzi, aby ze swemi gorliwemi spólnikami spokojnie obmyślić potrzebne przysposobienia. Przeproszenie tém miléj przyjęto, że ich oraz prosił, szukać rozrywki ciągle w pokrzepiających napojach, jakich piwnice zamku dostarczały. Głośne oklaski towarzyszyły im. Imiona Vere i Langlej, a przed wszystkiemi Mareschall, napełniły powietrze okrzykami radości, i jeszcze zostały tejże nocy powtarzane przy wypróżnieniu ogromnych kubków wina.

Gdy naczelnicy zostali sami, spojrzeli na siebie z jakiemś pomieszaniem, które w posępnych rysach sir Fryderyka przemieniło się w wyrażenie śmiesznego smutku. Mareschall, przerwał pierwszy milczenie i zawołał z zapałem.

— Oto jużeśmy wsiedli na okręt! Panowie! teraz rozspinajcie żagle!

— Tobie należy nam składać dzięki, że tak daleko poszło, — odpowiedział Elisław.

— Prawda, ale nie wiem jakie dzięki mi złożycie,—odpowiedział Mareschall, — gdy wam pokażę ten list, który mnie właśnie przed stołem doszedł. Służący mój powiedział, że dał mu go jakiś człowiek nieznajomy, który jak piorun wierzchem uleciał, poleciwszy mu oddać mi ten list do własnych rąk.

Elisław otworzył go niecierpliwie i czytał głośno.

Edymburg

Szanowny Panie!

Ponieważ winien jestem twojéj rodzinie nieograniczoną wdzięczność za doznane dobrodziejstwa i dowiedziałem się, że należysz do stowarzyszenia śmiałków, które prowadzi interesa domu Jakóba i kompanii dawniéj ku-

pców w Londynie obecnie w Dunkirahen, mam sobie za obowiązek zawczasu ci donieść, że okręty, których oczekujesz, od brzegu odpędzone zostały, i nie były w stanie wysadzić nic ze swego ładunku na ląd, i że zachodni spólnicy umyślili wykreślić swoje imię z firmy, gdy bankructwo już jest niezawodném. W nadziei, że téj wiadomości użyjesz na pomyślenie o twojém bezpieczeństwie, zostaję najniższym sługą.

Nihil bezimienny.

Do pana Rudolfa, Mareschall de Mareschall Wells.

(pilno).

Sir Fryderyk skrzywił twarz i zbladł, w czasie, gdy Elisław czytał list ten, wołał:

— Jakże, wszak to wpływa na główną sprężynę naszego przedsięwzięcia. Jeżeli francuzka flota z królem na pokładzie od anglików odpartą jest, jak z téj przeklętéj bazgraniny wypływać się zdaje, gdzież jesteśmy?

— Myślę, że tam gdzieśmy byli dziś rano, — odpowiedział Mareschall ze śmiechem.

— Za pozwoleniem, wstrzymaj się raz przecie z twoją niewczesną żartobliwością panie Mareschall. Dziś rano jeszcze byliśmy niewinni w obliczu prawa, teraz jesteśmy winni, a to przez twoje szaleństwo, gdy masz list w kieszeni, który cię zawiadamia, że nasze przedsięwzięcie jest zniweczoném.

— Myślałem sobie zaraz, że tak mówić będziesz,—odpowiedział Mareschall, — lecz najprzód mój przyjaciel ze swoim listem może jest pustakiem, a powtóre, muszę ci powiedzieć, żem sobie obrzydził towarzystwo, co wieczorem bawi się powzięciem zuchwałych układów, a przez noc je z dymem puszcza jeszcze nim dzień zaświta. Rząd teraz niezaopatrzony ani w wojsko, ani w zapasy wojenne, w kilka zaś tygodni, będzie miał obojga podostatkiem; teraz lud jest rozżarzony, a w kilka tygodni samolubstwo, trwoga i oziębła opieszałość, któréj skutki teraz już są widoczne, przygaszą ogień nim się w ogólny pożar zamieni. Ponieważ sam wszedłem w błoto, postarałem się, abyście i wy równie jak ja głęboko w nie zabrnęli. — Ale klapiąc się w bagnisku, nie dość jest jęczyć i narzekać, trzeba się starać z niego wybrnąć.

— Co do mnie, mylisz się panie Mareschall,—odezwał się sir Fryderyk. — Zawszem umiał wszystkie bagniska starannie omijać.

Wyszedłszy to powstał, zadzwonił, i polecił wchodzącemu słudze, aby bezzwłocznie kazał ludziom jego przygotować się do podróży.

— Sir Fryderyk, — odezwał się Elisław, — czyż podobna abyś nas opuścił? Mamy z sobą tyle do mówienia.

— Dziś wieczorem odjadę, panie Vere,— odpowiedział sir Fryderyk, — powróciwszy do siebie dam ci znać co myślę o wszystkiem.

— Rozumiem, — szepnął Mareschall, — a to doniesienie zechcesz zapewne uczynić przez przyjaciół zowiących się policyą i żandarmami. — Zmuszony ci zatém jestem oświadczyć sir Fryderyku, że nie ścierpię ani odstrychnięcia, ani zdrady, nie możesz przeto dziś wieczór ztąd ruszyć, chyba, że sobie uścielesz drogę po moim trupie.

— Wstydź się Mareschallu,— odezwał się Vere,— jak możesz z taką popędliwością źle tłomaczyć zamiary naszego przyjaciela? Jam pewny, że sir Fryderyk tylko sobie z nas zażartował. Jeżeli bowiem nie ceni tyle własnéj godności, aby o odstąpieniu nas lękał się nawet we śnie marzyć, to powinienby przecie pamiętać, że mamy w ręku niezaprzeczone dowody jego uczestnictwa i gorliwego spółdziałania. Prócz tego powinien wiedzieć, że rząd chętnie

przyjmie pierwszą wiadomość o knowaniach naszych tak hazardownych, a jeżeli oto idzie, kto ją pierwszy da, łatwo nam przyjdzie o kilka godzin go wyprzedzić.

— Mnie, powinienbyś powiedzieć, nie nam, kiedy mówisz o prześciganiu się w podobnych zamiarach, — odpowiedział Mareschall. — Co do mnie, nie chcę wpływać do téj sprawki. I między zębami mrucząc przydał: Ślicznych to parę ptaszków, aby im człowiek całość swéj głowy mógł powierzyć.

— Nie wymawiam się, zaczął znów sir Fryderyk od uczynienia tego, co za dobre uznam. Odjadę zatém natychmiast, bo i dla czegóż miałbym, mówił daléj, spoglądając na Verego, dotrzymywać słowa temu, który mi go nie dotrzymuje.

— W jakim względzie? — zapytał się Elisław, — unosząc gwałtownem poruszeniem rękę na swego popędliwego kuzyna, w jakim względzie zawiodłem cię sir Fryderyku?

— W delikatnéj sprawie mocno mnie obchodzącéj. Odwlokłeś wiadomy związek, luboś wiedział, że on był zakładem naszego politycznego przymierza. To porwanie i powrócenie twojéj córki, oziębłość, z którą się ze mną obchodziłeś i wymówki jakiemi to ubarwić chcesz, wszystko to są tylko czcze wybiegi, służące do zapewnienia ci posiadłości dóbr, które z prawa do niéj należą, oraz do zrobienia mnie narzędziem twojego zapamiętałego przedsięwzięcia, podsycając do działania nadziejami i obietnicami, których nigdy wypełnić nie myślisz.

— Sir Fryderyku, ręczę na wszystko, co święte.....

— Nie słucham już żadnych zaręczeń, aż nadto długo niemi mnie zwodzono.

— Wiesz, znów zaczął Elisław, że jeżeli nas opuścisz, to twoja i nasza zguba nieochybna. Wszystko na naszym wspólnym i nierozerwalnym związku polega.

— Pozwól, abym sam o sobie myślał, — odpowiedział Baronet, — ale choćby była prawda co mówisz, to wolę zginąć, niżeli dłużéj być igraszką cudzego interesu.

— Czyż żadne zaręczenie, nie zdoła cię przekonać o mojéj rzetelności? — odparł Elisław niespokojny. — Jeszcze dziś rano byłbym zbił twoje niesłuszne podejrzenie, ale tak jak teraz rzeczy stoją.....

— Przestań panie Vere,—przerwał sir Fryderyk,—jeżeli chcesz, abym ci zawierzył, tylko jeden masz środek w ręku; a to niechaj córka twoja jeszcze dziś wieczór odda mi swoją rękę!

— Tak prędko? niepodobna!—odpowiedział Vere,—rozważ jakiego świeżo doznała przestrachu; nasze obecne przedsięwzięcie także ją mocno niepokoi.

— Nic nie chcę słyszeć, tylko jéj przysięgi przed ołtarzem. Masz kaplicę w zamku; doktor Hobler jest pomiędzy gośćmi. Daj ten dowód szczerości swoich przyrzeczeń, a dziś my znów najściśléj połączeni. Kiedy mi teraz córkę odmawiasz, w chwili, w któréj twoje zezwolenie tak dla ciebie jest użytecznem, jakże mogę spodziewać się tego jutro, kiedy jeszcze bardziéj będę zawikłany w niebezpieczeństwo, z którego wycofać się już będzie niepodobna.

— Jeżeli więc, — rzekł Elisław,—dziś wieczór jeszcze pozyskasz rękę méj córki, czyż wtenczas nasza przyjaźń wznowiona zostanie?

— Tak jest i do tego stała i niezachwiana! — odpowiedział sir Fryderyk.

— Dobrze więc, a choć twoje żądanie jest niewczesne, niedelikatne i krzywdzące mój charakter, ale daj mi rękę sir Fryderyku; moja córka będzie twoją małżonką.

— Dziś wieczorem?

— Jeszcze dziś wieczorem, — odpowiedział Elisław, jeszcze nim dwunasta wybije.

— Z własném zezwoleniem spodziewam się,—odezwał się Mareschall, — gdyż na moje słowo nie będę obojętnym, gdyby moją kuzynkę gwałtem chciano do ołtarza poprowadzić.

— Dyabli niech porwą taką zapaloną głowę, — mruknął Elisław, — a potém głośno przydał: tak, tak z własnem zezwoleniem. Za kogo mnie uważasz Mareschallu? Czyż sądzisz, że córka moja potrzebuje opieki przed samowolą ojca? — Zapewniam cię, że panna Izabela Vere nie czuje wstrętu do sir Fryderyka.

— Ani do przyjęcia jego nazwy i zostania panią Fryderykową Langlej?

— Ależ tak, powiadam ci, potwierdził Elisław z pewną niecierpliwością.

— To mnie cieszy, bo pragnąc być otwartym, muszę wyznać, że to tak nagłe zażądanie jéj ręki i równie nagłe przyzwolenie, cokolwiek obudziło we mnie podejrzenie i zaniepokoiło.

— Nie dziwię się temu, — odezwał się Elisław, — bo i mnie ta taka nagłość żądania nabawia nie małego kłopotu. — Dziewczęta nie lubią tego, pragną, aby o nie długo proszono, błagano, nawet serce ich wyżebrywano, gdybym więc Izabelkę znalazł niechętną lub zupełnie do zawarcia tego małżeństwa nie skłonną, to w takim razie sądzę, że sir Fryderyku rozważysz.....

— Nic nie rozważę panie Vere, albo ręka twojéj córki dziś wieczór, albo odjadę choćby o północy. To ostatnie moje słowo.

— Niech tak będzie, — odrzekł Elisław,—oddalam się. Pomówcie o dalszych środkach względem naszych uzbrojeń; ja tymczasem chcę córkę przygotować do nagłéj odmiany jéj położenia.

To powiedziawszy opuścił pokój.

ROZDZIAŁ XIV.

Elisław, który długą wprawą w obłudzie tak daleko postąpił, że nawet chód swój do podstępnych zamiarów zastosować umiał, przebył szybko krużganek i wszedł po schodach prowadzących do pokoju Izabeli chyżym, stałym i pewnym krokiem człowieka, zajętego wprawdzie interesem wielkiéj wagi, ale nie powątpiewającego o niemylnym onego skutku. Gdy zaś dwaj przyjaciele już go dosłyszeć nie mogli, krok jego stał się powolniejszym i niepewnym, a umysł stał się miotany zgryzotą i bojaźnią. Nareszcie zatrzymał się w przedpokoju, chcąc zebrać myśli i zastanowić się przed wnijściem do córki nad sposobem zawiązania z nią rozmowy, w interesie tak wielkiéj dla niego wagi.

— Byłże kto w nieszczęśliwszém, zawilszém położeniu? — mówił sam do siebie. — Jeżeli nas niezgoda rozdwoi, rząd niewątpliwie ukarze mnie śmiercią jako głównego podżegacza. A chociażbym spieszném poddaniem się mógł sobie ocalić życie, będę i w tym nawet razie do szczętu na wieki zniszczonym. Z Ratelifem poróżniłem się i z téj strony czeka mnie tylko zmartwienie i prześladowanie. Gdybym udał się gdzie w dalekie strony świata, nie mam najmniejszych nawet środków do utrzymania swego życia, i do osłonięcia się przed obelgą z zarzutu odstępstwa na mnie w takim razie spadającą.—O ucieczce zatém podobnéj nawet myślić nie mogę, cóż mi więc pozostaje do wyboru, pomiędzy niepodobieństwem wyjazdu a niebezpieczeństwem, jakie nam wszystkim grozi? Jedno tylko pojednanie z tymi ludźmi zbawić mię zdoła, które aby do skutku doprowadzić, przyobiecałem Langlejowi, że Izabela go zaślubi jeszcze przed północą, i Mareschallowi, że to

uczyni dobrowolnie. Twardy to będzie orzech do zgryzienia, tymbardziéj z Izabelą, którą wiem, że Fryderyka nie cierpiąc, za tę natarczywość podwójnie go znienawidzi. Wiele wprawdzie polegam na romansowéj wspaniałości jéj serca, ale choć odwołam się do powagi ojca i posłuszeństwa mu przynależnego, muszę jednak miarkować się, aby doza nie była zbyt wielką.

Rozważywszy tak niebezpieczne swoje położenie, wszedł do pokoju córki, zbierając całą potęgę umysłu, tak potrzebną do wykonania ułożonego planu. — Chociaż podstępny i ambitny, nie był jednakże tak nieczułym, aby mając zadać gwałt sercu własnego dziecka, nie miał się tém wielce zaniepokoić. — Już chciał nawet zwrócić się z drogi, nic nie zdziaławszy, ale sama myśl, że będzie zgubiony bez ratunku, jeżeli mu się nie uda nakłonić jéj do zezwolenia na związek z Fryderykiem, była aż nadto dostateczną, aby ułagodzić a nawet zniszczyć wszelkie objawy występującego do walki sumienia.

Znalazł córkę przy oknie jéj sypialnego pokoju siedzącą, z głową opartą na ręce, tak zatopioną w myślach, że nie usłyszała hałasu jaki wchodząc zrobił. Przystąpił do niéj z twarzą wyrażającą wielką troskę, a usiadłszy obok niéj, ujął jéj rękę, przycisnął do piersi i westchnąwszy zwiesił smutnie głowę.

— Mój ojcze! — odezwała się Izabela z pomieszaniem, — które tyle bojaźni, ile współczucia okazywało.

— Tak Izabelo, — odpowiedział Vere, — twój nieszczęsny ojciec, który ze skruszoném sercem przychodzi przeprosić swoją córkę za zmartwienie, wyrządzone jéj przez zbyteczną miłość, a potém pożegnać się z nią na wieki.

— Zmartwienie dla mnie mój ojcze i pożegnać się na wieki? — zawołała mis Vere zatrwożona; — cóż to znaczy?

— Tak Izabelo, mówiąc szczerze. Lecz nasamprzód pozwól mi się zapytać, czy mnie nie posądzasz przypadkiem o współudział w napadzie jakiemu uległaś?

— Ty mój ojcze miałbyś do tego należyć? — odpowiedziała Izabela jąkając się, przekonana, że jéj myśli odgadnął, i wstydem wstrzymana od wyznania tak upodlającego i nienaturalnego podejrzenia.

— Twoje wahanie się przekonywa mnie że miałaś takie podejrzenie, a ja muszę bolesne uczynić ci wyznanie, że nie było ono bez zasady. Ale słuchaj: w złéj godzinie zachęciłem Sir Fryderyka Langlej do starania się o twoją rękę, ponieważ niepodobną rzeczą mi się zdało, abyś czuła niepokonaną odrazę do związku, którego korzyści były aż nadto widoczne. W nieszczęśliwszéj jeszcze godzinie wdałem się z nim w tajemne knowania, mające na celu przywrócenie naszego wygnanego króla. Korzystał z nieprzezornéj ufności, a moje życie teraz w jego ręku.

— Twoje życie ojcze!—zawołała Izabela z przestrachem.

— Tak moja córko, życie tego którego ojcem swoim nazywasz. Fryderyk kocha cię ale zarówno pragnie powrotu Stuartów, i tak splótł z sobą oba te uczucia, że oba wywierają wpływ nieprzeparty na jego postępowanie. Poznawszy to, a widząc twoją ku niemu niechęć, starałem się oddalić cię z domu i zarazem wyrwać siebie z niebezpieczeństwa w które zostałem zaplątany. Ale skutkiem nieprzewidzianych okoliczności, wydobytą zostałaś z tajemnego i bezpiecznego miejsca które ci chwilowo na pobyt przeznaczyłem. Dziś zatém nic nie pozostaje, jeżeli swéj niechęci ku związkowi małżeńskiemu z Fryderykiem pokonać nie możesz, abyś równie tajemniczo wyjechała do Paryża do ciotki i w klasztorze pod jéj opieką zamieszkała z kilka miesięcy. Pozbawiony wszelkiéj nadziei ocalenia, dziś mi nic już nie pozostaje jak z błogosławieństwem wy-

prawić cię w drogę pod opieką Rateliffa który dom nasz opuszcza.. własny zaś mój los wkrótce będzie roztrzygnięty.

— Wielki Boże! czyż podobna! — zawołała Izabela. Dla czegóż mnie uwolniono z więzienia przez ciebie ojcze wyznaczonego, dla czego wprzód nie porozumiałeś się ze mną abym wiedziała jak działać w danych okolicznościach?

— Nie mogłem tego zrobić, bo tylko zastanów się moje dziecko. Fryderyk cię kocha z całym zapałem młodzieńczego uczucia, ufając mi zwierza się ze swą miłością, ja przyrzekam mu wszelką pomoc, gdybym więc wydał jego niepokonane niczem pragnienie zdobycia twego serca, czyżbym nie wpłynął tem samem na zupełne znienawidzenie go przez ciebie. Zaufanie przyjaciela którego jak najlepiéj starałem się przedstawiać, nie dozwalało podobnéj zdrady... milczałem więc... Wreszcie stało się, ja i Mareschall postanowiliśmy umrzeć jak na mężów przystoi, a ciebie zabezpieczyć od smutnych następstw ztąd wypływających.

— Boże Przedwieczny, czyż nie ma żadnego ratunku? zawołała Izabela ręce załamując.

— Żadnego, moje dziecko, — odpowiedział Vere łagodnym tonem zupełnego pognębienia. — Jeden jest tylko, zdradzić swoich wspólników, a na to nie pozwala ani godność moja ani szlachetność twego serca moja droga Izabelo.

— O tak mój ojcze, byłaby to hańba, — odezwała się ze zgrozą Izabela. — Ale czyż nie ma żadnego innego środka?

— Byłoby to bezskuteczne upodlenie się. On z zupełną ufnością dąży do celu, a ja z tą samą odwagą wyglądam mego losu. Pod jednym tylko warunkiem chce odstąpić swego zamysłu, lecz ten warunek nigdy z moich ust nie wyjdzie.

— Powiedz mi go, zaklinam cię najdroższy ojcze, jakież może być jego żądanie, którego nie mielibyśmy spełnić, dla uchronienia się od ciosu jakim ci zagraża?

— O tém Izabelo, — rzekł Vere uroczystym tonem, — dopiero się dowiesz, kiedy głowa twego ojca spadnie z katowskiego rusztowania. Wtenczas to usłyszysz, że była ofiara któraby ojca ocalić zdołała.

— A dla czegoż mi teraz jéj nie odkryjesz? Czy myślisz że się będę wahała poświęcić swoje szczęście dla twego ocalenia? Alboż chcesz aby wieczna zgryzota sumienia dostała mi się po tobie w spadku żeś zginął, kiedy jeszcze był sposób zaradzenia nieszczęściu?

— Moje dziecię, — odpowiedział Vere, — jeżeli więc nalegasz abym ci powiedział to cobym tysiąc razy wolał pokryć wieczném milczeniem, muszę ci wyjawić, że o żadnym innym okupie wiedzieć nie chce jak o twojéj ręce, abyś ją jeszcze dziś przed północą mu oddała.

— Dziś wieczorem ojcze, takiemu człowiekowi, potworowi który grozi ojcu życiem aby pozyskać córkę! Niepodobna!

— Masz słuszność moje dziecię, niepodobna. Nie mam też prawa żądać takiéj ofiary. Wszak to koléj natury aby starzy umierali i szli w niepamięć. a młodzież żyła i była szczęśliwą.

— Ojciec mój umrzeć ma, a dziecię jego może go ocalić! — odezwała się Izabela jakby w obłąkaniu. — O! nie najdroższy ojcze! to niepodobna. Chcesz tylko mię zniewolić do ziszczenia twoich życzeń. Wierzę w to że pragniesz mojego szczęścia, ale ojcze przyznaj, że wszystko co mi tu powiedziałeś, było tylko wypływem twéj gorącéj chęci, aby mnie zniewolić do małżeństwa w którém upatrujesz wszystko, co tylko dobry ojciec dla ukochanéj przez siebie córki życzyć może.

— Moja Izabelo, — odezwał się Elisław tonem, w którym wrodzona powaga z ojcowską miłością walczyć się zdawała. — Czyż moje dziécię sądzi mnie zdolnym do wyzyskiwania jego szlachetnych uczuć? Mamże się zniżyć aż do usprawiedliwiania siebie z podobnie hańbiącego podejrzenia?

Izabela zasłoniła twarz i załkała serdecznym płaczem.

— Dobrze więc,—mówił daléj Elisław,—słuchaj moja córko ukochana, znasz niesplamione imię twego stryja Mareschalla, patrz co mu napiszę i sądź z jego odpowiedzi, jeżeli niebezpieczeństwo które nad nami wisi, nie jest rzeczywistém, i jeżeli każdegom niedoświadczył sposobu dla zapobieżenia mu.

Usiadł i napisał prędko kilka słów; dał je Izabeli, która z widoczném natężeniem czytając, siliła się wstrzymać łzy i zebrać swoje myśli.

„Kochany kuzynie! — opiewał list, — znajduję swoją córkę, jak się spodziewałem, w rozpaczy z niewczesnego i skwapliwego nalegania Sir Fryderyka Langlej. Nie umie ona pojąć w jakiém zostajemy niebezpieczeństwie, i o ile jesteśmy w jego mocy. Użyj proszę cię na Boga, twego wpływu aby wyrzekł się żądań, do których przyjęcia mojéj córki zmusić nie chcę, ani mogę, i które, jéj uczucia, delikatność i przyzwoitość obrażają. Jeżeli spełnisz to, zobowiążesz tem twego cię kochającego stryja." *R. V.*

Nie trzeba się dziwić że Izabela przejęta gwałtownem wzruszeniem, nie była zdolną właściwie zrozumieć osnowy listu, że w nim więcéj idzie o odwleczenie terminu ślubu jak o jéj nie zwalczoną niczem odrazę do natarczywego zalotnika.

Vere zadzwonił i dał pismo dla doręczenia go Mareschallowi. Potém w milczeniu targany miotającem go uczuciem przeszedł się po pokoju, a gdy odpis nadszedł, uściskał rękę córki i podał jéj papier do przeczytania.

— Weź Izabelo, — rzekł, — i sama przeczytaj żebyś przekonała się jak działam otwarcie w całéj téj sprawie.

Treść listu była następująca:

„Kochany Stryju! W wiadomem ci żądaniu starałem się Langleja przekonać, ale go znalazłem niezachwianym. Szczerze mi żal, że ładna moja kuzynka zmuszoną zostaje do spełnienia tego co odwlec jeszcze pragnęła, ale Fryderyk przyrzeka opuścić razem ze mną zamek zaraz po ślubie. Zbierzemy zatem naszych ludzi, ruszymy na zamierzoną wyprawę, i mam niepłonną nadzieję że narzeczony zginie nim się znów spotka ze swoją narzeczoną. Izabela przeto niech się nie waha zostać chwilowo panią Langlej, bo na grymasy panieńskie nie ma czasu, gdy miecz wisi nad naszemi głowami. Otóż wszystko co ci teraz donieść może twój kochający cię synowiec." *R. M.*

P. S. Powiedz jednak Izabeli, że jakkolwiek postanowi, to prędzéj postarałbym się poderżnąć gardło niefortunnemu zdobywcy jéj serca, niż dopuścić aby ją zmuszano do małżeństwa przeciw własnéj jéj woli.

Izabela przeczytawszy list, upuściła go na ziemię i gdyby ojciec jéj nie przytrzymał, byłaby spadła z krzesełka.

— Mój Boże! dziecię moje umiera, — zawołał z nieudanem przejęciem. — Otwórz oczy Izabelo, otwórz oczy moje dziecko, cokolwiek wypadnie, nie będziesz ofiarą, ja sam tylko zginę z pociechą w sercu żem się niczem nie przyczynił do zadania gwałtu twojemu sercu. Na grobie moim będziesz płakać, ale łzami miłości nie wyrzutu lub nagany. Poproście Rateliffa aby przyszedł do mnie jak najprędzéj.

Izabela blada jak trup, założyła ręce ściągnięte poruszeniem, zamknęła oczy i usta jakby gwałt zadawała we-

wnętrznemu uczuciu. Po chwili podniosła głowę, odetchnęła ciężko, i wyrzekła z mocą i silnem postanowieniem:

— Ojcze, zezwalam na to małżeństwo.

— Nie! moje dziecko,— zawołał Elisław z wybuchem obudzonéj nagle miłości dla dziecka. — Nie moja Izabelo, nie mogę od ciebie wymagać tak wielkiego poświęcenia, dla ratunku mnie z niebezpieczeństwa.

— Ojcze, — odezwała się Izabela, — powiedziałam ci że zezwalam....

— Nie! moje dziecko, przynajmniéj nie dziś jak tego żąda. Będę go prosić, błagać o zwłokę, a przez ten czas może pokonasz wstręt do niego niczem nieusprawiedliwiony. Rozważ tylko jak to jest dla ciebie związek korzystny pod każdym względem. Bogactwo, dostojeństwo, znaczenie...

— Ojcze przestań, zezwoliłam, przerwała Izabela z takim wysiłkiem, że zdało się iż po wyrzeczeniu słów tych straciła przytomność.

— Niech ci Bóg pobłogosławi moje dziecko,—odezwał się Elisław, — jak ci już błogosławi...

— Zostawcie mnie samą... odejdźcie, — wyjąkała niewyraźnie biedna dziewica. — Cały wieczór dzisiejszy pragnę zostać samotną.

— Jakto, nie chcesz nawet przyjąć odwiedzin Fryderyka?

Izabela potwierdziła skinieniem głowy i dodała z wielkim wysiłkiem:

— Miej ojcze litość na demną i ochraniaj.

— Niechaj i tak będzie moje serce. Bądź pewna że nie dopuszczę żadnego w niczem gwałtownego działania względem ciebie, a postępowanie Fryderyka jakkolwiek może ci się nie podobać, usprawiedliwij je nadmiarem jego miłości. Kochającym wiele się przebacza.

Izabela niecierpliwie skinęła ręką.

— Przebacz mi moje dziecko, odchodzę już, odchodzę. O jedenastéj powrócę do ciebie aby cię poprowadzić do... jeżeli jednak prędzéj chciałabyś ze mną zobaczyć się, to przyślij służącego a natychmiast przybędę.

Po odejściu ojca Izabela zalana łzami padła na kolana.

— Boże! — zawołała, — dodaj mi sił w dokonaniu postanowienia jakie zrobiłam. Ty Boże wspomóż mnie i ratuj. Potém zwiesiła głowę i cała zatopiła się w modlitwie. Po chwili powstając mówiła do siebie przyciszonym głosem jakby szeptem duszy upadającéj pod ciężarem boleści:

— Biedny Ernseliff, któż ci teraz przyniesie pociechę, z jakąż pogardą wspominać będziesz imię téj, która dziś jeszcze rano słuchając słów twoich z taką miłością do niéj wypowiedzianych, wieczorem zaprzysięgła wiarę małżeńską innemu. O lepiéj żebyś mną pogardził aniżeli dowiedział się powodów które mnie do tego zniewoliły. Tak, pogardź mną, serce twoje mniej cierpieć będzie a dla mnie stanie się pociechą, że tylko ja sama płakać będę przez całe życie na dolę moją nieszczęśliwą. Mówiąc to na nowo rzewnemi zalała się łzami, gdy drzwi jéj pokoju cicho się odemknęły, i pokazał się w nich Rateliff, którego kazawszy przywołać Elisław, zapomniał późniéj odwołać wydanych względem niego rozkazów.

ROZDZIAŁ XV.

Przysłałeś po mnie panie Vere, — odezwał się Rateliff ale nagle przerwał zobaczywszy że tylko Izabela znajduje się w pokoju.

— Mis Vere sama, — odezwał się po chwili, — do tego zalana łzami. Co to jest?

— Opuść mnie panie Rateliff, — wyjąkała nieszczęśliwa dziewica, proszę cię zostaw mnie samą, opuść mnie, opuść....

— Nie panno Vere, nie mogę cię opuścić, już dawno pragnąłem przed wyjazdem ztąd z tobą pomówić, ale zawsze starano się temu przeszkodzić. Będę więc korzystać z téj sposobności, zwłaszcza że obowiązek skłania mnie do tego.

— Nie mogę z tobą mówić panie Rateliff, przyjmij ode mnie najserdeczniejsze pożegnanie, ale na miłość Boską opuść mnie.

— Dobrze, nie będę długo mordować cię swojem natręctwem, ale powiedz mi tylko, czy to prawda, że ten nienawistny dla ciebie związek ma się odbyć dziś jeszcze przed północą? Słyszałem idąc po schodach rozmawiających o tém służących, i że rozkazano przygotować do obrzędu kaplicę.

— Na Boga panie Rateliff, przestań, widzisz jaką boleść sprawiają twoje słowa.

— A więc to prawda, masz więc dziś jeszcze być zaślubioną Sir Fryderykowi Langlej? Nie, to być nie może, to stać się niepowinno.

— Stanie się przecie, bo inaczéj mój ojciec zgubiony.

— Sama więc siebie dajesz na ofiarę dla ocalenia tego, który... ale szlachetność dziecka niech go rozgrzeszy z przewinień obciążających jego duszę. Cóż jednak począć gdy czas tak szybko ubiega? Gdybym miał całą dobę do rozporządzenia, znalazłbym sto środków do wydobycia cię z tego nieszczęścia, obecnie mogę ci jeden przedstawić. Słuchaj panno Vere, potrzeba abyś natychmiast wybłagała pomoc

u jednéj ludzkiéj istoty która może wybawić cię z nieszczęścia jakie ci zagraża.

— Cóż to za istota ludzka tak można i potężna?

— Nie zlęknij się tylko gdy ci jéj nazwisko wymienię, odpowiedział Rateliff bliżéj przystępując i przyciszywszy głos mówił daléj:

— Jest to ten, który pod imieniem Elzendera znany wszystkim zamieszkuje na kamiennéj puszczy.

— On? Ten Karzeł obrzydliwy? zapytała z największym podziwem Izabela. — Czyś stracił zmysły panie Rateliff, lub żartujesz z biednéj bolejącéj dziewczyny.

— Nie panno Vere, jestem jak ty Bogu dzięki przy zdrowych zmysłach, a do żartów nigdy nie jestem skłonny tymbardziéj w nieszczęściu jakie wisi nad tobą. Wierz więc co ci mówię, że tylko ten jedynie człowiek, który wcale nie jest tem czem się wydaje, ma sposoby w ręku dla uwolnienia cię od tego nienawistnego związku.

— I dla wydobycia ojca mego z niebezpieczeństwa w jakiem się znajduje?

— Tak jest, jeżeli go o to prosić będziesz.

— Ale jak się z nim zobaczyć?

— W tem właśnie największa trudność.

— Ach! przypominam sobie, zawołała Izabela, jego dar zrobiony mi z róży. Podając mi ją powiedział, że zanim zwiędnie potrzebować będę jego pomocy. Ale wówczas na to jego proroctwo mało zważałam poczytując je za wybryk szaleńca.

— Zbyt wcześnie go panno Vere osądziłaś, ale rozprawy te na późniéj zostawmy bo nie ma i chwili czasu do stracenia. Powiedz mi czy jesteś wolną i niestrzeżoną?

— Tak mi się zdaje, ale cóż mam zrobić?

— Natychmiast udać się do tego tajemniczego człowieka, który nieograniczony może wywrzeć wpływ na twój

los panno Vere, choć się z pozoru wydaje tak biedną i nic nieznaczącą istotą. Goście i słudzy zabawiają się w izbach, naczelnicy knują daléj swoje zbrodnicze spiski, konia mam już gotowego w stajni a drugiego przygotuję dla ciebie i przyprowadzę go do furtki ogrodowéj. Nie lękaj się pani niczego, zawierz mojéj dla cię życzliwéj przyjaźni i bądź przekonaną, że to jest jedyny środek który jeźli się powiedzie, uwolni cię stanowczo od zostania żoną Langleja.

— Wierzę ci panie Rateliff, — odrzekła Izabela, — bo cię zawsze ceniłam jako człowieka zacnego. Pójdę zatém za twą radą i będę czekać przy furcie ogrodowéj.

Jak tylko Rateliff ją opuścił, zasunęła drzwi, i zeszła tylnemi schodami stykającemi się z pobocznym pokojem prowadzącym do ogrodu. Tu zawahała się chwilkę: cała ta nocna wyprawa, zdawała się jéj być za śmiałą a nawet awanturniczą, i kiedy bijąc się z myślami nie wie co zrobić, czy pójść za radą przyjaciela, czy téż wrócić do opuszczonego pokoju, usłyszała rozmowę służących zajętych porządkowaniem kaplicy.

— Zostać żoną, — mówił jeden z nich, — człowieka tak złego i niegodziwego, to lepsza śmierć jak takie za mąż pójście. Boże odwróć każdego od podobnego nieszczęścia.

— O! tak, — pomyślała Izabela, — lepsza śmierć jak taki związek.

Przeszła zatém szybko przez pokój i wbiegła do ogrodu. Rateliff czekał już z końmi na umówionem miejscu. Ruszyli szybko i w kilka minut dojechali w milczeniu do drogi prowadzącéj do chaty pustelnika. Izabelę nową ogarnęła obawa:

— Panie Rateliff, — rzekła wstrzymując konia, — nie jedźmy daléj. Na wyprawę tak dziwną nigdybym się była

nie odważyła, gdyby nie gwałtowne wzruszenie które mną całą zawładnęło. Wiem dobrze, że człowiek ten pomiędzy pospólstwem uchodzi za istotę która nadzwyczajną posiada władzę i przestawa z mieszkańcami innego świata. Wprawdzie do gawęd tych żadnéj nie przywiązuję wiary, ale gdybym nawet im wierzyła, to zapewnić cię mogę panie Rateliff, że i w takim razie pomocy nie żądałabym od istoty, mającéj stosunki potępione przez kościół.

— Mam nadzieję, że mnie znasz tyle panno Vere, iż nie posądzisz o wiarę w podobne baśnie.

— Jakimże więc sposobem osoba tak dziwaczna i tajemnicza, może posiadać władzę udzielenia mi pomocy?

— Mis Vere, — odezwał się Rateliff po chwilowym namyśle. — Uroczysta przysięga skłania mnie do zachowania tajemnicy. Bez szczegółowego zatém objaśnienia, powinnaś mi zaufać i wierzyć jako niezdolnemu do lekkomyślnéj jakiéj bądź czynności, że ów tak niepozorny człowiek, rzeczywiście posiada możność odwrócenia wiszącego nad tobą nieszczęścia, jeżeli prośbą o czém nie wątpię, zdołasz poruszyć jego twarde serce.

— Wszystko to dobrze, ale panie Rateliff możesz sam mylić się, chociaż wymagasz nieograniczonéj z méj strony ufności.

— Nie panno Vere, nie mylę się, wreszcie przypomnij sobie zdarzenie z biednym wieśniakiem Haswelsem gdy mnie prosiłaś, abym wymógł na ojcu twoim przebaczenie dla biedaka za obrazę jakiéj od niego doznał. Zrobiłem to chociaż wątpiłaś w pomyślny skutek mego wstawienia się.

— Tak, rzeczywiście, i nie mogłam się wydziwić żeś zdołał to uskutecznić.

— Przypomnij sobie jednak, że wówczas już żądałem

od ciebie panno Vere, abyś nie starała się dociec źródła mego na ojca wpływu.

— Prawda panie Rateliff.

— Jeżeli zatém i wówczas nie zawiodłem twoich nadziei, to i teraz zaufaj mi a zaręczam, że tego nie pożałujesz.

— Niechże i tak będzie panie Rateliff, zawsze jednak sposób życia tego człowieka, jego niepohamowana niczem nienawiść ludzi, sama wreszcie potworna postać, muszą przeciw niemu niekorzystnie uprzedzać, chociażby nawet posiadał władzę jaką mu przyznajesz.

— Zapewne, ale rozważ panno Vere, że człowiek ten był wychowany w zasadach wiary katolickiéj, a wiadomo ci że między katolikami znajdują się tysiące, którzy zrzekłszy się znaczenia i wpływu, obrali ustronne zacisza często jeszcze bardziéj puste i samotne, niż miejsce przez naszego pustelnika obrane.

— Ale u niego to odsunięcie się zupełne od ludzi nie wynikło podobno z religijnego powodu.

— Tak jest panno Vere, wstręt jedynie do świata i ludzi był głównym tego powodem. Powiem ci nadto, co mi mówić wolno, że był dziedzicem wielkiego majątku jaki rodzice powiększyć jeszcze zamierzyli przez ożenienie go z bliską krewną, którą w tym celu umyślnie w domu swoim wychowywali. Znając jego postać, możesz łatwo domyślić się, jak ta panienka zamierzony z sobą związek uważała. Do widoku jednak jego przyzwyczajona nie okazywała odrazy, a rodzice i przyjaciele sądzili, że szczere i pełne poświęcenia przywiązanie jakiem ją darzył, jego rozum, nauka i niepospolite przymioty duszy, przemogły nad wstrętem który we wszystkich obudzał, a więc nie obcy i dla jego ukochanéj.

— Czyż więc nie mylili się w swoich przypuszczeniach?

— Co do niéj, nie wiem, ale on znał całą szpetność swojéj postaci, i ta świadomość dręczyła go jak zmora. Jestem, mawiał mi często... to jest, do człowieka który posiadał jego nieograniczone zaufanie, otóż mawiał często do niego: jestem pomimo wszystkich twoich dowodzeń, biedną, nędzną poczwarą, którą raczéj należało udusić w kolebce, aniżeli skazywać na czołganie po ziemi i straszenie ludzi i świata całego. Człowiek do którego to mówił, daremnie starał się wyrobić w nim inne przekonanie, dowodząc bardzo wymownie, iż zalety duszy jakie posiada, umysł wszechstronnie wykształcony mają bez porównania większą przewagę niż znikome wdzięki ciała, ale biedak zwykle w takich razach odpowiadał: rozumiem to wszystko, ale mówisz jak zimny stoik a przynajmniej jak stronny przyjaciel. Można to znaleść w każdéj książce poważniejszéj, w każdéj filozofji tylko nie oderwane kwestye traktującéj, która żadnego oddźwięku w naszém sercu znaleść nie może. Wreszcie, mówił daléj zapalając się coraz więcéj, czyż zwykle wyobrażając sobie przyjaciela a tym bardziéj ukochanéj, nie przedstawiamy sobie postaci ich jeżeli nie w najpowabniejszych rysach, to przynajmniéj w takich, co nie obudzają ani wstrętu ani obrzydzenia? Nie jestże więc taka jak ja poczwara, niejako z natury wyłączona od wszystkich rozkoszy, jakiemi zwykle darzy przyjaźń i miłość swoich wybrańców? Tak, tak, jestem najstraszliwszym na świecie nędzarzem i samo tylko bogactwo moje powstrzymuje wszystkich, może nawet Letycyę i ciebie, od unikania mnie jako istoty obcéj wam a tem nienawistniejszéj, że ma oszpecone do człowieka podobieństwo, jakie znajdujemy w pewnéj rassie zwierząt człowiekowi tak obrzydliwéj dla tego, że zdaje się być jego karykaturą.

— Ależ to są myśli panie Rateliff, człowieka mającego pomieszanie zmysłów.

— Ma jednak je zdrowe zupełnie panie Vere, chociaż zbyteczne przecenianie wartości powierzchownéj, daje pozór pewnych zboczeń umysłowych. Pominąwszy to, starał się przez nadzwyczajne i nie zawsze dobrze zrozumiane dowody szczodrości, nawet do marnotrawstwa posunięte, połączyć się niejako z ludźmi, od których uważał się być odosobnionym. Dobroć z takiego wypływająca źródła, spotęgowana jego wyjątkowém położeniem, przyznać muszę z boleścią, że często była nadużywaną, a zaufanie zdradzone, ale gdy inni w podobnych razach tłomaczą to wrodzoném ludziom samolubstwem, on w rozdrażnionéj swéj wyobraźni przypisywał to nienawiści i pogardzie, jakie jego potworna postać obudzały. Ale może cię nudzę panno Vere?

— Przeciwnie, opowiadanie pańskie bardzo mnie zajmuje, proszę mówić daléj, bardzo proszę.

— Wyrobiwszy w sobie takie przekonanie, wyszydzany, wytykany palcami przez chłopców wiejskich, wyśmiewany przez dziewczęta, do których się zbliżył, uznał się wreszcie za istotę niezdatną do towarzyskiego pożycia i usunął się zupełnie od świata, poddając się najwymyślniejszym katuszom, o jakich tylko słyszałem. Dwie tylko były istoty, o których życzliwości nigdy nie zdawał się powątpiewać. Jedną z nich była narzeczona, drugą przyjaciel sowicie obdarzony wszelkiemi przymiotami, który zdawał się przynajmniéj wówczas bardzo być do niego przywiązanym. A był do tego zobowiązany dobrodziejstwami, jakiemi go obsypał człowiek, do którego obecnie jedziemy. Ponieważ panna małżeństwu się nie sprzeciwiała, wyznaczono więc za jéj zgodą dzień ślubu, i kiedy terminu tego wyglądano z niecierpliwością, po krótkiéj chorobie rodzice naszego biedaka umarli, i tym sposobem zawarcie małżeństwa wstrzymaném zostało. Narzeczona nie zdawała się

bardzo ubolewać nad tą zwłoką, czego mówiąc prawdę, nie spodziewano się: mimo tego nowy termin ślubu za zgodą zobopólną wyznaczony został. Przyjaciel o którym mówiłem, mieszkał zawsze w zamku, raz razem z naszym biedakiem, udali się obadwa do towarzystwa dość licznego, w którém znajdowali się ludzie rozmaitych przekonań politycznych. Przy trunku przyszło do sprzeczki, od słów do bitwy, przyjaciel dobył broni, drudzy to samo zrobili, przyjaciel od silniejszego przeciwnika został powalony na ziemię, i pasując się przypełzali aż do nóg pustelnika, który jakkolwiek małéj postaci, posiada ogromną siłę, szczególniéj gdy nim poruszą gwałtowne namiętności, jakim łatwo niezmiernie ulega. Ujrzawszy przyjaciela swego w tak niebezpieczném położeniu, porwał za miecz i przebił nim jego przeciwnika. Schwytany oddany został pod sąd, i zaledwie uwolniony od kary śmierci, skazany został na całoroczne więzienie. Wypadek ten bardzo silnie go dotknął, zwłaszcza że zabity był człowiekiem powszechnie szanowanym, zacnym, uczciwym i zmuszony był do użycia broni we własnéj obronie, znosząc przedtém cierpliwie najdotkliwsze szyderstwa. Od téj chwili drażliwość jego jeszcze bardziéj się wzmogła, podsycana ciągle zgryzotą sumienia słusznie go trapiącego, tak dalece, że czasami zmieniała się w napady bardzo wszystkich niepokojące. Narzeczona znała je dobrze, ale i on miał o nich dokładną świadomość, pocieszając się tém jedynie, że po odbytéj karze więzienia ożeniwszy się, żyć będzie tylko w towarzystwie swéj małżonki i przyjaciela i że się wyrzeknie wszelkiego pożycia z ludźmi. Myśl ta jedynie uspakajała wewnętrzne jego katusze i przywiązywała do życia, na które zwykle tak sarkał i narzekał.

Ale i to go zawiodło; przed opuszczeniem bowiem więzienia, przyjaciel ów i narzeczona, połączyli się z sobą

związkiem małżeńskim. Skutki tak okropnego ciosu na tak żywe serce, na umysł wyrzutami sumienia stargany, były okropne, jak gdyby okręt pozbawiony ostatniéj liny w przystani go utrzymującéj, rzucony nagle został na środek morza ryczącego burzą szalejącą nad jego otchłanią. Oddano go więc pod dozór, do pewnego czasu bardzo usprawiedliwiony, ale ów przyjaciel, który stał się przez ożenienie najbliższym powinowatym nieszczęśliwego, rozmyślnie przedłużał jego uwięzienie, aby dłużéj zatrzymać w swém ręku zarząd ogromnego majątku. Lecz był ktoś co wszystko winien był cierpiącemu, skromny przyjaciel, ale wdzięczny i wierny. Jego to gorliwemu staraniu udało się, że dla dobroczyńcy swego uzyskał wolność i przywrócenie prawa zarządu posiadanego przez siebie majątku. Wkrótce potém dostał mu się w spadku majątek jego byłéj narzeczonéj, bo umarła bez męzkich potomków, a on był najbliższym prawnym sukcesorem pozostałych dóbr po niéj. Mimo jednak odzyskanéj swobody działania, posiadane bogactwa niepotrafiły przywrócić spokoju w jego umyśle. Wolność zyskana była dla niego niczém, a bogactwo o tyle tylko cenił, o ile to posługiwało do zadawalniania jego najdzikszych fantazyj. Odtąd umysł jego popadł w zupełne zniechęcenie i mizantropiją, i wiodąc życie pustelnicze, znienawidziwszy do reszty ludzi, gardząc wszelkiemi wygodami, ograniczał się na najskromniejszém zaspakajaniu własnych potrzeb, jakby zapragnął zapoznać się z nędzą ciała, tak harmonizującą z jego upadkiem moralnym. Pomimo jednak tych wszystkich okoliczności, nigdy między czynami i słowami człowieka nie zachodziła taka sprzeczność, jaka u niego miała miejsce. Nigdy największy obłudnik, nie wysilał się jeszcze tak starannie na pokrycie szkarady swych niecnych czynów, jak on starał się nie wydawać z popędów wrodzonéj mu szlachetności i przedstawiać zawsze jako niepokonany niczém nieprzyjaciel rodu ludzkiego, pragnący jego zagłady i zniszczenia.

— I to panie Rateliff, nowym jest dowodem pomieszania zmysłów.

— Nie panno Vere. Że wyobraźnia tego biedaka jest chorobliwą, nie przeczę, bo nawet jak powiedziałem, czasami ogarniają go takie rozdraźnienia, jak u człowieka zmysłów pozbawionego: ale to są wypadki nadzwyczajne, rzadko trafiające się, a ja tu mówię o jego zwyczajném umysłowém usposobieniu. Ten rzeczywiście jest stargany ale nie zniszczony. Przejścia między temi stanami umysłowemi są jak mrok między dniem i nocą. Dworak, który marnotrawi majątek, dla dostąpienia godności, która mu się na nic nie zda, lub dla zjednania wpływu, którego przyzwoicie użyć nie umié; sknera, który skarby nagromadza, i marnotrawca, który je traci, wszyscy mają stopień szaleństwa. Toż samo stosuje się do złoczyńców, którzy się dopuszczają okropnych zbrodni, kiedy tymczasem nad pokusą do nich w umiarkowańszym umyśle, zgroza doznana przed wykonaniem, lub obawa zostania odkrytym i ukaranym, zwycięztwo odnoszą. Wszystkie gwałtowne namiętności, mogą się zwać krótkiém pomieszaniem zmysłów.

— Tego wszystkiego uczy może filozofia panie Rateliffie, ale nie miéj za złe, że nie dodajesz mi odwagi szukać o téj późnéj godzinie człowieka, którego zdziczały umysł ty sam umiesz tylko w złagodzoném przedstawić świetle.

— Przyjm więc, — odpowiedział Rateliff, — uroczyste moje słowo, że na najmniejsze nie narażasz się niebezpieczeństwo, lecz czegom się dotąd wahał ci powiedzieć, przez obawę nabawienia cię niespokojności, nie mogę

dłużéj taić, będąc blisko pustelni. Oto panno Vere, nie mogę ci towarzyszyć, i sama musisz udać się do niego.

— Sama?... niepodobna!

— Musisz, — odpowiedział Rateliff, — zatrzymam się tu i zaczekam na ciebie.

— Czy nie odjedziesz ztąd? — zapytała Izabela, — lecz odległość tak jest wielka, że niedosłyszysz mnie, gdybym nawet wołała na ratunek.

— Nie obawiaj się! Staraj się z największą ile możesz przezornością, przytłumić najmniejszy znak bojaźni. Pomyśl, że najsroższa i ustawna jego męczarnia pochodzi z przekonania o szpetności swojéj postaci. Puść się daléj tą ścieżką mimo nawpół zwalonéj wierzby, zawsze po lewéj, bo po prawéj jest grunt bagnisty. Żegnam cię na krótki czas! pomnij, jakie nieszczęście cię czeka, a niechaj ta myśl wszelką obawę w tobie pokona.

— Panie Rateliff, — odrzekła Izabela, — żegnam cię! Jeśliś zawiódł nieszczęśliwą, straciłeś nazawsze wiarę moją w twoją szlachetność i uczciwość, sławę rzetelności i honoru, któremu zawierzyłam.

— Na mój honor, na moją duszę! — zawołał Rateliff donośnym głosem, gdy przestrzeń między niemi coraz się powiększała: zaręczam cię, że jesteś bezpieczną, zupełnie bezpieczną.

ROZDZIAŁ XVI.

Pośmielona zapewnieniem swego towarzysza, Izabela posuwała się samotna wśród ciemności nocnéj; w miarę jednak oddalania się od niego, odwaga ją opuszczała. Krzepiąc się przecie o ile mogła, stanęła wreszcie przed

chatą pustelnika; dwa razy wyciągnęła rękę, aby zastukaniem dać znać o swéj obecności i dwa razy ją cofnęła, wreszcie zrobiwszy ostateczne wysilenie, uderzyła w drzwi ale tak słabo, że bicie jéj serca daleko było głośniejszém. Zapukała więc mocniéj, po raz drugi i trzeci, gdyż obawa nie uzyskania opieki, w któréj Rateliff tak wielką pokładał nadzieję, zniszczyła w części przestrach jakim była przejęta w bliskości człowieka, który miał się stać jéj obrońcą i wybawicielem. Nie otrzymawszy na to żadnéj odpowiedzi, wymieniła Karła po jego przybranem nazwisku, prosząc aby jéj otworzył drzwi do pomieszkania.

— Jakaż to istota jest tak nędzną, — ozwał się przerażający głos pustelnika, — że musi szukać u mnie schronienia? Idź ztąd! przepiórka szukająca ratunku nie przychodzi do gniazda kruka.

— Przychodzę do ciebie ojcze, — odrzekła Izabela, w chwili méj niedoli, jakeś mi sam kazał gdyś przyrzekł, że serce twoje i drzwi zawsze będą otwarte dla mnie, gdy zażądam od ciebie pomocy w nieszczęściu. Ale lękam się...

— Ha! to ty Izabelo Vere, daj mi znak, po którym mógłbym cię poznać.

— Przynoszę z sobą różę, którą mi sam ofiarowałeś. Jeszcze nie zwiędła, a srogi los który mi przepowiedziałeś, już mnie dotknął.

— Jeżeli zachowałaś ten dowód mego przyrzeczenia, spełnię go jak przyrzekłem. Serce i drzwi zamknięte dla wszystkich, dla ciebie otworzą się i dla twojéj bolejącéj duszy.

Po wypowiedzeniu tych słów, Izabela usłyszała jak wewnątrz chaty Karzeł poruszał się i starał się ogień rozniecić. — Przy odsuwaniu potém rygli, serce jéj ude-

rzyło silnie, a gdy drzwi się otworzyły, ujrzała Karła z kagankiem w ręku, od którego światło oblewało całą jego potworną postać.

— Wstąp córko nieszczęścia, — zawołał przejmującym głosem, — wstąp w siedlisko nędzy.

Gdy weszła do środka z obawą i drżeniem, Karzeł postawiwszy kaganek na stole, przystąpił najsamprzód do zasunienia licznych zapór, które zabezpieczały drzwi pustelnicze. Dreszcz ją ogarnął na łoskot, jaki te straszliwe przygotowania zrządziły, lecz pomna na przestrogi Rateliffa, siliła się przytłumić wszelki znak bojaźni. Kaganek rozrzucał dokoła mgłę, lśniące światło, lecz pustelnik który wskazał Izabeli szczupłe siedzenie przy ognisku, mało się zdał na nią zważać, rozniecił spiesznie ogień z suchego cierniska, który w mgnieniu oka jasno rozświetlił chatę. Drewniane gzymsy, kilka książek, na nich kilka małych wiązek suszonych ziół, nieco misek i filiżanek, znajdowały się przy jednéj stronie ogniska. Przy drugiéj leżały zwyczajne sprzęty rolnicze i nieco ręcznych narzędzi. Zamiast łóżka stał drewniany tapczan, usłany zwiędłym mchem i sitowiem, jak łożysko pokutnika. Cała wewnętrzna przestrzeń chaty, ledwo miała dziesięć stóp wzdłuż i sześć stóp w szerz, i oprócz opisanych sprzętów i narzędzi, nie widać było nic, jak tylko jeszcze jeden stół i dwa stołki zbite z prostych desek.

W tém ciasném miejscu widziała się Izabela zamkniętą z człowiekiem, którego historya bynajmniéj nie była tego rodzaju, aby ją uspokoić, i którego obrzydła postać i obmierzłe rysy ledwo niezabobonną obudzały trwogę. Usiadł na stołku naprzeciwko niéj, wlepił w nią swoje czarne przenikające oczy, nad któremi sterczały jeżące się brwi i milczący patrzył, jakby miotany walczącemi nim uczuciami. Na przeciwnéj stronie siedziała Izabela blada jak

trup, długie włosy stargane w podróży, spadały na barki i piersi, jak mokre żagle wiszące naokoło masztu, kiedy burza już ustała i rozbity okręt leży na brzegu.

Karzeł przerwał pierwszy milczenie raptownem zapytaniem:

— Niewiasto! jakaż niedola sprowadziła cię tutaj?

— Niebezpieczeństwo mego ojca, i twój własny rozkaz, — odpowiedziała cicho ale wyraźnie.

— I ode mnie spodziewasz się pomocy?

— Tak jest, jeżeli mi ją zechcesz udzielić.

— A zkądże mogę do tego środki posiadać? — zapytał Karzeł z szyderstwem. — Alboż ja podobny jestem do tego, co za krzywdę mścić się potrafi? Alboż ta dziura moja jest pałacem, w którym możny przemieszkuje, mogący błagającéj piękności pomoc udzielić? Moja panno żartowałem tylko z ciebie, gdym cię zapewniał o pomocy swéj w razie gdybyś o nią prosiła.

— W takim razie, nic mi nie pozostaje, tylko oddalić się ztąd i poddać się nieszczęściu, jakie los dla mnie przygotował.

— Nie! — odezwał się Karzeł zastępując jéj drogę do wyjścia, tak mnie nie opuścisz, musimy się z tobą lepiéj porozumieć. — Dla czego istota żyjąca ma szukać pomocy u drugiéj podobnéj, dla czego nie ma polegać jedynie na saméj sobie? — Przyjrzyj mi się i wiedz, że ja pogardzone przez wszystkich i najułomniejsze stworzenie na tym padole nędzy, nie żądałem nigdy od nikogo żadnego ratunku. Te mury sam wystawiłem, te sprzęty sam wyrobiłem własnemi rękami, a tém, — i przy tych słowach wydobywszy długi sztylet, który zawsze przy sobie nosił, mówił daléj z wzrastającą coraz bardziéj dzikością: a tém ostrzem, mogę w razie potrzeby iskrę życia mieszkającą

w tym nędznym kadłubie, bronić przeciw najpotężniejszym, coby jéj chcieli jaką krzywdę wyrządzić.

Izabela patrząc na tę potworną postać z tak dzikim mówiącą zapałem, o mało nie krzyknęła z przestrachu.

— Otóż widzisz, żem choć samotny, sam sobie wystarczam i nigdy do nikogo ręki nie wyciągam o pomoc. Wilk u wilka nie szuka ratunku, gdy kopie norę dla swego potomstwa; sęp nie sprowadza sępa, aby mu pomógł w nagłym napadzie na zdobycz, którą upatrzył.

— Tak, to prawda, — odpowiedziała Izabela, ale cóż mają zrobić, gdy im własne siły do ratunku nie wystarczają? Jakiż ich los czeka?

— Niech giną i idą w niepamięć! — zawołał Karzeł, jest to los, który się im słusznie należy.

— To los dzikich dzieci natury, — odezwała się Izabela, za łupem jedynie uganiających się, a więc niechętnych wszelkiéj pomocy, jako w widokach własnéj tylko korzyści udzielonéj. — Ludzie innemi rządzą się zasadami, i prawo wzajemnéj opieki jest tak w przyrodzie upowszechnione, że nawet najlichsze stworzenia łączą się w towarzystwo dla wspólnéj pomocy. Gdyby inaczéj było, gdyby pomoc ta ustała, społeczeństwo zginęłoby bez ratunku i powstania. Od pierwszéj chwili, gdy matka przyciska do piersi nowo narodzone dziecię, aż do ostatniéj sekundy życia ludzkiego, byt nasz bez wzajemnéj pomocy jest niepodobnym: wszyscy zatém co jéj potrzebują, mają prawo domagać się wsparcia, jak swojéj własności, a kto może ją udzielić, nie może się od tego bezkarnie wymawiać.

— Więc w téj jedynie zwodnéj nadziei, — odezwał się pustelnik, — przyszłaś biedna dziewczyno do chaty człowieka, którego najszczerszém jest życzeniem, aby to przymierze wzajemnéj pomocy stargało się i jakby płomieniem zniszczone zostało? Nie miałaśże obawy zbliżając się tutaj?

— Nieszczęście, — odrzekła Izabela, — zwycięża bojaźń choćby najstraszniejszą, bo od niéj przeważniéj duszę wstrząsa.

— Nie słyszałażeś w twoim człowieczym świecie, że zostaję w związku z nieczystemi siłami tak przestraszającemi wszystkich i tak nienawidzącemi całego plemienia ludzkiego? — I ty wiedząc o tém, nie lękałaś się przybyć do mnie wśród ciemnicy nocnéj?

— Istność najwyższa, którą czczę całą głębią mojéj duszy, zasłoniła mnie od tak zdrożnego przestrachu, — odrzekła Izabela z przejęciem, chociaż gwałtowne bicie jéj serca przeczyło słowom, które wymówiła.

— Ha! — zawołał Karzeł gwałtownie, udajesz mądrą filozofkę, ale czyś nie myślała o inném niebezpieczeństwie? Młoda i tak urodna, oddając się w moc człowieka, czyś zapomniała, że on tak dalece na całe plemię ludzkie rozjątrzony, że największą dla niego rozkoszą jest niszczyć najpiękniejsze dzieła natury?

— Jakich bądź, — odrzekła Izabela siląc się na odwagę, mogłeś doznać krzywd od świata ludzi, przez chwilę jednak nigdy nie przypuszczałam, abyś mógł mścić się na tak słabém jak ja stworzeniu, które ci najmniejszéj przykrości nie wyrządziło, i rozmyślnie nikogo nawet nie obraziło.

— To wszystko prawda, — odezwał się Karzeł i z jego ciemnych oczu błysnęła zajadła wściekłość; ale dziewczyno, zemsta jest to zgłodniały wilk, który tylko pragnie szarpać i niweczyć. — Czyż sądzisz, że słuchać będę jagnięcia broniącego swéj niewinności?

— Mężu! — odrzekła na to Izabela powstając, głosem najszlachetniejszéj powagi. — Jakkolwiek pragniesz

przejąć mnie trwogą, jednak patrz, nie drżę i nie lękam się i wszelką bojaźń odrzucam od siebie z pogardą. Czyś człowiekiem jak inni, czy piekielnym duchem, jestem najpewniejsza, że nie zechcesz skrzywdzić téj, która w najdolegliwszéj swéj boleści przyszła do ciebie o pomoc i ratunek. Byłoby to niegodném każdego, tymbardziéj człowieka co godność swą czuje i właściwie ją ocenia.

— Prawdę rzekłaś dziewczyno, — odpowiedział Karzeł, — byłoby to niegodném, wróć więc do domu i nie lękaj się tego czém ci grożą. Wezwałaś méj pomocy, dam ci ją i to jak najskuteczniejszą.

— Ale ojcze! może nie wiesz, — zawołała Izabela, że dla ocalenia ojca przyrzekłam téj jeszcze nocy oddanie ręki méj człowiekowi, którym się brzydzę.

— Téj jeszcze nocy, a o któréj godzinie?

— Przed samą północą.

— To już niedługo, — odrzekł Karzeł cokolwiek zakłopotany, — ale nie lękaj się, jeszcze i tak znajdę czas do ocalenia cię.

— O! mój ojcze, nie opuszczaj mnie! — odezwała się Izabela błagającym tonem.

— Ojciec twój, — rzekł Karzeł, — był i jeszcze jest najzajadliwszym moim nieprzyjacielem. Bądź jednak spokojną, ocali go twoja szlachetna dusza. A teraz wracaj do domu, gdybyś się tu dłużéj zatrzymała, mógłbym znów wpaść w niedorzeczne marzenia, z których się zaledwie ocknąłem. Ufaj mi i bądź przekonaną, że nawet u stóp ołtarza wybawić cię mogę od nienawistnego ci małżeństwa. Bądź zdrowa, wracaj bo czas nagli, a mnie działać potrzeba.

Poprowadziwszy ją potém do drzwi chaty, odsunął rygle, a Izabela szybko pobiegła do miejsca, w którém Rateliff na nią oczekiwał.

— Cóż, jakże rozmowa wasza skończyła się? — zapytał z niespokojnością.

— Przyrzekł wszelką pomoc, — odrzekła Izabela, ale jakże ją spełnić potrafi?

— Bądź spokojną panno Vere, kiedy przyrzekł nie wątp i bądź najzupełniéj przekonaną, że spełni obietnicę. W téj chwili od strony chaty pustelnika dało się słyszéć silne gwizdanie.

— To on mnie wzywa panno Vere, — odezwał się Rateliff, — muszę więc koniecznie udać się do niego. Wracaj zatém sama do domu i zostaw tylne drzwi do ogrodu otwarte.

Powtórne gwizdanie tylko głośniejsze i dłuższe dało się znowu słyszéć.

— Idę, idę, — zawołał Rateliff, i wspiąwszy konia ostrogą, pośpieszył przez puszczę ku chacie pustelnika.

Izabela miotana wrażeniem z odbytéj z Karłem rozmowy, spiesznie powróciła do zamku, zostawiła drzwi w ogrodzie nie zamknięte, jak to jéj Rateliff zalecił, i gdy weszła do przedsionka pałacu, spotkała ojca wychodzącego na jéj spotkanie.

— Byłem dwa razy u ciebie, — rzekł z pewnym rodzajem wymówki, pukałem, dobijałem się nawet, a nie wiedząc żeś wyszła do ogrodu, sądziłem że rozmyślnie tak uporczywe zachowujesz milczenie.

— Tak, rzeczywiście używałam przechadzki mój ojcze, ale przypomnij sobie, że chwile te ostatnie mojéj swobody, miałam przepędzić samotnie.

— Nie zapomniałem twéj prośby moje dziecko, i chciałem tylko przypomnić, że czas się zbliża, że należałoby pomyślić o stosownym przystroju, a jak widzę ubiór twój żadnéj nie uległ zmianie i włosy masz roztargane. Jak jeszcze raz przyjdę, niechże cię znajdę zupełnie gotową,

jak sama przyzwoitość nakazuje, bo jeżeli ofiara ma skutek swój otrzymać, powinna być dobrowolną...

— Czy i strojną? — domówiła Izabela. — Nie troszcz się mój ojcze, wszystko się stanie jak pragniesz.

ROZDZIAŁ XVII.

Kaplica zamku Elisława, w któréj nieszczęsny związek się miał odbyć, starszą jeszcze była budowlą od samego zamku, chociaż i ten już kilka liczył wieków. W czasie, w którym wojny między Anglią i Szkocyą były tak częstemi i ciągłemi, budowle na obudwu linijach granicznych jedynie wojennemu celowi były poświęcone i kilku tylko mnichów zamieszkało Elisław, który wówczas, jeżeli kronikarze prawdę głoszą, należał do bogatego opactwa Ildburg. Ale to opactwo dawno postradało swoje posiadłości przez wojnę i rabunki. Rycerski gród wzniósł się ze szczątków jego cel, i kaplica opasana została murami zamkowemi. Gmach z okrągłemi arkadami i ogromnemi kolumnami, którego prosta wielkość była zabytkiem budownictwa anglo-saskiego, przedstawiał we wszystkich czasach ponury i smutny widok, i równie domowi baronów jak i braciom klasztornym służył za cmętarz. Dziś wydał się posępniejszym niż kiedyś przy świetle gorejących pochodni, któremi go jako w tak wielką uroczystość oświetlić chciano. Pochodnie rozrzucały jasno-żółty blask, w około którego tworzyły się promieniste koła, okrążone grubą ciemnością, która się rozprzestrzeniała na obszerność całego kościoła. Niektóre niewłaściwe ozdoby, jakiemi w pośpiechu na cześć uroczystości kaplicę zaopatrzono, podwyższyły jéj smętność. Stare obicia zdarto ze ścian innych pokojów i spiesznie zakryto niemi tu i owdzie mury kaplicy tak, że teraz przebijały z pomiędzy herbów i nagrobków tych, co niegdyś niemi własne swoje pokoje zdobili. Po obu stronach kamiennego ołtarza wzniosły się pomniki, które uderzającą formowały sprzeczność. Na jednym była z kamienia rzezana postać pobożnego pustelnika, który na nabożeństwie życie zakończył. W spokojnéj postawie w habicie i w szkaplerzu, oczy miał wlepione w niebo, a ze złożonych rąk różaniec spuszczony; z drugiéj strony stał nagrobek z najpiękniejszego marmuru w guście włoskim, arcydzieło owoczesnéj sztuki; ten był poświęcony pamiątce matki Izabeli, zmarłéj żony Verego Elisław, wystawiony w położeniu konającéj, kiedy płaczący cherub z odwróconym wzrokiem gasi pochodnię, jako symbol jéj śmierci. Było to wprawdzie dziełem znamienitém sztuki, ale nie na swojém miejscu w tém smutném sklepieniu. Wielu się dziwiło, albo nawet martwiło, że Elisław, który za życia żony wcale nie słynął ze swéj uprzejmości ku niéj, wystawił po śmierci w udanym smutku tak kosztowny pomnik; inni zaś oczyszczali go z podejrzenia i obłudy, zaręczając, że pomnik ten postawiony był kosztem i z rozkazu Rateliffa.

W obec tych pomników zgromadzili się goście weselni. Było ich mało, bo wielu już opuściło zamek w celu przygotowania się na wkrótce nastąpić mające wybuchnięcie spisku. Elisław przy obecnym składzie okoliczności, nie był skłonnym nikogo zapraszać oprócz najbliższych krewnych, których obecności zwyczaj krajowy nieodbicie wymagał.

Obok ołtarza stał sir Fryderyk Langlej posępniejszy, ponurłszy i bardziéj zamyślony niż zwykle, a obok niego Mareschall mający być tak zwanym drużbą. Swawolna

płochość młodzieńca, któréj nigdy nie zwykł był powściągnąć, zaciemniała bardziéj jeszcze chmurę na czole oblubieńca.

— Oblubienica nie wychodzi jeszcze z pokoju, — szepnął sir Fryderykowi; spodziewam się że nie potrzeba nam będzie przystąpić do gwałtownych środków Rzymian, o których w szkołach słyszałem. Przykroby bowiem było mojéj pięknéj kuzynce, dwa razy w dwóch dniach być porwaną, lubo żadnéj nie znam, któraby godniejszą była tak gwałtownego hołdu.

Sir Fryderyk udał, że nie słyszy mówiącego, nucąc pod nosem piosneczkę i patrząc w inną stronę; lecz Mareschall daléj z tą samą swawolą mówił:

— Zwłoka szczególniéj przykra doktorowi Holber; przeszkodzono bowiem temu biedakowi właśnie w chwili, gdy chciał wyciągnąć korek z trzeciéj butelki, prośbą przygotowania się z ceremoniją kościelną. Ale patrz oto idzie Elisław i ładna Bella piękniejsza niż kiedyś, gdyby nie tak słaba i wybladła. Słuchaj panie rycerzu, jeżeli nie zupełnie dobrowolnie zezwoli, to nie będzie wesela, jakkolwiek wszystko już w pogotowiu.

— Nie będzie wesela? — odpowiedział sir Fryderyk pocichu, ale tonem dającym wyraźnie do zrozumienia, że tylko z pracą gniew powściąga.

— Nie, nie będzie wesela, — odpowiedział Mareschall, daję ci na to moją rękę.

Fryderyk uchwycił podaną sobie rękę i mocno ją ściskając rzekł cicho:

— Mareschallu! za tę obrazę odpowiesz mi z bronią w ręku.

— I owszem, jestem do tego najzupełniéj przygotowany, — odrzekł Mareschall, — bo nigdy jeszcze z ust

moich nie wyszło słowo, któregobym ręką swą nie poparł.

I potém zwracając się do Izabeli, mówił daléj:

— Powiedz zatém piękna kuzynko, czy z własnéj woli, chęci i postanowienia obierasz tego szlachetnego rycerza za swego małżonka? Bo jeżeli tak nie jest, to zaklinam się na honor i sumienie, że akt nie zostanie dopełniony, choćby z tego Bóg wié co wypadło.

— Czyś oszalał Mareschallu, — zawołał Elisław z oburzeniem, — czyż możesz przypuszczać, abym własną córkę skłaniał do małżeństwa nie zgadzającego się z jéj wolą i życzeniem?

— Nie dziw się Elisławie memu zapytaniu wprost do kuzynki zwróconemu, — odrzekł Mareschall bacznie wpatrując się w Izabelę stojącą jak posąg bez poruszenia. Upoważniają mnie do tego jéj oczy zalane łzami i jéj lica bielsze od sukni, którą ma na sobie; przyznasz zatém, że podejrzenie przymusu, jakiemu zdaje się ulegać, zupełnie tu jest usprawiedliwione i dlatego domagam się przez samą ludzkość, aby akt małżeństwa do jutra został odłożony.

— Jeżeli zatém koniecznie, — odezwał się Elisław tłumiąc gniew nim miotający, wtrącasz się panie Mareschall do rzeczy, która do ciebie zupełnie nie należy, to niechże sama Izabela ci powié, że pragnie aby obrządek natychmiast się odbył. Czyż nie tak moje kochane dziecko?

— Tak jest, — odrzekła Izabela ledwo dosłyszanym głosem, a szeptem już niewyraźnym dodała:

— Kiedy ani od Boga, ani od ludzi nie mogę się spodziewać pomocy.

Mareschall podniósł ramiona z niechęcią i stanął na uboczu, Elisław poprowadził córkę do ołtarza zaledwie iść mogącą, a Fryderyk stanął obok niéj z widocznem za-

dowoleniem spoglądając po obecnych. Duchowny otworzył książkę i jakby niepewny co ma robić, spojrzał na Elisława.

— Zaczynaj ojcze! — odezwał się Elisław, — ale w téj chwili dał się słyszyć głos jakby wychodzący z pod pomnika nad grobem żony Elisława stojącego, mówiący: zatrzymaj się!

Wszyscy osłupieli, jednocześnie ozwał się szczęk i brzęk niby z oręży uderzanych o siebie, a gdy po chwili znowu wszystko przyciszyło się, Fryderyk spoglądając na Elisława oczami pałającemi wściekłością i przerzucając je na Mareschalla, rzekł:

— Cóż to za nowy figiel? Czyż wiecznie mam być igraszką obłudy i podstępów?

— Nie unoś się Fryderyku, — odezwał się Elisław z przymuszonym spokojem; to zapewne wybryk którego z gości nad miarę uraczonego przyjęciem, jakiego w dniu tak ważnym dla nikogo nie żałowałem. Zacznijcie zatém szanowny kapłanie obrzęd swój religijny.

Duchowny znowu rozłożył książkę i kiedy miał z niéj rozpocząć modlitwę, tenże sam brzęk tajemniczy powtórzył się, służący z przerażeniem uciekli, zgromadzeni wydobyli z pochew oręże, a z po za nagrobka wystąpił Karzeł i stanął przed samym Elisławem. Wszyscy spojrzeli na niego z przestrachem, Elisław oparł się o słup najbliższy, przyciskając czoło do kolumny, jakby nie mógł stać o własnéj sile, jedna tylko Izabela uczuła silniejsze bicie serca i szkarłat oblewający jéj lica.

— Któż jest ten człowiek? — zapytał pierwszy Fryderyk, — i zkąd się wziął między nami?

— Kto jest ten człowiek? — odezwał się Karzeł z właściwym mu ponurym głosem zwracając się ku Fryderykowi. Jest to ten, co cię zaręczyć może, że zaślubiając tę dziewicę, nie otrzymasz ani dziedzictwa Elisław, ani posiadłości Manlej, ani Polwertonu, ani najmniejszego kawałka ziemi, jeżeli dopełnisz tego bez mego zezwolenia, czego ode mnie nigdy nie uzyskasz. Upadnij na kolana i podziękuj Bogu, żeś doznał przeszkody w zamierzoném przez ciebie małżeństwie, gdyż ta któréj gwałt chciałeś zadać, jakkolwiek pełna wdzięku i przymiotów duszy, nie ma tak upragnionego przez ciebie posagu.

Potém zwróciwszy się do Elisława, mówił daléj:

— A ty podły niewdzięczniku, czémże się teraz wykręcisz ze swego nędznego położenia, ty któryś chciał własną córkę sprzedać dla wydobycia się z niebezpieczeństwa, który byłbyś ją zabił w czasie głodu i pożarł dla utrzymania swego podłego życia. Tak, ukrywaj twarz, a jakkolwiek wielkim jesteś nędznikiem, nie możesz bez zarumienienia patrzyć na tego, którego ciało okułeś w kajdany, którego rękę pociągnąłeś do zabójstwa, którego duszę na najokrutniejsze skazałeś męki. Jeszcze raz ocala cię cnota téj, która zwie cię swoim ojcem. Precz ztąd! niechaj przebaczenie i dobrodziejstwa, jakiemi cię obdarzam, ciężą na twojéj głowie, jak zarzące węgle, dopóki się mózg twój jak mój nie strawi i nie spopieli.

Elisław opuścił kaplicę z niemą rozpaczą.

— Idź za nim Hubercie Rateliff, — mówił daléj Karzeł. — Powiedz mu co względem niego postanowiłem, a ucieszy się, że żyjąc nie braknie mu złota, które całe jego szczęście stanowi.

— Nic tego wszystkiego nie pojmuję, — odezwał się Fryderyk spoglądając z nienawiścią na Karła, ani téż moi towarzysze zebrani tutaj w sprawie króla Jakóba. W każdym razie, czyś ty Edward Manlej, który, jak

twierdzą, miał dawno umrzéć w więzieniu, czyś samozwaniec przywłaszczający sobie jego imię, zawsze jesteś dla nas podejrzaną istotą i dla tego musisz nam wytłomaczyć się z twego niepojętego dla nas zjawienia się w chwili tak ważnéj i uroczystéj. — Ajentów czy szpiegów cierpiéć nie możemy, przyjaciele schwytajcie go!

Ale słudzy przestraszeni wahali się z wykonaniem danego rozkazu, Fryderyk więc sam podsunął się ku Karłowi i w chwili kiedy wyciągnął rękę dla uchwycenia go za piersi, Halbert wystąpił z tłumu i koniec ostréj halabardy przyłożył do piersi Fryderyka.

— Ani jednego kroku nie waż się daléj postąpić, — zawołał Halbert, ani się dotknąć choćby jednym palcem zacnego Elzendera. Dobry z niego sąsiad i nigdy przyjaciela nie opuszcza w potrzebie, a oprócz tego kochanku muszę ci powiedziéć, że choć wydaje się słabym niedołęgą, to gdybyś poszedł z nim w zapasy, porwałby cię jak kurczę i tak ścisnął, żeby ci krew z za paznokci wypłynęła. Daj mu pokój, zuch z niego jakich mało.

— To ty Halbercie? — zapytał Mareschall, — zkądże się tu wziąłeś?

— Przybyłem tu z memi trzydziestu krewniakami i z poczciwym Elzenderem, w imieniu własném, a jeżeli chcecie w imieniu króla czy królowéj, aby pilnować spokoju, tak przez wszystkich uczciwych ludzi upragnionego. Wreszcie za staraniem Elisława straciłem całe swoje mienie, przyszedłem téż aby mu oddać piękne za nadobne. On mi śniadanie wyprawił, ja mu wieczerzę przygotowałem, a musicie ją spożyć, choćbyście moi panowie wszyscy jak tu jesteście, do mieczy się zerwali. — Domek ten był bez najmniejszéj straży, drzwi zastaliśmy w nim wszystkie otworzone, wojownicy wasi byli trunkiem odu-

rzeni, odebraliśmy im więc broń wszelką i otóż jesteście na naszéj łasce, któréj musicie się poddać.

Wtém wbiegł Mareschall i przerażony zawołał:

— Fryderyku! cały dom napełniony zbrojnym tłumem ludzi nieznajomych, nasi wszyscy są rozbrojeni i w dodatku pijani, widocznie zdrada jakaś, dobądźmy więc mieczy i przerżnijmy się...

— Dajcie pokój, — odezwał się Halbert, — powściągnijcie swoje wojenne zapały. Nic wam złego nie myślimy wyrządzić, ale żeście się wzięli do broni za królem Jakóbem, myśmy osądzili za właściwe wznowić dawne domowe wojny i powstać za porządkiem już utrwalonym. Rozejdźcie się zatém spokojnie, a włos wam z głowy nie spadnie. Powiem wam nadto, iż według pewnych wiadomości nadeszłych z Londynu, Baug czy téż inaczéj, dopiekł dobrze waszemu pretendentowi i francuzkie okręty odpędził tam, zkąd z nim przypłynęły.

Rateliff który wszedł w téj chwili, potwierdził wiadomości udzielone przez Halberta, a tak niepomyślne dla stronnictwa Jakóba; Fryderyk opuścił natychmiast zamek z nikim się nie pożegnawszy zabrawszy z sobą tych towarzyszy, co zachowali jeszcze jaką taką przytomność.

— A cóż zrobisz z sobą panie Mareschall? — zapytał Rateliff.

— Sam jeszcze nie wiem, — odrzekł Mareschall z uśmiechem człowieka mało się o siebie troszczącego. Moja odwaga za wielka, a majątek za mały, abym poszedł za przykładem mężnego a niedoszłego oblubieńca. Nie zgadza się to z mojém usposobieniem, a oprócz tego...

— Bądź spokojnym, — przerwał Rateliff, — każ tylko ludziom swym powrócić do domu, a ja na całą tę spra-

wę będę miał oczy przymknięte, gdyż na szczęście nie przyszło do żadnéj awantury.

— Otóż tak to wybornie, — odezwał się Halbert,—co było to było, a znowu jesteśmy przyjaciołmi jak dawniéj. Niech będę przeklęty, jeżeli mam dla kogo nienawiść, chyba jedynie dla tego niegodziwca Westburnflata. Dopiekłem mu jednak doskonale, popamięta mnie na całe życie, ale to tchórz i nikczemnik. Dostałem się do jego nory, zaledwie jednak na miecze trzy razy się z nim sprobowałem, skoczył w rów zamkowy i puścił się wpław jak dzika kaczka. Ptaszek to szpakami karmiony, rano do jednéj dziewczyny się zaleca, wieczorem znów do innéj, ale co się odwlecze to nie uciecze i jeżeli nie wyniesie się z kraju, czeka go nieochybnie postronek i szubienica.

W czasie tego powszechnego zamieszania, Izabela klęczała przy krewnym swym Edwardzie Manlej, bo tak Karła będziemy odtąd nazywać, wynurzając mu swą wdzięczność i prosząc o przebaczenie ojcu wszystkich win, jakich się względem niego dopuścił. Klęcząc obok nagrobku matki, do któréj posągu twarz jéj uderzające miała podobieństwo, trzymała rękę Karła, którą całując łzami rozczulenia oblewała. Karzeł stał nieporuszony, a spojrzenia ócz jego przesuwały się to po posągu, to po płaczącéj dziewicy; wreszcie wyjął rękę z jéj objęć, aby otrzyć łzy z ócz mu się gwałtem wydobywające.

— Zdawało mi się, — rzekł, — że dość łez już wylałem, ale ronimy je od urodzenia, a źródło ich nie wysycha aż do ostatniéj chwili życia. Lecz duszo moja otrząś się ze słabości ubliżającéj twéj godności. Żegnam was wszystkie moje wspomnienia i pamiątki serca, żegnam ciebie dziewico, coś jest niejako żywém ich uosobieniem. Zamiarowi jaki postanowiłem wykonać, nie sprzeciwiajcie się, bo to będzie próżnym wysiłkiem z waszéj strony. Mogę was tylko zapewnić, że potwornéj méj postaci nigdy już nie ujrzycie, nigdy o niéj nie usłyszycie, bo zanim śmiertelna pomroka zaćmi dla mnie światło tego padołu, dla was chcę już od dziś zostać umarłym. Zachowajcie mnie tylko w pamięci jako człowieka, który zwalczył ciężar życia jaki go tłoczy i nie poddał się ostatniéj rozpaczy.

Powiedziawszy to, pocałował Izabelę w czoło, uściskał posąg marmurowy przy którym klęczała i wyszedł pośpiesznie razem z Rateliffem z kaplicy. Izabela wysilona doznanemi wrażeniami dnia całego, została przez służebne odprowadzoną do sypialni. Reszta zgromadzonych osób wymawiając sobie wzajemnie namowy do zakłócenia spokojności kraju całego i wynurzając żale, że się do tego wciągnąć pozwoliła, porozjeżdżała się w różne strony, a Halbert objął dowództwo nad zamkiem całym, pilnując aby straże dokładnie spełniały swoje obowiązki.

— A tośmy im małego figla wypłatali, odezwał się do krewniaków razem w jednéj sali zgromadzonych. Przyznacie, żeśmy się gracko zwinęli, spełniając tak szybko wezwanie Elzendera przez Rateliffa nam udzielone. Wprawdzie byliśmy już wszyscy zebrani w Hangboot, z zamiarem zrobienia rankiem wyprawy na zamek rozbójnika Westburnflata, zawsze jednak sprawiliśmy się dzielnie, co mnie niewymownie cieszy. Przy jednym ogniu upiekliśmy dwie pieczenie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Nazajutrz Rateliff doręczył Izabeli list od ojca następującéj osnowy:

Kochane dziecię!

Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie dla własnego bezpieczeństwa, wyjechać zagranicę i tam zabawić czas niejaki. Nie żądam abyś mi towarzyszyła, dogodniéj bowiem będzie i dla mnie i dla ciebie, jeżeli pozostaniesz w miejscu, w którém się obecnie znajdujesz. Nie będę się rozwodził nad okolicznościami i powodami wczorajszego przykrego wypadku, sądzę tylko, że mam słuszny powód żalić się nad obejściem ze mną sir Edwarda Manlej, który najbliższym jest twoim krewnym po matce. Że jednak zrobił cię dziedziczką swego całego mienia i postanowił bezzwłocznie wprowadzić w posiadanie większéj części dóbr swoich, przyjmuję tę ofiarę za zupełne wynagrodzenie krzywdy, jakiéj się względem mnie dopuścił. Wynikła ona widocznie z tego, że nie mógł dotąd zapomnić, iż twoja matka zamiast wypełnić życzenie rodziny zaślubienia go, mnie oddała pierwszeństwo wraz ze swoją ręką. Wypadek ten był aż nadto dostateczny do stargania jego rozumu, nigdy nie znajdującego się w należytym porządku, skutkiem czego, i mnie, jako mężowi najbliższéj jego krewnéj, dostały się przykre bardzo obowiązki opieki nad nim i jego majątkiem, aż do chwili, gdy uznany zostanie za zdolnego sam sobą we wszystkiem rozporządzać. Chwila ta wreszcie nadeszła, ale ci co o to starali się i zabiegów swoich dokonali, wkrótce przekonali się, że stosowniéj byłoby dla własnego jego dobra,

aby był ciągle trzymany pod łagodnym i rozumnym dozorem. On nawet sam to pojmując, dał dowód zarazem, że pamięć na związki rodzinne jest mu obcą. Gdy bowiem pod rozmaitemi przezwiskami żył odosobniony od świata i usilnie pragnął aby rozsiano wieść o jego śmierci, w czém mu i ja wiele dopomogłem, zostawił mi dochody większéj części dóbr swoich, szczególniéj tych, które do twéj matki należąc, na niego spadły jako prawnego sukcesora lennego. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdawało mu się, że w tym wypadku postępuje sobie z największą wspaniałomyślnością, gdy według zdania światłych i uczciwych ludzi, uiścił się tylko z naturalnego obowiązku, gdyż powinien był rozumieć, że ty wprawdzie nie według prawa, ale z zasad słuszności, jesteś jedyną spadkobierczynią swéj matki, a ja prawnym zarządzcą twego mienia. Nie czując się przeto do szczególnéj wdzięczności dla niego, mam nawet przeciwnie wielki żal, iż dochody te wręczane mi dowolnie przez Rateliffa, musiałem kwitować z odbioru i dozwalać zabezpieczania ich na mojéj ojcowskiéj majętności Elisław. Tym to sposobem przywłaszczył sobie nieograniczony zarząd nad moim majątkiem, a jeżeli całe to działanie sir Edwarda zmierzało do zupełnego mnie zrujnowania, to przyznasz, że za to jego pozorne dobrodziejstwo, nie mam żadnego obowiązku wdzięczności.

W jesieni przeszłego roku, jak późniéj dowiedziałem się, sprowadziły go w te strony albo obłąkanie rozumu, albo zamiar dokonania na mnie jakiego gwałtu. Pozorną przyczyną tego przybycia, było pragnienie obejrzenia pomnika, który nad grobem twojéj matki kazał postawić. Rateliff, ktory w tym czasie uczynił mi zaszczyt, zrobienia swego domu moim domem, był tak łaskaw, że go bez mego zezwolenia wprowadził do kaplicy. Skutkiem tego, jak

mi powiedział, było kilkogodzinne zupełne pomieszanie zmysłów, podczas którego pobiegł na pobliskie oparzelisko i tam wróciwszy do przytomności, w najdzikszém miejscu obrał sobie samotne mieszkanie. Tu żyjąc otoczył się tajemniczością, grając rolę szarlatana, którą oddawna upodobał. Pomimo tego nowego dziwactwa ze zboczeń jego umysłowych wypływającego, zmuszony jestem zrobić uwagę, że Rateliff zamiast mnie uprzedzić o tém, abym mógł troskliwą opieką otoczyć krewnego mojéj żony, jak tego opłakane jego położenie wymagało, okrył to wszystko największą tajemnicą. Często odwiedzając sir Edwarda i dopomagając mu w dziwacznéj robocie przy stawianiu samotnéj pustelni, starał się jak najusilniéj, aby o współudziale jego w téj pracy nikt się nie dowiedział. Okolica cała odsłonięta na wszystkie strony, dozwalała z łatwością wypatrywać każdego nowego przybysza, a przez nich zupełnie niepożądanego, podziemna zaś grota do dawnego należąca cmentarza, którą odkryli pod dużym słupem granitowym, służyła im do ukrywania Rateliffa, ile razy ktoś zbliżył się do pustelni. Skutkiem téż tego, gdym był pewny, iż mój nieszczęśliwy przyjaciel mieszka w klasztorze Trapistów, nic nie wiedziałem, że już od kilkunastu miesięcy przebywa w pobliskości mego domu, i jak najdokładniejsze odbiera wiadomości o wszystkiem co robię, a nawet co myślę, to przez Rateliffa, to przez Westburnflata lub innych, których opłacając miał na swoje usługi.

Robi mi zarzut jak zbrodniarzowi, że usiłowałem przyspieszyć ślub twój z sir Fryderykiem Langlej, ale pragnąłem tego dla twego dobra. Jeżeli zaś innego był zdania, to dlaczegoż nie wystąpił otwarcie z oświadczeniem, że i jego zdanie ma w tym razie znaczenie i że mu do tego posługuje prawo jako względem dziedziczki jego

obszernych posiadłości. Mimo tego, chociaż spóźnił się z wyjawieniem swoich zamiarów, daleki jednak jestem od użycia mojéj powagi ojcowskiéj, dla sprzeciwienia się jego życzeniu, jakkolwiek młody Ernseliff, którego ci za małżonka przeznaczył, nie myślałem nigdy aby otrzymał jego zezwolenie. W przypuszczeniu więc, że wybór ten jest koniecznym, daję ci moje dziecko dobrowolne i szczere pozwolenie na zawarcie tego nadspodziewanego małżeńskiego związku, abyś nie potrzebowała się lękać nagłego a bezzasadnego cofnięcia zaręczonych ci praw do majątku, jak to mnie spotkało.

O sir Fryderyku Langlej mało zapewne co już usłyszysz, nie należy on bowiem do tych, co się starają o rękę panny nie mającéj posagu. Polecam cię więc opiece Boga moja kochana Izabelo i własnemu rozsądkowi, prosząc, abyś nie zwlekała zabezpieczenie sobie korzyści, od jakich przez dziwaczną niestałość twego krewnego, odsunięty tak niesprawiedliwie zostałem.

Rateliff powiedział mi, że sir Edward wyznaczył mi znaczną kwotę corocznie mającą się wypłacać na moje utrzymanie, ale uczucie mego serca nie pozwala przyjąć tego daru. Odpowiedziałem mu więc, że mam dobrą córkę, która posiadając majątek, nie dozwoli aby ojciec jéj cierpiał niedostatek. Odmowę tę wyraziłem bez żadnéj osłony z całą otwartością godną mnie i ciebie, a to w téj myśli, aby przy wyznaczaniu ci stałego dochodu, miano wzgląd na twoje względem mnie położenie. Chętnie ci téż odstępuję mój zamek i majętność Elisław, dla okazania méj ojcowskiéj miłości i bezinteresownéj gorliwości w ustaleniu twego szczęścia. Wprawdzie procenta z długów na majętności téj ciążących, przewyższają dochody, ale Rateliff poufalec twego krewnego, jedynym jest w jego imieniu wierzycielem, nie będziesz więc z nim miała wiel-

kiego kłopotu. Jest to bowiem człowiek, pomimo niemiłych ze mną stosunków, prawy i uczciwy, którego w interesach wszelkich możesz się radzić z największą ufnością, zwłaszcza że będzie najlepszym dla ciebie doradzcą w utrzymaniu przychylności twego krewnego. Pozdrów ode mnie Mareschalla; spodziewam się że ostatnie wypadki nie stały się dla niego powodem jakich przykrości.

Po przybyciu do Francyi, napiszę zaraz do ciebie, a teraz zostaję kochającym cię ojcem.

Ryszard Vere.

Izabela przeczytawszy list, zaraz zapytała się o ojca, ale jéj odpowiedziano, że jeszcze o świcie opuścił zamek po długiéj rozmowie z Rateliffem, i że zapewne już znajduje się na drodze wiodącéj do najbliższego portu, z którego zamierzył popłynąć na ląd stały.

Gdzież był sir Edward Manléj?

Od pamiętnych wypadków zeszłéj nocy, już go nikt więcéj nie widział.

— Ach mój Boże! — zawołał Halbert, — czy czasem poczciwego Elzendera co złego nie spotkało? Wolałbym aby mnie jeszcze raz obdarto do nitki, jak jemu żeby się stała choćby najmniejsza krzywda.

Pojechał więc natychmiast do jego pustelni; opuszczona koza wybiegła na jego spotkanie, bo czas dojenia dawno minął, lecz Karła nigdzie nie było widać. Drzwi były otwarte, ogień wygaszony i cała chata znajdowała się w tym stanie, w jakim ją Izabela nocy poprzedniéj opuściła. Domyślono się z tego, że Karzeł jak tajemniczo dostał się w nocy do zamku Elisław, tak samo zmienił równie tajemniczo miejsce swego mieszkania.

Halbert zmartwiony powrócił do zamku.

— Ach! panie Rateliff, — rzekł do niego, — lękam się

bardzo, czy zacny Elzender nie jest już dla nas zupełnie stracony.

— Tak młodzieńcze, — odrzekł Rateliff dobywając jakiś papier i oddając go Halbertowi, już go zapewne więcéj nie zobaczycie. Ale przeczytaj ten dokument, ten cię może choć trochę pocieszy.

Było to pismo, którém Edward Manlej znaczną summę wypożyczoną Halbertowi i Gracy Armstrong, na wyłączną ich własność w darowiznie przeznaczył.

— Cóż to za człowiek szczególny, — zawołał Halbert, tak starannie ukrywający się przed temi, którym dobrodziejstwa świadczy. Dar piękny otrzymałem, ale czyż mogę cieszyć się z niego, gdy nie wiem czy biedak jest szczęśliwy. Nie wiedziałem że człowiek jednocześnie i śmiać się i płakać może, jak właśnie ja robię w téj chwili.

— Czy jest szczęśliwym, — odrzekł Rateliff, — tego nie mogę zaręczyć, ale że raduje się twoją radością, o tém możesz być najzupełniéj przekonany, gdyż jedyną rozkoszą serca jest przekonanie, żeśmy się przyczynili do szczęścia drugich. Gdyby mój przyjaciel więcéj był rozważnym w świadczeniu dobrodziejstw, i darzył niemi tylko podobnych tobie, byłby miał większą pociechę i nagrodę z zacności swojéj duszy, niż je dotąd otrzymał. Nierozważne bowiem dary podsycając tylko chciwość i marnotrawstwo, nie przynoszą ani pożytku, ani wdzięczności nie obudzają. Jak siejemy, tak zbieramy.

— Prawda panie Rateliff, święta prawda, — odezwał się Halbert wzdychając, — ale zaręczyć was mogę, że o dobroci poczciwego pana Elzendera... czy tam Manleja, nigdy nie zapomnę ani ja, ani moja kochana Gracy. Zniszczony, mam nadzieję, że wkrótce przy pracy przyjdę do zamożności, co nie prędko byłoby nastąpiło, gdybym został zmuszony zbierać grosz po groszu w służbie zagranicznego

wojska, do któréj nie mam zbyt wielkiego pociągu. szczególniéj gdy narzeczona daleko za morzem czeka i spodziewa się mego powrotu. Ale kiedy wszystko tak się zmieniło, — mówił daléj cokolwiek zakłopotany, to możeby panna Izabela pozwoliła, abym z pustelni zabrał ule i umieścił je pomiędzy grzędami kwiatowemi mojéj kochanéj Gracy. Szum pszczół snu jéj nie będzie przerywać, a ona lubi te skrzętne pracownice i umie im we wszystkiém dogadzać. Biedna także koza, na tak wielkim dworze nie znalazłaby właściwéj opieki, u nas zaś pasłaby się w ogrodzie pod dozorem mojéj Gracy. Psy nasze wprędce się z nią oswoją. Gracy wydoi ją codziennie własną ręką, nakarmi, napoi, podściele słomy w stajence, aby biedne zwierzę czuło, że straciwszy pana, zyskało nowych opiekunów, którzy przez wdzięczność nie zapomną nigdy do kogo należała. Prawda że pan Elzender... to jest Manlej był mrukliwy i bardzo zrzędny, ale co prawda, to nieme zwierzęta bardzo kochał.

Prośbę Halberta chętnie spełniono, a naturalna niewymuszona jego czułość, z jaką wyrażał się o wdzięczności dla Karła, ujęła wszystkich serca i zaskarbiła ogólną dla niego przychylność. Gdy zaś Rateliff zapewnił go, że jego dobroczyńca dowie się o przyrzeczonéj opiece dla jego ulubionéj kozy, radość Halberta nie miała granic.

— Jeżeli go to ucieszy, — odezwał się, — choć to rzecz tak mała, że nie ma nawet o niéj co mówić, to powiedz mu jeszcze panie Ratelif, że moje siostry, babka, ja i moja Gracy jesteśmy zupełnie zdrowi i szczęśliwi, i że to dobro jakiego doświadczamy, czujemy wszyscy iż jemu jesteśmy winni. Sądzę, że go to powinno ucieszyć.

Ponieważ wszystkie przeszkody, które dotąd sprzeciwiały się związkowi Izabeli i Ernseliffa usunięte zostały,

i akt nadający jéj własność dóbr, tak był przez Rateliffa dopełniony, że nawet chciwość Elisława byłaby zadowoloną, małżeństwo wkrótce zawarte zostało, zobopólną wszystkich radością. Odtąd życie ich snuło się pasmem niczém nieprzerwanego szczęścia, na które szczerą miłością zasłużyli.

Ojciec ich Vere, którego córka szczodrze w fundusze zasilała, pozostawszy zagranicą, zawikłał się w znane szachrajstwa Lama podczas regencyi księcia Orleanu i przez długi czas za wielkiego bogacza był uważany. Gdy zaś ów powietrzny zamek kłamanego bogactwa pękł jak bańka, tak się tém zmartwił, że zmuszony żyć znowu tylko z pensyi przez córkę mu przesyłanéj, chociaż inni jego wspólnicy z nędzy prawie ginęli, zmarł wkrótce paraliżem tknięty.

Halbert z całą rodziną, jak się tego spodziewał, przyszedł w lat kilka do zamożności, i cieszył się nieprzerwaną niczém pomyślnością, na którą tak godnie przez swą pracowitość i uczciwość zasłużył.

Mareschall polował, pił, hulał, sprzykrzywszy sobie wreszcie takie próżniacze życie, opuścił kraj, odbył trzy kampanije i powróciwszy do domu, ożenił się z Łucyą Iderton.

Wilhelm Westburnflatt obawiając się zemsty Halberta, uciekł z kraju razem z przyjaciołmi lękającemi się surowości prawa i przystał do wojska pod dowództwem Marlbourgha. Zalecając się wielką gorliwością, szczególniéj gdy szło o grabież bydła, po kilku latach wrócił do domu zaopatrzony w pieniądze Bóg wié jak nabyte, zburzył dom swój rozbójniczy, a w miejsce jego postawił wysoki gmach o trzech piętrach z kominem na każdym narożniku i żyjąc w nim hucznie z sąsiadami, których niegdyś obdzierał, umarł najspokojniéj, a na mogile jego po-

stawiono pomnik dotąd jeszcze znajdujący się w Kirkhittle z napisem, że był mężnym żołnierzem i spokojnym sąsiadem.

Rateliff mieszkał ciągle w zamku Elisław, każdéj jednak wiosny i jesieni wyjeżdżał zawsze na kilka tygodni, ale gdzie, o tém nigdy najmniejszéj nie robił wzmianki. Domyślano się tylko, że czas ten przepędzał u swego nieszczęśliwego przyjaciela, aż raz powrócił smutny i w grubéj żałobie, oświadczając przyjacielom swym w Elisławie, że ich dobroczyńca zszedł z tego świata.

Rateliff, jedyny jego powiernik doszedł sędziwego wieku, i nigdy nie wymieniał miejsca, w którém przyjaciel jego przebywał, ani jaką śmiercią umarł, ani też gdzie był pochowany.

Raptowne zniknienie Elzendera w dzikiéj pustyni, potwierdziło między ludem wieści, które o nim z wielkim przestrachem powtarzano. Wielu dowodziło, że wdarłszy się ukradkiem do świętego przybytku, złamał układ ze złym duchem zawarty, że ten żywcem go potém z chaty porwał. Inni zaś utrzymywali, że choć zniknął, ale nie na zawsze, i że czasami można go widzieć w dolinie.

Bądź co bądź, stosownie do zwyczajów świata, więcéj w okolicy zachowano wspomnień o jego dzikich różnych wybrykach niż pięknych czynach, których dokonał. Zwano go też brunatnym Karłem z oparzeliska, niegodziwym strachem czy upiorem, którego szkarady pani Eliot zwykle wieczorami opowiadała swoim wnukom. A były one niemałéj wagi, bo go oskarżano, że owce czarował wieśniakom, że w czasie burzy staczał z gór śnieżne zaspy na dół, słowem wszystkie klęski, jakie dotykały mieszkańców téj pasterskiéj krainy, przypisywano jednozgodnie czarnemu Karłowi.

KONIEC.

99090